

# MIKLÓS NYISZLI

## BYŁEM ASYSTENTEM DOKTORA MENGELE

WSPOMNIENIA LEKARZA Z OŚWIĘCIMIA

Tłumaczył Tadeusz Olszański

OŚWIĘCIM 2000

Tytuł oryginału węgierskiego:

Orvos voltam Auschwitzban

Redakcja i przypisy:

Franciszek Piper

Zdjęcia i dokumenty:

Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau  
w Oświęcimiu

Copyright: tekst - Tadeusz Olszański

Copyright: edycja - Frap-Books

ISBN 83-906992-6-5

Dystrybucja: Frap-Books,

tel. 0048/033/8424740

E mail: frapb@poczta.onet.pl

Sklad.Frap-Books

Druk: Poligrafia Inspektoratu Towarzystwa Salezjańskiego

ul. Konfederacka 6, 30-306 Kraków

### OŚWIADCZENIE

Ja, niżej podpisany, dr Miklós Nyszli, lekarz<sup>1</sup>

, były więzień

obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, oświadczam, że jako bezpośredni świadek, zatrudniony w krematorium oraz przy stołach Brzezinki, gdzie ogień strawił miliony ciał ojców, matek i dzieci, napisałem swoją relację o tej najciemniejszej karcie historii ludzkości zgodnie z rzeczywistością, nie powodowany żadną namiętnością, bez przesady i koloryzowania<sup>2</sup>.

Jako lekarz przy oświęcimskim krematorium formułowałem i wypełniałem niezliczoną ilość protokołów lekarskich i sądownych z sekcji zwłok, które podpisywałem własną ręką z wytatowanym numerem. Powyższe dokumenty były sygnowane przez mego szefa SS Mengele<sup>3</sup>

i następnie wysyłane pocztą pod adresem:

sem: „Berlin-Dahlem, Institut für Rassenbiologische und Anthropologische Forschungen”<sup>4</sup>

, a więc pod adresem jednego z najbar

dziej znanych instytutów medycznych na świecie. Według wszelkiego prawdopodobieństwa można by je i dziś jeszcze odnaleźć w archiwum tego wielkiego instytutu. Swoją pracą nie zamierzam osiągnąć sukcesu literackiego. Jestem lekarzem, a nie pisarzem.  
dr Miklós Nyiszli  
Nagyvarad, marzec 1946 r.

## I

W gorące, majowe popołudnie staje się nie do zniesienia smród wypełnionych po brzegi kibli oraz dziewięćdziesięciu spoconych, nie mytych ciał, stłoczonych razem w towarowym wagonie o maleńkim, zadrutowanym okienku.

Pociąg deportowanych, składający się z czterdziestu takich wagonów, już czwarty dzień wiezie nas - najpierw przez Słowację, a potem przez Generalną Gubernię - w stronę nie znanego wciąż celu. W transporcie znajduje się pierwsza grupa węgierskich Żydów<sup>5</sup>, skazanych na zagładę. Za nami zostały Tatry. Minęliśmy Lublin, potem Kraków. W czasie wojny oba te miasta<sup>6</sup> stały się słynne jako miejsca koncentracji i unicestwiania antyfaszystów z całej Europy, deportowanych tu przez przedstawicieli „nowego ładu” na okupowanych terenach.

W godzinę po opuszczeniu Krakowa nasz pociąg zatrzymuje się na jakiejś większej stacji. Gotycki napis obwieszcza nazwę miejscowości „Auschwitz”. Nic nam to nie mówi. Nigdy nie słyszeliśmy o niej.

Przez szczylinę w ścianie wagonu obserwuję wielki ruch wokół pociągu. Konwojujący nas dotychczas esesmani wysiadają. Ich miejsce zajmują nowi strażnicy. Obsługa kolejowa również opuszcza pociąg. Z pojedynczych słów wynika, że dobiliśmy wreszcie do celu naszej podróży.

Skład jeszcze raz rusza, ale po dwudziestu minutach jazdy pociąg, przeciągle gwizdząc, zatrzymuje się.

Znajduję szparę, przez którą ponownie wyglądam na zewnątrz. Dookoła rozpościera się płaska, monotonna okolica, gliniasta, żółta, typowa dla wschodniej części Śląska.

Tylko miejscami wyrasta nad równinę kępa zielonych drzew. Znajdujący się przede mną teren jest ogrodzony, aż po linię horyzontu, stojącymi w regularnych odstępach słupami betonowymi, połączonymi kolczastymi drutami. Porcelanowe izolatory oraz liczne napisy ostrzegają, że druty znajdują się pod wysokim napięciem elektrycznym. Betonowe słupy wytyczają wielkie prostokąty, wewnątrz nich widać setki pomalowanych na zielono baraków z dachami krytymi papą - długie, proste ulice.

Za drutami widzę postacie w więziennych pasiakach. Jedna grupa niesie deski. Druga kroczy w regularnej kolumnie, na ramionach ludzi - łopaty. Nieco dalej auta ciężarowe, na które ładuje się ciężkie bale. Wzdłuż ogrodzenia co trzydzieści-czterdzieści metrów stoją piętrowe, charakterystyczne wieże. Wieże wartownicze. W każdej z nich widać esesmana w mundurze koloru feld-grau, opierającego się łokciami na karabinie maszynowym.

To obóz koncentracyjny w Oświęcimiu. Względnie, jak mówią Niemcy, uwielbiający skrót: KZ (kacet).

Widok nie jest zachęcający, ale ciekawość i napięcie oczekiwania tłumi na razie we mnie uczucie strachu.

Spoglądam na swoich towarzyszy w wagonie. Dwudziestu sześciu lekarzy, ośmiu aptekarzy, nasze żony i dzieci, kilku mężczyzn w podeszłym wieku i kobiet - rodzice moich kolegów. Zmęczeni i zmartwieni, siedząc na swoich pakunkach lub podłodze, patrzą w przestrzeń. Może to przecucie nieszczęścia nie pozwala im wyrwać się z apatii nawet w denerwującej chwili przyjazdu. Większość dzieci śpi, kilkoro podjada resztki żywności, przeważnie chleb, który

jeszcze pozostał. Są i takie, dla któ-

rych już i chleba zabrakło, przeciągają więc suchymi języczkami po spękanych z pragnienia i głodu wargach.

Piasek trzeszczy pod ciężkimi krokami. Głośne słowa komendy przerywają monotonię oczekiwania. Otwierają się kłódki zamykające drzwi wagonów. Z hurkotem odsuwają się drzwi i już rozbrzmiewa rozkaz: zostawić w wagonie wszystkie pakunki, wysiadać tylko z podręcznym bagażem! Pomagamy naszym żonom i dzieciom zejść z wysokich na półtora metra wagonów -niektóre wynosimy na rękach. Już nas ustawiają w rzędy przed wagonami.

Naprzeciw nas stoi młody oficer SS, w długich, lakierowanych butach, ze złotymi rozetkami na ramionach. Widać, że to on wydaje rozkazy czekającym tutaj esesmanom. Nie znam się jeszcze na dystynkcjach SS, ale po odznace eskulapa, znajdującej się na ramieniu, poznaję, że to lekarz. Nieco później dowiedziałem się, że oficerem tym był Haupt-sturm-fuhrer SS. Jego nazwisko brzmiało: dr Mengele. Naczelnym lekarzem obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu<sup>7</sup> jest obecny na rampie przy przybyciu każdego transportu. To on dokonuje selekcji.

Zaczyna się! Esesmani w pośpiechu oddzielają mężczyzn od kobiet i dzieci poniżej czternastu lat. Te zostają razem z matkami.

W ten sposób długa kolumna ludzi, stojących przed wagonami, zostaje podzielona na dwie grupy. Ogarnia nas niepokój. Zaraz na wstępie oderwano nas od rodzin. Strażnicy spokojnym głosem odpowiadają na nasze pytania:

- To nic niezwykłego - mówią. - Zabieramy was do kąpieli i dezynfekcji, taki tutaj porządek.

Potem znów wszyscy spotkają się z rodzinami.

Nim zakończy się rozdzielanie czterotysięcznej grupy<sup>8</sup>, mam nieco czasu na rozejrzenie się. W blasku zachodzącego słońca plastycznie uwypukla się zaobserwowany poprzednio przez szparę

w wagonie krajobraz. Stąd widzę już więcej. Pierwsze, co zwraca i co dosłownie przykuwa moją uwagę, to olbrzymi, zwięzający się u góry czworokątny komin, zbudowany z czerwonej cegły. Wyrasta on z potężnego, dwupiętrowego budynku<sup>9</sup>, zbudowanego również z czerwonej cegły i przypominającego fabrykę.

Dziwny komin fabryczny. Zaskakuje mnie, że bucha z niego słup ognia na parę metrów w górę. W czterech narożnikach komina umieszczone są piorunochrony. Próbuję odgadnąć, co to za piekielna kuchnia, w której potrzeba tak potężnego ognia. Szybko znajduję odpowiedź.

A więc to krematorium! Niedaleko odnajduję wzrokiem drugie; co więcej, jeszcze dalej odnajduję trzecie, skryte za drzewami, z podobnym ognistym kominem<sup>10</sup>.

Łagodny wiatr niesie w naszą stronę dym. W nozdrza uderza mdląca woń spalanego mięsa i włosów. Palące się mięso wydziela akroleinę podobną w zapachu do kościelnych świec z podłego łoju.

Mógłbym jeszcze długo zastanawiać się nad tym, co widzę, ale oto następuje drugi akt selekcji. Mężczyźni, kobiety, dzieci defilują gęsiego przed komisją. Na skinienie selekcyjnego lekarza, którego już od tej chwili będę nazywał doktorem Men-gele, znów następuje podział na dwie grupy; jedni odchodzą w lewo, drudzy w prawo. Obserwuję, jak do grupy po lewej stronie wędrują głównie starcy, ludzie ułomni, zniedołężniali, mizerni oraz kobiety z dziećmi poniżej czternastu lat. Po prawej stronie ustawia się grupa zdolnych do pracy. Spostrzegam w niej swoją żonę oraz piętnastoletnią córkę. Nie ma już okazji do wymiany kilku słów. Pozdrawiamy się tylko, machamy do siebie rękami.

Ciężko chorych, którzy nie mają sił iść, starców i psychicznie chorych zabierają samochody Czerwonego Krzyża. Kilku starych lekarzy, moich kolegów, prosi również o podwiezienie i ładują się na auta. Jako pierwsza rusza kolumna samochodowa.

Potem wyrusza grupa z lewej strony; idą wolnym krokiem, piątkami, w eskorcie kilku esesmanów. Za kilka minut znikają za kępą drzew. Grupa z prawej strony jeszcze ciągle stoi w

miejscu. Dr Mengele każe teraz wystąpić lekarzom. Następnie podchodzi do grupy liczącej około pięćdziesięciu osób i wzywa do zgłoszenia się tych lekarzy, którzy ukończyli studia na niemieckich uniwersytetach, znają się doskonale na sekcji zwłok i są obeznani z medycyną sądową. - Trzeba - mówi - rzeczywiście odpowiadać tym warunkom, bo inaczej... - i tu następuje wymowny gest.

Spoglądam na lewo i prawo, obserwuję swych towarzyszy. Czyżby nie było wśród nich fachowca odpowiadającego tym wymaganiom? A może przestraszyli się pogrózki? Nikt się nie zgłasza. Wszystko jedno! Już zdecydowałem się. Występuję z szeregu, staję przed doktorem Mengele i wymieniam swoje nazwisko. Wypytuje mnie szczegółowo:

Gdzie studiowałem? Gdzie i u którego profesora uczyłem się przeprowadzać sekcje zwłok? Gdzie uzyskałem uprawnienia lekarza sądowego? Jak długo pracowałem na tym odcinku? itd. Moje dokładne odpowiedzi prawdopodobnie zadowolili go, gdyż niezwłocznie każe mi stanąć osobno. Moich kolegów odsyła do grupy stojącej na prawo; potem każe im odejść. Ruszają w drogę, na razie w drogę życia - do obozu. Bo teraz wiem już to, czego wtedy jeszcze nie wiedziałem: grupa z lewej w kilka minut po odmaszerowaniu przekroczyła jedną z bram wiodących do krematorium. A stamtąd nie było już powrotu...

## II

Stoję teraz na rampie zupełnie sam. Zdaję sobie sprawę z końca, który nas czeka, myślę o Niemczech, w których spędziłem wiele lat, najpiękniejszych lat młodości...

Niebo nade mną jest już gwiaździste. Wysoko, akurat nad moją głową - zupełnie, jak w domu, w Nagyvarad - zapala się Wielki Wóz. Oziębione wieczornym wiatrem powietrze orzeźwiłoby mnie, gdyby nie to, że niesie ono w moją stronę smród krematoriów Trzeciej Rzeszy, zapach palących się trupów i akroleiny.

Setki łukowych lamp, umieszczonych na betonowych słupach, oślepiają ostrym blaskiem. Za tym łańcuchem światła powietrze zastyga niby gęsta mgła. Sylwetki baraków kacetu zacierają się przykryte ciężkim welonem ciemności.

Rampa wyludniła się, spokój zakłóca jedynie kilku więźniów w pasiakach, którzy przenoszą zostawione w wagonach bagaże na ciężarówkę. Puste wagony, z którymi dotychczas był związany nasz los, coraz bardziej wtapiają się w mrok.

Doktor Mengele wydał już ostatnie polecenia żołnierzom SS, po czym kieruje się w stronę swego opla, zajmuje miejsce za kierownicą i kiwa ręką w moją stronę, abym również wsiadł. Obok mnie, na tylnym siedzeniu, zajmuje miejsce podoficer SS. Ruszamy.

Samochód toczy się po obozowej, gliniastej drodze, wymytej wiosennymi deszczami, pełnej wybojów. Szybko migają z boku

światła kolczastego ogrodzenia. Jedziemy zaledwie chwilę. Stajemy przed zamkniętą bramą. Z Blockfuhrerstuby, czyli obozowej wartowni, szybko wychodzi podoficer SS. Usłużnie otwiera bramę przed wozem dra Mengele. Jedziemy jeszcze kilkaset metrów główną ulicą obozu, między rzędami baraków, stojącymi po obu stronach, i zatrzymujemy się przed znaczniejszym budynkiem.

Doktor Mengele wysiada. Ja wysiadam za nim. „Schreib-stube” - odczytuję pośpiesznie tabliczkę, umieszczoną przed wejściem. Wchodzimy. Za biurkami siedzą mężczyźni w pasiakach; mają inteligentne twarze. Wszyscy podrywają się ze stołków. Bez słowa stają na baczność. Doktor Mengele zwraca się do jednego z więźniów, mężczyzny około pięćdziesięciu lat, z ogoloną głową. Stoję kilka metrów za nimi. Nie rozumiem, o czym oni mówią. Dr Roman

Zenkeller - później dowiedziałem się, że tak nazywał się ów więzień - kiwa głową. Jest on starszym lekarzem szpitala obozu Bllf<sup>1</sup>. Przywołuje mnie do siebie i prowadzi do biurka, przy którym siedzi inny więzień. Przysuwa sobie kartotekę. Pyta o dane personalne i wpisuje je do wielkiej księgi. Wypełnioną kartę wręcza eskortującemu mnie podoficerowi SS. I już wychodzimy. Skłaniam lekko głowę przechodząc obok dra Mengele, na co Zenkeller raczej ironicznie niż gniewnie zwraca mi uwagę, że to nie salon, a obóz koncentracyjny. Z moim strażnikiem dochodzę zaledwie do trzeciego baraku. Tam odczytuję nowy napis: „Waschraum”. Wraz z kartą zostają przekazany w ręce innego esesmana. Dwóch mężczyzn w pasiakach podchodzi do mnie. Rewidują kieszenie, każą się rozbierać. Zjawia się fryzjer. Strzyże do skóry, wszędzie wygala, posyła pod prysznic. Myją mi głowę roztworem chloru. Oczy palą mnie do tego stopnia, że przez kilka minut nie mogę ich otworzyć. Z kolejnego pomieszczenia, w zamian za swoje oddane

poprzednio ubranie, otrzymuję szarą marynarkę i czarne sztuczne spodnie. Moje buty wracają natomiast do mnie po zanurzeniu ich w zbiorniku z tymże chlorem. Ubieram się i zastanawiam, do kogo z towarzyszy mego losu mogło należeć to ubranie?

Jeden z więźniów zadziera mi rękaw na lewym przedramieniu, odczytuje zanotowany na karcie numer i specjalnym przyrządem, przypominającym kulkowe pióro, szybkimi, wyćwiczonymi ruchami wykonuje niezliczoną ilość drobnych ukłuc. Na miejscu ukłuc pojawia się niebieska rozlana plama. Więzień uspokaja mnie, że wkrótce stan zapalny minie i wówczas numery staną się na skórze wyraźne, czytelne. A więc jestem już wytatuowany. Przestałem istnieć jako dr Miklós Nyiszli. Jestem tylko numerem A 8450<sup>2</sup>, więźniem kacetu.

W tym momencie staje mi przed oczami zupełnie inna chwila, kiedy piętnaście lat temu dziekan Uniwersytetu im. Fryderyka Wilhelma we Wrocławiu wręczając dyplom i życząc szczęścia na przyszłość uroczyście ścisnął moją dłoń.

### III

Znajduję się w dziwnym stanie duchowym. W moim życiu nigdy nie było jednak miejsca na bierność i beznadziejną rozpacz, a więc i teraz muszę się przystosować do wszystkiego, co narzuca sytuacja... Nie, nie wolno mi poddawać się rozpacz. Nie wolno mi być sentymentalnym, nie wolno być słabym. Ale jednocześnie uświadamiam sobie jasno, że moja sytuacja chwilowo nie jest najgorsza. Doktor Mengele wymaga ode mnie pracy lekarskiej. Prawdopodobnie mam zastąpić, całkowicie lub częściowo, w jakimś miasteczku niemieckiego lekarza sądowego, który został powołany do wojska.

Upewnia mnie w tym przekonaniu fakt, że zapewne na polecenie dra Mengele otrzymałem nie strój więzienny, lecz eleganckie cywilne ubranie. Wynika z tego, że wyznaczono mi taką funkcję, która wymaga odpowiedniego wyglądu zewnętrznego. Oczywiście to tylko moje hipotezy.

Zobaczmy, co będzie w rzeczywistości!

Z łaźni wychodzę z innym esesmanem, trzymającym w ręku moją kartę. Przechodzimy do baraku naprzeciwko. Na froncie baraku widnieje numer 12. Budynek ma około 100 m długości, wewnątrz długi korytarz. Po jego obu stronach trzypiętrowe prycze, zbudowane z nie heblowanych bali i desek, zapchane chorymi. Znajduję się w 12 bloku szpitalnym obozu Bllf.

Esesman wręcza moją kartę spieszącemu w naszą stronę starszemu więźniowi o puciołowatej twarzy. Ten staje na baczność i odbiera dokument. Esesman oddala się. Podajemy sobie więźniem ręce, przedstawiamy się. Okazuje się, że to blokowy. Prowadzi mnie do małego pokoiku, wydzielonego z wielkiej sali. Prosi, bym zajął miejsce na krześle i więziennym zwyczajem opowiada mi swój życiorys.

Jest obywatelem Trzeciej Rzeszy, Reichsdeutschem. Ma pięćdziesiąt lat. „W cywilu” był kasjarzem. Opowiada, że zawsze pracował w pojedynkę. Jego ostatnią „robotą” był napad w dużym stylu na bank. W samo południe obrabował jeden z dussel-dorfskich banków. Trzy lata żył z tych pieniędzy, póki nie sygnęła go jego własna żona, z którą był w separacji. Dziesięć lat siedział w więzieniu w Moabicy. Po odsiedzeniu kary, gdy tylko wyszedł za bramę więzienia, czekało na niego Gestapo i natychmiast wywieziono go do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Przebywa tu już cztery lata.

Na piersi, na pasiastej bluzie, nieco powyżej serca, nosi białą szmatkę z zielonym winkiem i cyframi. Zielony kolor trójkąta oznacza w kacecie zawodowych kryminalistów. Tłumaczy mi zasady znakowania więźniów w obozie koncentracyjnym. Czerwone winkle noszą więźniowie polityczni, liliowe — badacze Pisma Świętego. Notoryczni włóczędzy i prostytutki mają kolor czarny. Różowy kolor noszą homoseksualiści, którzy podpadli pod paragraf 175<sup>13</sup>.

Minęła już północ, ale ciekawość spędza mi z oczu sen, nie daje ulec zmęczeniu. Pochłaniam każde słowo blokowego. Doskonale orientuje się on w skomplikowanej organizacji obozu. Zna po nazwisku wszystkich Lagerfuhrerów<sup>14</sup> poszczególnych części obozu. Zna „prominentów”, więźniów mających wyjątkowe prawa, pełniących specjalne funkcje. Dowiaduję się, że oświęcimski kacet to nie obóz pracy, lecz największa fabryka

zagłady Trzeciej Rzeszy. Słucham o cotygodniowych selekcjach przeprowadzanych w barakach i szpitalach obozowych, po których setki ofiar pakuje się na ciężarówkę i wiezie do odległych stąd o kilkaset metrów krematoriów.

Z jego relacji jasno wyłania się obraz życia obozu. W barakach, na małej przestrzeni, zgrupowano dziesiątki tysięcy ludzi w boksach, które byłyby ciasnymi klatkami nawet dla zwierząt. Ci ludzie śpią krótko, leżąc jedni drugim na głowach, plecach, nogach - straszna nędza. Cisza nocna kończy się już o trzeciej godzinie, przed świtem. Funkcyjni więźniowie pałkami budzą ze snu nieszczęśników. Wszyscy wypadają przez drzwi baraku i ustawiają się w rzędy. Zaczyna się jeden z najbardziej nieludzkich punktów obozowego programu: apel... Więźniowie stoją w pięciu szeregach. Ustawieni są według wzrostu. Jeden funkcyjny ustawia w pierwszym rzędzie najwyższych, a najniższych w ostatnim. Za chwilę nadchodzi inny funkcyjny. Gęstymi razami zmienia porządek - najniżsi do pierwszego rzędu, najwyżsi do tyłu. Z baraku wychodzi wreszcie blokowy, dobrze odżywiony, dobrze ubrany, w świeżo wypranym i wyprasowanym pasiaku. Przybiera przed szeregiem więźniów napoleońską pozę i czujnie lustruje, czy nie znajdzie gdzieś błędu. Jakżeby nie znalazł! Już pędzi i powala pięścią kilku stojących w pierwszym rzędzie mężczyzn w okularach, wpycha ich do tylnych rzędów. Dlaczego? Nikt nie wie. Nikt się też nad tym nie zastanawia. Tu w kacecie nikt nie szuka sensu znęcania się, nikt też się z tego nie tłumaczy.

Tak trwa to przez całe godziny. Nieraz piętnaście razy liczą więźniów tam i z powrotem, przesuwają ich do przodu i do tyłu. Jeśli szereg nie był wyrównany, wszyscy mieszkańcy baraku przez pół godziny tkwią w przysiadzie z podniesionymi w górę rękami. Wszystkim dygoczą już nogi ze zmęczenia. Poranki są w Oświęcimiu bardzo chłodne, nawet latem. Cienki płócienny

pasiak nie chroni ani od deszczu, ani od chłodu, a zaczynający się o świcie apel zakończy się dopiero około siódmej rano, kiedy przybędą esesmani.

Blokowy jest wiernym sługusem SS. Niemal w każdym bloku funkcję tę pełni bandyta z zielonym winkiem. Staje na baczność i melduje esesmanowi stan bloku. Blockfuhrer przechodzi również przed szeregiem. Przelicza kolumnę i wpisuje stan do notesu. Jeżeli w baraku są umarli, a codziennie bywa ich pięciu-sześciu, czasem dziesięciu, to również wlicza się ich do stanu. Martwi leżą na samym końcu, póki trwa apel, bo bez względu na to, czy się jest żywym czy umartym, stan bloku musi się zgadzać. Zdarza się, że wobec licznych zgonów więźniów, ciągniona przez ludzi fura specjalnego komanda, zajmującego się zbieraniem trupów, nie zjawia się przez dwa-trzy dni. Trupy muszą być obecne przez ten czas na każdym apelu, dopóki nie zostaną

wykreślone ze stanu i zabrane.

Po tym, co usłyszałem od blokowego, nie jestem już niezadowolony ze swojej decyzji: miałem odwagę zgłosić się na wezwanie dra Mengele i w ten sposób wprowadziłem korektę do tego, co mnie tu czekało. Przyjąłem postawione przez niego zadanie pełnienia funkcji lekarza. Nie połknęły mnie baraki i kwarantanny. Dzięki cywilnemu ubraniu utrzymałem swoją ludzką powierzchowność i dziś w nocy śpię w łóżku z pościelą w pokoju lekarskim 12 bloku.

Tu pobudka jest dopiero o siódmej rano. Lekarze, a wśród nich i ja, oraz cały personel szpitala ustawia się przed barakiem. Esesmani sprawdzają stan, ale nie trwa to dłużej jak dwie-trzy minuty. Odliczają również leżących w boksach chorych, a także zmarłych w ciągu nocy. Zwłoki leżą razem z jeszcze żywymi.

Śniadanie zjadamy w pokoju, tam poznaję się z moimi kolegami lekarzami. Leitenderarzem<sup>13</sup> w bloku numer 12 jest dr Levy, profesor Uniwersytetu w Strasburgu. Jego zastępcą jest dr Grosz,

profesor Uniwersytetu w Zagrzebiu. Obaj są internistami, znanymi ze swoich badań naukowych w całej Europie.

Nie zważając na niebezpieczeństwo i zmęczenie, nie licząc się z własną tragedią, bez lekarskiego wyposażenia, bez lekarstw, bez środków odkażających i sterylizowanych opatrunków usiłują leczyć i ulżyć w cierpieniach ofiarom Oświęcimia, gdzie nawet najlepszej kondycji człowiek załamie się w ciągu trzech-czterech tygodni pod wpływem głodu, brudu, insektów i morderczej pracy. A co dopiero mówić o tych, którzy są chorzy, mają wady organiczne! Moi koledzy są wyjątkowymi ludźmi i lekarzami tu, gdzie trudno jest pozostać człowiekiem, a jeszcze trudniej być lekarzem.

Z entuzjazmem idzie za ich przykładem sześciuosobowa grupa lekarzy. W jej skład wchodzi młodzi, mili i sympatyczni lekarze francuscy i greccy. Już od trzech lat jedzą obozowy chleb wypiekany z mąki kasztanowej z dodatkiem trocin. Ich rodziców, żony i dzieci zgładzono zaraz po przywiezieniu. A nawet ci spośród krewnych, którzy trafili na prawą stronę, nie wytrzymali próby sił dłużej niż trzy-cztery miesiące i jako wyselekcjonowani z bloków poszli do krematoriów.

Lekarze są w pełni świadomi okropności, beznadziei własnego losu, a mimo to z pełnym poświęceniem usiłują pomóc tym, którzy oczekują na śmierć.

Bo pacjenci szpitala - to właściwie już umarli. Trzeba być naprawdę ciężko chorym, aby w kacecie trafić do szpitala... Wyszuszone do kości, ważące do trzydziestu kilogramów, prawdziwe ruszające się szkielety; ich ciała pokryte rozległymi ropowicami, usta straszliwie spuchnięte z głodu, cienie o żółtej skórze cierpiące na nieustanną biegunkę - oto pacjenci obozowych szpitali. Ich trzeba ratować!

## IV

Jeszcze nie otrzymałem określonego zajęcia. W towarzystwie jednego z francuskich lekarzy rozglądałem się nieco po obozie Bllf. Moją uwagę natychmiast zwraca przyklejona do bloku nr 12 drewniana komórka. W środku stół z nie heblowanych desek, jedno krzesło, na nim drewniane pudło z przegródkami, w którym znajdują się instrumenty do sekcji zwłok, w kącie cynowe wiadro. Oto całe urządzenie komórki. Od kolegi dowiaduję się, że tu właśnie znajdowało się jedyne w całym obozie pomieszczenie sekcyjne, ale od dawna nie jest ono używane. Aktualnie nie ma też w obozie fachowca, który potrafiłby przeprowadzać sekcje. Nie jest wykluczone, że moja obecność wiąże się ze wznowieniem sekcji - dr Mengele zaplanował bowiem uruchomienie prosektorium.

Rzeczywistość działa mroząco na fantazję. Wyobrażałem sobie, że miejscem mojej pracy będzie

nowocześnie wyposażona sala do przeprowadzania sekcji zwłok, a nie ta obozowa komórka. W swojej praktyce, nawet podczas dokonywanych na głębokiej prowincji sekcji zwłok po ekshumacjach czy przeprowadzanych na miejscu zbrodni sekcjach zamordowanych lub samobójców, nie pracowałem w tak prymitywnych warunkach, z tak zdekompletowanymi narzędziami. Oczywiście godzę się z takimi warunkami, jakie są - taka już moja natura. Nie mogę tylko zrozumieć, dlaczego do pracy

w tym ohydny i brudny pomieszczeniu dano mi nowe cywilne ubranie? Kryją się w tym jakieś sprzeczności, ale na razie nie zastanawiam się nad nimi.

Wraz ze swym towarzyszem spoglądam przez ogrodzenie. W sąsiednim obozie aż roi się od śniadych, biegających nago, bawiących się dzieci. Barwnie ubrane kobiety o pięknych kreolskich rysach, na wpół obnażeni mężczyźni, młodzi, starzy - razem pomieszani - siedzą na ziemi, stoją grupkami, rozmawiają, patrzą na igrające dzieci.

Jest to słynny obóz cygański<sup>16</sup>. Rasiści Trzeciej Rzeszy uznali Cyganów za plemię niższej kategorii, szkodliwe z punktu widzenia czystości rasy germańskiej. Na podstawie tej klasyfikacji deportowano Cyganów z całego terytorium, znajdującego się pod niemieckim panowaniem, i tu ich uwięziono. Uzyskali przywilej wspólnego życia ze swymi rodzinami. Starzy, młodzi, dzieci mieszkają razem, gdzie kto chce. Nie pracują.

„Ciekawostką” cygańskiego obozu jest umieszczony tam barak eksperymentalny. Kierownikiem laboratorium jest dr Bertolt Epstein, pediatra światowej sławy, profesor zwyczajny Uniwersytetu w Pradze. Już od czterech lat jest więźniem kacetu. Jego asystentem jest dr Bendel, docent wydziału lekarskiego w Paryżu.

Badania prowadzone są w trzech kierunkach. Pierwszy - to modne ostatnio badania nad zagadnieniem bliźniactwa, które nabrały rozmachu po urodzeniu się pięcioraczków w Kanadzie. Drugi - to badania fizjologii i patologii skarlania. Trzeci - to badania przyczyn i metod leczenia noma twarzy - raka wodnego, czyli inaczej zgorzeli policzka.

Ta okropna choroba w praktyce zdarza się bardzo rzadko i to w pojedynczych przypadkach. W cygańskim obozie można wbrew temu stwierdzić masowe zachorowania dzieci na nomę. Jak widać, badania przynoszą konkretne rezultaty.

21

U większości cygańskich dzieci występował dziedziczny syfilis. Tyfus, dyfteria, szkarlatyna, odra, jak również złe odżywianie mają niezaprzeczalny wpływ na powstawanie zgorzeli. Ale te choroby były przecież na porządku dziennym wśród dzieci w obozach czeskim, polskim i żydowskim, a mimo to nie można było odkryć u tych dzieci objawów zgorzeli. A zatem głównym powodem choroby było dziedziczne obciążenie syfilisem... To stwierdzenie różniło się od dotychczasowej opinii lekarzy, że zgorzel występuje głównie w związku z odra, szkarlatyną i tyfusem.

Doktor Mengele codziennie odwiedza eksperymentalny barak. Z dużym zainteresowaniem bierze udział w badaniach, pracuje razem z dwoma sławami lekarskimi oraz malarką Diną, która z wysokim artystycznym przygotowaniem sporządza wykresy i rysunki potrzebne przy rejestrowaniu wyników badań. Trafiła do obozu z Pragi, już od trzech lat jest w Oświęcimiu. Jako pracownica dra Mengele jest tu również osobą uprzywilejowaną.

## V

Naczelnym lekarzem obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu dr Mengele jest niezmordowany. Całe



godziny spędza w baraku eksperymentalnym cygańskiego obozu, pół dnia jest na żydowskiej rampie, na którą przybywa teraz codziennie po cztery lub pięć transportów z deportowanymi z Węgier.

W długich kolumnach, piątkami, otoczeni przez esesmanów, wolno kroczą nowo przybyli do obozu. Obserwuję pochód z daleka; po eleganckich ubiorach, prochowcach, modnych torbach poznaję, że pochodzą z któregoś z wielkich miast.

Dr Mengele ma czas nawet na to, aby zająć się moją osobą. Przed pomieszczeniem sekcyjnym zatrzymuje się długi, ciągniony przez ludzi wóz. Komando zbierające umarłych zdejmuje z wozu dwa trupy. Na piersiach zwłok niebieskim atramentem napisano: ZS. To skrót od „zur Sektion”, co znaczy - do sekcji.

Do pomocy otrzymuję z 12 bloku inteligentnego więźnia - Francuza. Umieszczamy zwłoki na stole. Na szyi pętla z mocnego, czarnego kabla: więzień popełnił samobójstwo wieszając się lub też został powieszony. Pobieźnie badam i drugie zwłoki. Natychmiast poznaję, że śmierć nastąpiła na skutek porażenia prądem elektrycznym. Jest to łatwe do rozpoznania po małych, okrągłych oparzeniach skóry z fioletowo-czerwoną obwódką. Tu również próbuję odgadnąć, która z dwóch możliwości stała się przyczyną śmierci? Czy nieszczęśnik sam rzucił

się na druty, czy też został do tego zmuszony? I to, i tamto często zdarza się w kacecie. Formalności są natomiast załatwiane jednakowo - bez względu na to, czy ktoś popełnił samobójstwo, zmarł czy też został zamordowany. Wypisuje się zmarłego ze stanu, rzuca na furę i zawozi do trupiarni. Codziennie zwozi się do niej po czterdzieści-pięćdziesiąt trupów. Stamtąd zaś wieczorem ciężarówką transportuje się zwłoki do jednego z krematoriów.

Doktor Mengele przeznaczył dwa trupy, aby mnie przeegzaminować. Z góry zapowiedział, abym dobrze uważał; muszę odpowiadać wszystkim postawionym przez niego warunkom.

Warkot motoru. W bloku 12 pada komenda: baczność! Przyjechał dr Mengele w towarzystwie dwóch wysokich rangą oficerów SS. Wysłuchują meldunku blokowego i więźnia-lekarza. Idą prosto w stronę komórki, w której ma być przeprowadzana sekcja zwłok. Za nimi kroczą wszyscy lekarze obozu Bllf. Jakby co była sekcja w jakimś wielkim instytucie i na stół trafiał pod nóż szczególnie ciekawy przypadek. Widzę na ich twarzach napięcie i ciekawość, co też potrafi ten, który ma zdawać egzamin. Będę zdawał przed niebezpiecznym egzaminatorem. Czuję, że moi koledzy lekarze martwią się o mnie.

Nikt nie wie poza mną, że przez trzy lata jako asystent profesora dra Strassmana we wrocławskim Instytucie Medycyny Sądowej miałem do czynienia ze wszystkimi przypadkami i poznałem wszelkie formy samobójstw. To, co potrafiłem wtedy i czego nauczyłem się wówczas, wie także i dziś lekarz obozowy nr A 8450.

Przystępuję do sekcji. Otwieram czaszkę, klatkę piersiową, jamę brzuszną, wydobywam wszystkie narządy, wskazując na odchylenia od prawidłowego stanu. Na padające w toku mojej pracy pytania, a jest ich sporo, natychmiast odpowiadam. Na twarzach pojawia się wyraz zaspokojenia ciekawości, a spojrzenia

pełne uznania są dowodem, że egzamin wypadł pomyślnie. Rozpoczynam sekcję następnych zwłok. Doktor Mengele prosi mnie o przygotowanie protokołu sekcji zwłok. Jutro przyśle po dokumenty. Lekarze SS oddalają się. Rozmawiam jeszcze ze swymi kolegami więźniami.

Dotychczas byli wobec mnie jedynie uprzejmi, teraz czuję, że przyjęli mnie do swego grona. Na drugi dzień otrzymuję jeszcze trzy trupy do przeprowadzenia sekcji. Widownia jest identyczna, jak w dniu poprzednim, ale atmosfera nie jest już tak napięta. Więcej jest pytań, przy niektórych dochodzi do żywej dyskusji.

Po oddaleniu się lekarza SS przychodzi do mnie kilku młodych lekarzy francuskich i greckich. Proszą, abym zaznajomił ich z techniką robienia nakłucia lędźwiowego. Proszą o pozwolenie dokonania próby na zwłokach. Chętnie spełniam ich prośbę. Jestem głęboko wzruszony, że nawet tu, wśród drutów kacetu, interesują się oni pogłębieniem swojej wiedzy. Wytrwale próbują i za piątym-szóstym razem udaje im się wykonać poprawnie nakłucie lędźwiowe.

## VI

Już trzeci dzień nie mam zajęcia. Otrzymuję należne lekarzowi racje żywnościowe. Odpoczywam na swoim legowisku albo przesiaduję na ławeczce na boisku sportowym, znajdującym się w sąsiedztwie bloków. Bo i boisko sportowe jest na terenie obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Korzystają jednak z niego tylko więźniowie uprzywilejowani, przeważnie Niemcy. W niedzielę odbywają się tutaj mecze sportowe. W pozostałe dni plac jest pusty. Tylko jeden rząd kolczastych drutów odgradza boisko sportowe od I krematorium<sup>17</sup>. Chciałbym bardzo wiedzieć, co dzieje się wewnątrz, za murami budynku, tam gdzie z wysokiego komina bucha ogień. Z miejsca, w którym siedzę, niewiele widać. Nie należy jednak zbliżać się do ogrodzenia. Z gęsto rozstawionych wież wartowniczych bez uprzedzenia pada wtedy seria z karabinu maszynowego. Zdażyłem tylko zaobserwować, że na podwórzu krematorium, przed blokiem z czerwonej cegły, ustawiają się w szeregu mężczyźni w cywilnych ubraniach. Jest ich około dwustu. Przed frontem szeregu stoi kilku żołnierzy SS. Domyślam się, że odbywa się tam zbiórka i sprawdzanie obecności. To chyba zmiana załogi krematorium - nocną zmianę zastępuje dzienna. Od jednego z doświadczonych więźniów wiem, że załoga krematorium zwana jest Sonderkommando, to znaczy komando do specjalnych prac. Mają świetne utrzymanie, chodzą w najlepszych,

cywilnych ubraniach i... wykonują najokropniejszą pracę. Nie wolno im odejść z pracy w krematorium. Co trzy-cztery miesiące, kiedy wiedzą już zbyt wiele, są likwidowani. Dotychczas tak właśnie było z każdym Sonderkommandem<sup>18</sup>. Od czasów, kiedy istnieje obóz w Oświęcimiu. Nikt stamtąd nie wyszedł żywy, aby przekazać światu, co dzieje się od lat w tych straszliwych murach.

Wracam w samą porę do bloku nr 12, aby spotkać się z doktorem Mengele. Przyjechał samochodem. Przyjmuje go blokowy. Wzywają mnie. Doktor Mengele każe mi wsiąść do samochodu, tym razem bez strażnika. Nie mam czasu, aby pożegnać się z kolegami. Ruszamy, ale za chwilę zatrzymujemy się jeszcze przed kancelarią obozu. Doktor Mengele każe podać spieszacemu w naszą stronę doktorowi Zengtellerowi moją kartę z kartoteki. Po kilku sekundach ma już ją w ręku.

Przez dziesięć minut jedziemy drogą wśród kolczastych ogrodzeń, przekraczamy mocno strzeżone bramy poszczególnych odcinków obozu. Dopiero teraz widzę, jak olbrzymi teren zajmuje kacet. Więźniowie nie mają żadnej okazji, aby to wszystko zobaczyć, bo większość z nich ginie na odcinku obozu, do którego przybyła. Moje obserwacje niespodziewanie przerywa doktor Mengele. Rzuca do tyłu:

- Nie wiozę pana do sanatorium, ale będzie to całkiem znośne miejsce.

Opuszczamy obóz, jedziemy jakieś trzysta metrów wzdłuż rampy wyładunkowej. Samochód zwalnia, trąbi. W odrutowanym ogrodzeniu otwiera się wielka, żelazna brama. W bramie stoi warta. Skręcamy na szeroki, czysty dziedziniec pokryty zieloną murawą. Wysypane żwirem ścieżki, zielone kity topól czyniłyby to miejsce zupełnie przytulnym, gdyby nie czerwony budynek, z którego wyrasta miotający ogień komin. Jesteśmy na terenie jednego z krematoriów. Wsiadamy. Naprzeciw nas wychodzi

esesman i melduje się doktorowi. Przechodzimy przez podwórze i przez duże drzwi wkraczamy do budynku krematorium.

- Czy pokój jest już gotowy? - pyta doktor Mengele prowadzącego nas esesmana. Ten odpowiada twierdząco. Idziemy więc wprost tam. Wchodzimy, ja na końcu.

Znajdujemy się w świeżo wybielonym pomieszczeniu. Jasne, duże okno wychodzi na podwórze.

W oknie mocne kraty. Urządzenie pokoju po obozowym baraku wydaje mi się niezwykle atrakcyjne. Białe łóżko, biała szafka na ubranie, długi stół i krzesła stanowią urządzenie tego pomieszczenia. Na stole czerwona, pluszowa kapa, na betonowej podłodze ładne dywany. Wszystko wskazuje na to, że czekano na mój przyjazd. Ludzie z Sonderkommando wymalowali pokój i wyposażyli go w rzeczy, które trafiły tu z transportów. Łóżko i szafkę pewno zrobiono w miejscowej stolarni.

Stąd mrocznym, długim korytarzem przechodzimy do innego pomieszczenia. Znajdujemy się teraz w jasnej, nowoczesnie urządzonej sali sekcyjnej o dwóch oknach. Czerwona, betonowa podłoga, na środku do betonowego postumentu przymocowany jest szary blat z marmuru, na jego powierzchni liczne kanały ściekowe. Do skraju stołu dobudowano zbiornik na wodę, nad nim niklowe kurki. Ściany pomalowano olejną farbą na jasnozielony kolor, przy nich trzy porcelanowe umywalki. Wielkie okratowane okna, gęsta siatka przeciwko muchom i komarom. Z sali sekcyjnej przechodzimy do kolejnego pomieszczenia; to gabinet: eleganckie, fornirowane meble, wygodne fotele, na środku pokoju długi stół, przykryty szarym sukniem. Na stole trzy mikroskopy. Szeroka, wielka szafa biblioteczna w jednym z rogów, w środku najnowsze wydania fachowych dzieł. Ponadto znajduje się tu jeszcze szklana gablota pełna chemikaliów oraz bielizniarka z fartuchami lekarskimi, kitlami, ręcznikami i gumowymi rękawiczkami.

Wiemy obraz nowoczesnego prosektorium jakiegoś wielkomiejskiego instytutu. Widzę wszystko, ale jednocześnie ogarnia mnie przerażenie. Zdaję sobie sprawę, że z chwilą przekroczenia bramy znalazłem się na drodze do nieuchronnej śmierci. Przepadłem.

Teraz już rozumiem, dlaczego otrzymałem cywilne ubranie. Takie ubrania nosi Sonderkommando. Komando skazanych na śmierć.

Doktor Mengele szykuje się do odejścia, daje do zrozumienia esesmanowi, że służbowo jestem podporządkowany jedynie jemu. Nikt z SS na terenie krematorium nie ma prawa mną rozporządzać. O moje wyżywienie będzie się troszczyła kuchnia SS. Ubranie i bieliznę mogę uzupełniać z magazynu. Mogę korzystać z usług miejscowego fryzjera dla SS. Nie mam obowiązku być obecnym na porannych i wieczornych apelach.

Poza moją pracą w laboratorium i przeprowadzaniem sekcji zwłok mam zapewnić opiekę lekarską stu dwudziestu esesmanom oraz Sonderkommando liczącemu ośmiuset sześćdziesięciu ludzi<sup>19</sup>. Do mojej dyspozycji zostanie przydzielona dowolna ilość potrzebnych medykamentów, instrumentów, opatrunków. Obowiązuje mnie regularne leczenie chorych na terenie krematoriów - codziennie powinienem ich wizytować. Mogę swobodnie poruszać się po terenie wszystkich czterech krematoriów. Bez żadnej eskorty. Od siódmej rano do dziewiątej wieczorem. Mam zgłaszać liczbę leżących i chodzących chorych codziennie szefowi SS obsługi krematorium i Sonderkommando - Ober-scharführerowi Muhsfeldtowi<sup>20</sup>.

Zmartwiały wysłuchuję wyliczania moich praw i obowiązków.

Doktor Mengele oddał się bez pożegnania. Żaden esesman, nawet najniższy rangą, nie żegna się z więźniem kacetu.

Zamykam drzwi sali sekcyjnej. Chowam klucze. Teraz już za wszystko tu odpowiadam ja.

Przechodzę do swojego pokoju i siadam, aby uporządkować myśli. Ciężkie zadanie! Przede mną pojawia się obraz domu. Słoneczny taras, przyjemne pokoiki, gdzie przeżyłem tyle szczęśliwych dni w kręgu rodziny. Przypomniałem też sobie swój gabinet lekarski. Ileż trudnych godzin spędziłem tam na leczeniu pacjentów i jaki szczęśliwy byłem, gdy mogłem im pomóc.

Gdzie w tych tysięcznych tłumach są moi bliscy, bezimienni w tym gigantycznym więzieniu? Czy udało się mojej piętnastoletniej córce pozostać z matką? Czy ich nie rozdzielono? Co dzieje się z moimi starymi rodzicami, których starałem się otoczyć miłością u zmierzchu ich życia i oszczędzić im kłopotów? Co dzieje się z moją młodszą siostrą piękną delikatną dziewczyną której starałem się zastąpić naszego chorego ojca? Jak dobrze mi było z nimi, kochałem ich, z radością troszczyłem się o nich. Ani chwili nie łudzę się co do kolei ich losu: i

rodzice, i siostra są już w jednym z czterdziestu wagonowych transportów, zmierzających do Oświęcimia. Na rampie wyladunkowej na jedno skinienie mego szefa, dra Mengele, moi rodzice trafiają na lewą stronę. Na lewo trafi również i siostra, która ze łzami w oczach będzie prosiła, aby pozwolono jej pójść razem z matką. Pozwolą jej na to, a ona ze wzruszeniem będzie dziękować za ten akt łaski...

Wiadomość o moim przybyciu rozchodzi się lotem błyskawicy wśród załogi SS i Sonderkommanda. Odwiedzają mnie liczni goście. Jako pierwsi otwierają drzwi podoficerowie SS. Wchodzą dwaj olbrzymi Oberscharfuhrerzy o ponurym wyglądzie. Wiem, że od mego zachowania się teraz będzie zależało traktowanie mnie przez nich w przyszłości. Myślę o tym, co powiedział doktor Mengele: podlegam tylko jemu. Traktuję więc odwiedziny jako prywatny, towarzyski gest i w związku z tym nie podrywam się na baczność, by zgodnie z przepisami kacetu zameldować się esesmanom. Witam ich siedząc i proszę, aby zajęli miejsca.

Stają na środku pokoju, bacznie mierzą mnie wzrokiem -czuję wagę tej chwili. Znowu zdaje egzamin. Pierwsze wrażenie jest decydujące. Stwierdzam, że dobrze oceniłem sytuację. Napięcie znika z twarzy esesmanów, nonszalancko zajmują miejsca. Rozmowa obraca się w wąskim kręgu tematów. Jaką miałem drogę? Nie pytają natomiast, dlaczego dostałem się do kacetu. Więzień nie może rozmawiać o polityce, wojnie i o panującej w obozie atmosferze. Mimo wszystko nie czuję się speszony tą sytuacją; lata studiów spędzone w pokojowych Niemczech dostarczają mi bogatego materiału do konwersacji.

Przybysze dają się wciągnąć w rozmowę. Widoczne wrażenie robi na nich fakt, że posługuję się ich językiem ładniej i lepiej niż oni sami. Nie rozumieją kilku zwrotów, ale nie zdradzają się z tym. Znam dobrze ich kraj, miasta, niemieckie życie 10-dzinne, zasady moralne i religijne. Jak widzę, ten słowny egzamin również się udał. Wychodzą zadowoleni.

Zjawiają się następni goście. W cywilnych, wyczyszczonych ubraniach, starannie ogoleni. Do mego pokoju wchodzi oberkapo<sup>21</sup> Sonderkommanda i dwaj kapo komanda. Wizyta zapoznawcza.

Już pora kolacji. Wchodzę razem z nimi na pierwsze piętro budynku krematorium, do urządzonych tam pomieszczeń załogi. Olbrzymia sala-korytarz, po obu stronach wygodne jednoosobowe łóżka. Sporządzono je z surowego, nie malowanego drewna, jedwabne kołdry. Ta gama żywych kolorów krzykliwie kontrastuje z całością otoczenia. Widać wyraźnie, że są to rzeczy, które znalazły się tutaj z transportów. Więźniowie z Sonderkommanda mają prawo pobierać z magazynu, co im się żywnie podoba.

Sala jest oślepiąco oświetlona. Tu nie oszczędza się prądu jak w barakach. Przechodzimy wzdłuż długiego rzędu łóżek. Tylko połowa komanda jest na kwaterze. Druga połowa - stu

31

ludzi - pełni nocną służbę. Pracują. Część ludzi odpoczywa, kilku śpi. Inni czytają książki. Jest tu sporo książek. Prawie każdy deportowany przywozi ze sobą strawę duchową. To również przywilej Sonderkommanda, że może czytać książki. W kacecie, jeżeli złapią kogoś na czytaniu, dostaje dwadzieścia dni bunkra, oczywiście, jeśli nie zatłuką go natychmiast po wykryciu przewinienia.

Czeka na nas stół nakryty adamaszkowym obrusem. Delikatne, porcelanowe talerze z monogramami, srebrne sztucce, porcelanowe dzbany - to wszystko również pochodzi z transportów. Stół zastawiony jest wszelakim dobrem, które zabierają ze sobą deportowani, udający się w niewiadomą drogę. Są tu różne konserwy, słonina, salami, soki owocowe, ciastka, czekolada. Poznaje, że to żywność przywieziona przez transporty z Węgier. Łatwo psujące się produkty należą do tych, którzy na razie pozostają przy życiu, do Sonderkommanda. Przy stole siedzi oberkapo, kapo hajcerów, czyli obsługi pieców, kapo dentystów wyrywających zwłokom zęby, szef wytopu złota.

Z trudem przełykam pierwsze kęsy. Na myśl przychodzą mi towarzysze podróży, którzy w

ostatnich godzinach ze łzami w oczach chronili swoje zapasy. Raczej głodowali podczas drogi, byle nie naruszać zapasów przeznaczonych na czarną godzinę dla starych rodziców i dzieci. Nie dożyli następnego dnia... Nie spożyta żywność pozostała w przedsionku krematorium. Popijam herbatę z rumem. Potem zapamiętałe piję. Po kilku szklaneczkach mija nerwowe napięcie. Uwalniam się od męczących myśli, czuję się swobodniejszy, moje ruchy stają się nieskrępowane. Czuję, jak przez moje żyły przebiega przyjemne ciepło. To oszołomienie spowodowane alkoholem. Palimy świetne papierosy z węgierskiego transportu. W kacecie cena jednego papierosa - jedna porcja chleba! Tu papierosy leżą na stole w kartonach po sto sztuk.

Toczy się ożywiona dyskusja. Przy stole reprezentowana jest Polska, Francja, Grecja, Rosja, Niemcy, Włochy. Mówimy po niemiecku - niemal wszyscy znają ten język. W toku rozmowy poznaję historię krematoriów. Budowały je dziesiątki tysięcy więźniów z kamienia i betonu. Miały być gotowe mimo surowej zimy. Każdy kamień został zboczony krwią nieszczęsnych więźniów. O głodzie i chłodzie, ubrani w szmaty, karmieni pomyjami, przez dzień i noc budowali straszliwą fabrykę śmierci po to, aby ich ciała zamieniły się w popiół na zmontowanych przez nich rusztach. Od tego czasu minęły dwa lata. Miliony ludzi wysiadały z pociągów na rampę i wchodziły przez bramy krematoriów. Poznaję dzieje Sonderkommanda. Obecne to już dwunaste z rzędu. Poznaję bohaterów poszczególnych komand i uzyskuję potwierdzenie tego, o czym powiedziano mi już w obozie - Son-derkommando żyje tylko kilka miesięcy. Wierzący od dnia przybycia tutaj mogą rozpocząć - według swoich praktyk - przygotowania do śmierci. Śmierć jest bowiem nieodwołalna. Tak było dotychczas z każdym Sonder-kommandem. Dochodzi północ. Członkowie Sonderkommanda są już ociążali od wypitego alkoholu. Nasza rozmowa rwie się, przygasa. Dyżurny esesman ostrzega, że pora iść spać. Żegnam się i idę się położyć. Dzięki mocnemu rumowi spokojnie przesypiam pierwszą noc. Pomogło mi w tym również całkowite wyczerpanie nerwowe.

## VII

Z rampy dobiega przeciągły ryk syreny. Jest wcześnie rano. Podchodzą do okna, z którego rozpościera się widok wprost na tory. Stoi na nich długi skład wagonów. W ciągu kilku minut esesmani odsuwają drzwi i już wylewa się kolejny transport „wybranego ludu Izraela”. Zbiórka i selekcja zajmują niecałe pół godziny. Lewa strona rusza wolnym krokiem. Do mego pokoju dochodzą odgłosy głośnych rozkazów i pośpiesznych kroków. Płyną one z kotłowni krematorium: trwają tam przygotowania do przyjęcia transportu. Odzywa się szum prądnic, rozpoczynają pracę ogromne wentylatory: w piecach podnosi się temperaturę do najwyższego stopnia. Pracuje jednocześnie kilka dużych wentylatorów. Przy każdym piecu jeden. Pomieszczenie, w którym pali się zwłoki, jest duże, jasne, wybielone, z betonową podłogą i olbrzymimi, okratowanymi oknami. Paleniska obudowano czerwoną cegłą, każdy piec osobno. Potężne, żelazne drzwiczki, wypolerowane do błysku, tworzą rząd ciemnych plam wzdłuż całej sali. Transport w ciągu pięciu-sześciu minut dociera do bramy. Otwierają się jej skrzydła. Kolumna piątkami, jak zwykle, wchodzi na dziedziniec. O tym, co teraz nastąpi, nikt na świecie nie wie, bo ten, kto mógłby przekazać wiadomość, nigdy już stąd nie wyjdzie. A więc droga tych z lewej strony wiedzie do krematorium. Bynajmniej nie do obozu wypoczynkowego dla starców,

chorych i dzieci, jak to podają Niemcy podczas selekcji tym, którzy zakwalifikowani zostali,

jako zdolni do pracy, na prawą stronę.

Idą wolno, zmęczonym krokiem. Na wpół senne dzieci uczezione spódnic matek. Niemowlęta trzymane w ramionach przez ojców. Niektórzy pchają wózki. Eskorta SS pozostaje za bramą. Tablica ostrzega, że obcym, nawet obcym esesmanom, wstęp wzbroniony! Przybysze natychmiast spostrzegają na podwórzu krany. Szeregi załamują się. Ludzie z naczyniami w ręku tłoczą się, aby ugasić pragnienie. Nic dziwnego, że są niecierpliwi. Przez pięć dni prawie nie pili wody, a to, co pili, było zatechłe i nie gasiło pragnienia. Straż SS, która przyjmuje transport, przyzwyczała się już do tej sceny. Cierpliwie czeka, aż wszyscy kolejno napełnią naczynia. Dopóki ludzie nie ugaszą pragnienia i tak nie zapanuje tu porządek. Powoli wracają wszyscy do szeregów. Idą około stu metrów po wysypanej żwirem alejce, aż do żelaznej bariery, skąd prowadzi kilka betonowych schodków w dół, pod ziemię, do betonowego pomieszczenia. Przed zejściem znajduje się ogromna tablica z napisami w języku niemieckim, francuskim, greckim i węgierskim, że tu znajduje się łaźnia i dezynfekcja. Ten napis uspokaja zarówno tych niczego nie podejrzewających, jak i tych, pełnych najgorszych przypuszczeń. Prawie z radością schodzą w dół po schodkach.

Transport trafia do obszernego, jasno oświetlonego i wybielonego pomieszczenia, które ma około 50 metrów długości. Środkiem sali ciągną się kolumny. Wokół kolumn i pod ścianami - ławki. Nad ławkami długi rząd wieszaków z numerami. Gęsto rozmieszczone tabliczki ogłaszają w różnych językach, że ubranie i obuwie należy związać i powiesić na wieszaku, a numer zapamiętać dokładnie, aby po powrocie z kąpeli nie powstał niepotrzebny tumult. „Prawdziwe niemieckie poczucie porządku!” - mówią ci, którym imponuje ta niemiecka cecha. Mają rację!

Rzeczywiście dzieje się to wszystko w imię porządku, po to, aby oczekiwane z utęsknieniem w Trzeciej Rzeszy tysiące par butów nie pomieszały się. To samo dotyczy ubrań - to ważna sprawa, aby bombardowanej ludności niemieckiej dostarczyć je w dobrym stanie. W pomieszczeniu znajdują się setki ludzi. Mężczyźni, kobiety, dzieci. Wchodzą żołnierze SS. Natychmiast pada komenda: wszyscy rozbierać się. Zostaje określony czas. Dziesięć minut! Starcy, dzieci, żony i mężowie stoją jak sparaliżowani. Kobiety i dziewczyny zawstyżone bezradnie spoglądają na siebie. Może nie zrozumiały dokładnie niemieckich słów? Rozkaz zostaje jednak powtórzony. Głos jest niecierpliwy, groźący.

Ludzie podejrzewają coś złego. Instynktownie wzbraniają się. Ale po chwili rezygnują. Przyzwyczailli się do sytuacji, w której można ich zmusić do wszystkiego. Powoli zaczynają się rozbierać. Starcom, kalekom i psychicznie chorym pomagają ludzie z Sonderkommanda. W ciągu 10 minut wszyscy są już nadzy. Na wieszakach wiszą ubrania, a buty związane sznurówkami stoją na baczność. Każdy dobrze zapamiętał numer swego wieszaka...

Esesmani torują sobie drogę w gęstym tłumie do znajdujących się w końcu sali szerokich, dwuskrzydłowych, dębowych drzwi. Otwierają je. Nadzy ludzie tłoczą się do następnej, również oświetlonej sali. Pomieszczenie jest o połowę mniejsze niż szatnia. Nie ma w nim wieszaków i ławek. Na środku wielkie, czworokątne słupy. Nie są to kolumny podtrzymujące sklepienie, tylko potężne blaszane rynnny, z ażurowymi, niby kratownica, bokami.

Już wszyscy są w środku. Rozlega się głośna komenda: SS i Sonderkommando opuścić łaźnię. Wychodzą, dokładnie sprawdzając, czy nikt z nich nie został. Drzwi zatraskują się. W łaźni gaśnie światło.

Tymczasem na dworze rozlega się warkot motoru. Przyjeżdża luksusowa karetka Czerwonego Krzyża. Wsiadają z niej

oficer SS i SDG (Sanitatsdienstgehilfe), czyli esesman z pomocniczej służby sanitarnej. Ten ostatni niesie w ręku cztery blaszane puszki pomalowane na zielono.

Wchodzą na trawnik, z niego na betonowy płaski dach, nad którym sterczą niskie, betonowe kominy. Podchodzą do pierwszego. Wkładają maski gazowe. Zdejmują przykrywą komina. Jest ciężka, z betonu. Otwierają patentowy zamek jednej z puszek i jej zawartość - zielonkawę ziarną

wielkości fasoli - wysypują przez otwór. Kryształy wpadają do blaszanych rynien, znajdujących się w podziemnym pomieszczeniu - nie wysypują się na zewnątrz, pozostają w rurach. To cyklon. Natychmiast po zetknięciu się z powietrzem wydziela się gaz. Gaz rozchodzi się przez otwory: w ciągu kilku sekund wypełnia całe pomieszczenie, w którym kłębią się tłumy ludzi. W ciągu pięciu minut koniec z całym transportem.

Sanitarka z czerwonym krzyżem pojawia się z przybyciem każdego transportu. Przywozi gaz skądś z zewnątrz. W krematorium nigdy nie ma pełnych puszek. To przebiegła ostrożność, ale czyż nie większą przebiegłą podłością jest fakt, że samochód, którym przewozi się puszki z gazem, nosi międzynarodowy znak Czerwonego Krzyża?

Dwóch katów, którzy przywieźli gaz, czeka jeszcze pięć minut, aby upewnić się, czy dobrze wykonali swoją pracę. Zapalają papierosy i wsiadają do samochodu. Zamordowali trzy tysiące ludzi!

Po dwudziestu minutach idą w ruch elektryczne wentylatory, aby usunąć gaz. Otwierają się drzwi. Nadjeżdżają samochody ciężarowe. Jedna z grup Sonderkommanda ładuje osobno na ciężarówkę buty, osobno ubrania. Wiozą je do dezynfekcji. Tym razem do prawdziwej dezynfekcji. Stamtąd wagonami rozwiezie się ten łup do różnych ośrodków w Niemczech.

Nowoczesne wentylatory wysysają gaz, ale pozostaje on jeszcze w niewielkich ilościach, w kątach, szparach, wśród umarłych. Wciągnięcie do płuc choćby małego haustu, nawet po godzinach, powoduje duszący kaszel. Dlatego też grupa więźniów Sonderkommanda, która wkracza do tego pomieszczenia z gumowymi hydrantami, wkłada maski gazowe. Sala jest znów jasno oświetlona. Przed wkraczającymi rozpościera się straszliwy obraz. Zwłoki nie leżą rozsiane na podłodze sali, tylko wznoszą się w potwornym, splątanym, wysokim stosie. Kryształy wydzielające gaz, zatrują początkowo dolne warstwy powietrza, nad samą podłogą, dopiero stopniowo gaz wznosi się coraz wyżej. Dlatego nieszczęśnicy tratują się nawzajem, wchodząc jedni na drugich. Tych, co są wyżej, gaz dosięgnie później. Jak straszliwa walka rozgrywa się tu o życie! O jedną, dwie minuty życia! Gdyby jeszcze zdolni byli do myślenia, zrozumieliby, że na darmo depczą swoich rodziców, żony, dzieci; ale oni już nie myślą, kieruje nimi wyłącznie instynkt samozachowawczy. Obserwuję, że na samym spodzie tej piramidy leżą niemowlęta, na nich dzieci, potem kobiety i starcy, a na wierzchu najsilniejsi mężczyźni.

Splecione w śmiertelnym uścisku ciała, z krwawiącymi nosami, z krwawiącymi ustami, podrapane do krwi w walce. Głowy spuchnięte, zsiniałe, zmienione nie do poznania. A mimo to ludzie z Sonderkommanda często poznają wśród umarłych swoich bliskich... I ja boję się okropności takiego spotkania.

Nie mam tu nic do roboty, ale mimo wszystko zszedłem na dół, między umarłych. Mam wobec swego narodu i wobec świata obowiązek; gdybym w wyniku jakiegoś zupełnie nieprawdopodobnego zrzędzenia losu wyszedł mimo wszystko stąd żywy - na co zresztą trzeźwo myśląc nie mogę liczyć - mógłbym dać świadectwo temu, co tu na własne oczy widziałem.

Jedna z grup Sonderkommanda w wysokich, gumowych butach staje wokół góry trupów i splukuje ją mocnym strumieniem wody. Jednym z ostatnich momentów gazowej śmierci jest bowiem wypróżnienie - wszystkie trupy są zanieczyszczone.

Gdy już zakończono tę „kąpiel umarłych” - z jakim bólem i samozaparciem wykonuje Sonderkommando tę pracę - rozpoczyna się rozplątywanie góry ciał. Ciężka to praca;

zakładając postronki na przeguby zaciśniętych w pięści dłoni rozrywa się piramidę, wlecze się śliskie, mokre zwłoki do znajdującej się w sąsiedniej sali windy. Pracuje tam wielki dźwig towarowy. Na platformę kładzie się po dwadzieścia - dwadzieścia pięć trupów. Dzwonkiem sygnalizuje się, że winda może ruszyć. Podjeżdża ona w górę, do krematorium - wielkie drzwi rozchylają się automatycznie. Czeka przy nich następna część komanda. Na przeguby umarłych znów zakłada się postronki i ciągnie się zwłoki po śliskim pasie, po betonowej podłodze i układa przed piętnastu paleniskami pieców. Zwłoki starych, młodych i dzieci leżą długim rzędem na betonie. Z nosa, z ust, z pokaleczonych ciał sączy się krew, miesza się z płynącą nieustannie po betonowej podłodze wodą, lejącą się z otwartych kranów.

Teraz następuje kolejny akt wzbogacania się na ofiarach. I Trzecia Rzesza przywłaszczyła sobie już ich ubrania i buty. I Włosy również są wartościowym materiałem, używanym do I produkcji bomb z opóźnionym zapłonem. Ludzki włos nie reaguje na suche i wilgotne powietrze. Ta jego właściwość gwa-! rantuje precyzyjną punktualność wybuchu bomby. A więc strzyże się umarłych.

Majątkiem Trzeciej Rzeszy jest nie złoto, ale praca ludzka - grzmi na cały świat propaganda. A oto rzeczywistość: ośmiu ludzi z „dentystycznego komanda” stoi przed piecami, w ich rękach dwa rodzaje narzędzi czy też instrumentów. W jednym ręku

nienia opieki dentystycznej w obozie. Zgłosili się, bo byli przekonani, że otrzymają zajęcie zgodne ze swoim wykształceniem. Wpadli do piekła krematorium. Tak samo jak ja.

Złote zęby wrzuca się do wiaderka wypełnionego kwasem solnym. Kwas zeżre cząstki mięsa i kości. Zostanie samo złoto. Inne rzeczy, jak: perły, złote i platynowe łańcuchy, pierścienie, wrzuca się do osobnej, przeznaczonej specjalnie do tego celu, zamkniętej skrzyni. Przedmioty wrzuca się przez szparę w wieku. Złoto to ciężki metal.

Prowizorycznie oceniam, że w każdym krematorium zbiera się codziennie kilka kilo: Oczywiście zależy to od transportu. Są transporty biedne i bogate, w zależności od tego, skąd pochodzą.

Transporty z Węgier przybywają na rampę już całkowicie ograbione. Transporty z terenów Holandii, Czech i Polski, mimo wieloletniego getta, ustrzegły jednak swoją biżuterię, złoto i dolary. W ten sposób bogaci się Trzecia Rzesza.

Kiedy już ostatni złoty ząb został wyrwany, ofiary przechodzą w ręce komanda pracującego przy piecach. Pracuje ono trójkami, umieszczając zwłoki na specjalnych noszach, sporządzonych ze stalowych płyt na kółkach. Ciężkie, żelazne drzwiczki pieców otwierają się automatycznie. Wózki toczy się do rozpalonego do białości wnętrza. Tam zrzucają one swój ładunek, po czym cofają się. Są rozżarzone do czerwoności. Dwóch ludzi leje na nie potężne strumienie wody z gumowych węzów.

Ciała spalają się w ciągu dwudziestu minut. W krematorium pracuje piętnaście palenisk. Dzienna przepustowość - pięć tysięcy ludzi. Wszystkie cztery krematoria mają taką samą przepustowość<sup>22</sup>.

Dwadzieścia tysięcy ludzi wchodzi codziennie do komór gazowych, a stamtąd trafia do pieców. Dusze tysięcy ludzi ulatują codziennie przez kominy. Nie pozostaje po nich nic więcej, poza kupką popiołu na podwórzu krematorium. Samochody wywożą te prochy nad odległą stąd o dwa kilometry Wisłę i rzucają w jej fale.



## VIII

Laboratorium i sala sekcyjna powstały na życzenie mego szefa, doktora Mengele, aby zaspokoić jego naukowe ambicje. Urządzono wszystko w ciągu kilku dni i doktor Mengele czekał jedynie na specjalistę od sekcji zwłok, by rozpocząć swoje badania. Tu, na terenie obozu koncentracyjnego, otwierają się nieograniczone możliwości do przeprowadzania badań anatomo-patologicznych w bardzo wielu przypadkach samobójstw, prac nad zagadnieniem bliźniactwa, wad rozwojowych: karłowatości i gigantyzmu. Takiej ilości zwłok do sekcji, jak tutaj, nigdzie indziej nie można znaleźć. Z własnego doświadczenia wiem, że w największych, światowej sławy klinikach instytuty medycyny sądowej oraz instytuty sekcji zwłok otrzymują rocznie zaledwie sto, sto pięćdziesiąt ciał, natomiast w oświęcimskim kacecie znajduje się „materiał badawczy” idący w miliony.

Każdy, kto przekroczył bramy kacetu, może stanowić przedmiot sekcji zwłok. Kogo ślepy los rzuci na lewą stronę, ten za pół godziny trafia do komory gazowej i staje się trupem. I ci są szczęśliwsi. Inni, kierowani na prawą stronę, są skazani na długotrwałe męczarnie. Oni również są kandydatami do sekcji zwłok, ale ich życie zakończy się dopiero za trzy-cztery miesiące, w ciągu których przyjdzie im poznać całe piekło kacetu. Będą padać

pod ciężarem niewolniczej pracy. Krwawić z tysiąca ran. Ginać z głodu. Tracić zmysły i wyć z wytrzeszczonymi oczyma. Zamarzać na polach. Wytresowane psy będą z nich wrywać resztkę mięsa. A gdy na ich wysuszonych do kości ciałach nie znajdą pożywienia nawet wszy, dopiero wówczas przyjdzie po nich śmierć-wyzwolicielka. Któż więc z ojców, matek, braci, sióstr oraz dzieci wyciągnął lepszy los: czy ci, którzy trafili na prawo, czy też ci, którzy znaleźli się po lewej stronie?

Natychmiast po przybyciu transportu jeden z esesmanów przechodzi wzdłuż ustawiającego się szeregu i wyszukuje bliźnięta oraz karły. Matki spodziewają się po tym czegoś dobrego i bez namysłu oddają swoje dzieci. Starsi zaś przypuszczają, że będąc bliźniakami stanowią ciekawy materiał dla badań naukowych: to może im wyjść tylko na dobre i zgłaszają się z ochotą. Tak samo rozumują karły.

Bliźnięta i karły zostają więc oddzielone i przechodzą na prawą stronę. Strażnicy odprowadzają tę grupę do specjalnego baraku. W baraku tym jest dobre wyżywienie, są wygodne miejsca do spania, odpowiednie warunki higieniczne, obowiązuje dobre obchodzenie się z więźniami.

Jest to blok 14 w obozie Bllf. Stąd, pod eskortą, przechodzą do wspomnianego już eksperymentalnego bloku w obozie cygańskim. Tam wykonuje się na nich wszystkie lekarskie badania, które można przeprowadzić na żywym człowieku. Badania krwi, nakłucia łądzwiowe, wymienne przetaczanie krwi między bliźniakami i niezliczoną ilość różnych innych badań; wszystkie są bolesne i wyczerpujące. Malarka z Pragi, Dina, przygotowuje porównawcze rysunki kształtów głów, małżowin usznych, nosów, ust, rąk i nóg bliźniaków. Każdy rysunek trafia do specjalnej teczki, zawierającej dokładne dane

osobiste, a ponadto wszystkie karty wyników badań, przeprowadzanych w trakcie doświadczeń. Identycznie postępuje się z kartami

Doświadczenia te - pod płaszczykiem badań lekarskich -przeprowadzane in vivo, to jest na żywym organizmie, dalekie są od wyczerpania zagadnienia bliźmactwa z punktu widzenia naukowego. Są względne. Niewiele mówią. Następuje więc kolejny i najważniejszy etap badań - analiza na podstawie sekcji zwłok. Porównanie normalnych lub rozwiniętych patologicznie, względnie chorych organów. Ale aby to mogło nastąpić - trzeba zwłok. Ponieważ sekcja zwłok i analiza poszczególnych organów musi być wykonywana jednocześnie, bliźnięta muszą jednocześnie umrzeć. A więc umierają jednocześnie w eksperymentalnym baraku oświęcimskiego kacetu, w obozie Bllld; doktor Mengele pozbawia je życia.

Następuje tu jedyny w swoim rodzaju w medycynie przypadek, że w tym samym momencie umiera dwoje bliźniąt i powstaje możliwość dokonania sekcji ich zwłok. Czy zdarza się gdzie indziej na świecie taki graniczący z cudem przypadek, aby obaj bliźniacy umarli jednocześnie i można było dokonać sekcji ich zwłok?! Warunki życiowe rozdzielają bliźniaków. Żyją nieraz oddaleni od siebie o dziesiątki czy setki kilometrów, nie umierają na zawołanie. W normalnych warunkach nie ma możliwości przeprowadzenia porównawczej sekcji zwłok bliźniąt. W oświęcimskim obozie żyją natomiast setki bliźniąt, a ich uśmiercanie stwarza setki możliwości badawczych. Dlatego dr Mengele wybiera na rampie bliźnięta i karty. Dlatego idą na prawą stronę, a następnie dostają się do „dobrego” baraku. Dlatego korzystają do czasu z lepszego wyżywienia, dlatego mogą myć się, aby przypadkiem jedno z nich nie zachorowało i nie umarło wcześniej. Mogą umierać tylko parami, w pełni zdrowia, jednocześnie! Wchodzi oberkapo Sonderkommanda. Powiadamia mnie, że przy bramie krematorium oczekuje mnie esesman z grupą więźniów niosących zwłoki. Wychodzę do nich, ponieważ obcym,

a więc i im, nie wolno wchodzić nawet na podwórze. Odbieram od esesmana dokumenty. Wręcza mi teczki z papierami pary bliźniąt. Złożone z kobiet komando stawia przede mną przykryte nosze. Uchylam prześcieradło. Leżą pod nim zwłoki dwuletnich bliźniąt. Wzywam swoich ludzi, aby przenieśli nosze do sali sekcyjnej i umieścili je na stole. Otwieram teczki i przeglądam dokumenty. Zawierają one naukowe rozpracowanie obu bliźniaków, poparte zdjęciami radiologicznymi, rysunkami, wynikami badań lekarskich na wysokim klinicznym poziomie. Brakuje jedynie protokołu sekcji zwłok. To już moje zadanie!

Tych dwóch małych bliźniaków umarło jednocześnie. Na wielkim stole sekcyjnym leżą ich ciała. Swoją śmiercią umożliwiają dokonanie na nich sekcji, mają przyczynić się do rozwiązania tajemnicy rozmnażania się.

„Wielkim celem” tych badań jest wzmożenie przyrostu naturalnego powołanej do panowania „wyższej rasy”. Chodzi dokładnie o to, aby każda niemiecka matka rodziła w przyszłości bliźniaki.

Ten plan - to szaleństwo! Wymyśliły go chore umysły rasistowskich teoretyków Trzeciej Rzeszy. Przeprowadzenia potrzebnych badań' podjął się zaś doktor Mengele, Standortarzt obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, „Kriminal-doktor” o wielkim przygotowaniu, lekarz-złoczyńca.

To najniebezpieczniejszy typ wśród zbrodniarzy, posiadający w dodatku ogromną władzę. Posyła na śmierć miliony, ponieważ według niemieckiej teorii rasy to nie ludzie, lecz stworzenia niższego gatunku, mające szkodliwy wpływ na ludzkość.

Tenże sam złoczyńca całymi godzinami siedzi przy mnie wśród mikroskopów, probówek i szklanych kolb lub godzinami stoi przy stole sekcyjnym w zakrwawionym kitlu badając i szperając zakrwawionymi rękami. Chodzi o rozmnożenie rasy germańskiej,

celem ostatecznym jest to, aby wystarczyło Niemców do zaludnienia terenów uznanych za Lebensraum Trzeciej Rzeszy, z których usunie się przedtem Czechów, Węgrów, Polaków, Holendrów i inne narody.

Kończę sekcję zwłok bliźniaków. Sporządzam protokół, wpisuję do księgi dokładnie wszystkie spostrzeżenia. Widzę, że Mengele jest zadowolony z mojej pracy. Z pewnym trudem odczytuje moje przypominające druk pismo. To w Ameryce nauczyłem się w ten sposób pisać. Poddaję mu, że jeżeli życzy sobie mieć przejrzyste pisane protokoły i księgi, to niech się postara o maszynę do pisania. Na maszynie pisałem również w domu.

- Do jakiego typu maszyny jest pan przyzwyczajony? - pyta.

- Do Olympii Elit - odpowiadam.

- W porządku. Dostanie pan taką maszynę. Jutro ją przyślę. Żądam porządnej roboty, bo dokumenty idą do Instytutu Badań Antropologicznych i Biologiczno-Rasowych Berlin-Dahlem.

A zatem badania te odbywają się pod nadzorem wybitnych naukowców jednego z najgłośniejszych instytutów medycznych.

Na drugi dzień esesman przynosi mi maszynę do pisania -Olympię.

Otrzymuję też kolejne zwłoki bliźniaków. Przyniesiono cztery pary bliźniaków z obozu cygańskiego. Są to cygańskie dzieci, wszystkie poniżej dziesięciu lat.

Kończę sekcję zwłok jednej pary bliźniaków. Protokołuję poszczególne fazy sekcji. Zdejmuję pokrywę czaszki. Wyjmuję mózg z rdzeniem przedłużonym. Dokładnie oglądam. Następnie otwieram klatkę piersiową, wyjmuję mostek. Wydobywam język z przełykiem przez nacięcie pod żuchwą. Wyjmuję tchawicę i oba płaty płuc. Obmywam narządy celem dokładnego ich obejrzenia. Wszystko bardzo zakrwawione, a przecież każda najdrobniejsza plamka, odbarwienie, może dać ważne wskazówki. Otwieram worek osierdziowy, zbieram zawarty w nim wysięk.

Wyjmuję serce. Pod bieżącą wodą zmywam krew. Obracam w dłoni. Na zewnętrznej stronie mięśnia lewej komory dostrzegam bladoczerwoną plamkę wielkości łebka od szpilki, prawie nie różniącą się od otoczenia. Nie mogę się mylić. Ukłucie igłą, bardzo delikatną. Naturalnie igłą od strzykawki. Z jakiego powodu dziecko dostało zastrzyk dosercowy? Zastrzyk dosercowy może dostać ktoś w przypadku nagłej niedomogi serca. Zaraz się dowiem. Nacinam serce, otwieram lewą komorę. Przy sekcji zazwyczaj zbieramy i mierzymy krew zawartą w lewej komorze. Postępowania tego nie można tu zastosować, gdyż krew zamieniła się w twardy skrzep. Szczypczykami oddzielam skrzep i wacham. Uderza mnie specyficzny, mocny zapach fenolu. A więc dziecko otrzymało zastrzyk z fenolu.

Kolana drżą mi ze zdenerwowania. Odkrywam jedną z najciemniejszych tajemnic wiedzy lekarskiej Trzeciej Rzeszy. A więc tu zabija się nie tylko przy pomocy gazu, ale również zastrzykami fenolu wprost do serca! Na czoło występuje mi perlisty pot. Na szczęście

jestem sam. Trudno byłoby mi ukryć podniecenie przed innymi. Kończę sekcję. Dokonuję oceny znalezionych anomalii, spisuję je, ale nie wspominam ani słowem o ukłuciu na lewej komorze serca i znalezionej zakrzepłej grudce krwi. To ostrożność z mojej strony. Mam w ręku przysłane przez dra Mengele teczki bliźniaków. One również zawierają dokładne dane, wyniki badań, zdjęcia rentgenowskie, rysunki. Nie ma w nich jednak ani słowa o przyczynie śmierci. Ta rubryka pozostaje pusta. I ja również nie wypełniam w protokole sekcji zwłok punktu dotyczącego powodu zgonu. Nie byłoby wskazane przekroczyć granicy rozsądku i wpisać to, co stwierdziłem. Nie jestem tchórzem. Mam silne nerwy. Dokonałem w swoim życiu wielu sekcji zwłok i wykrywałem niezliczoną ilość różnego rodzaju przyczyn śmierci. Widziałem zamordowanych z zemsty, zazdrości lub chęci zysku. Ustalałem sposoby popełniania samobójstwa oraz objawy chorób, które spowodowały śmierć.

Przyzwyczałem się do wykrywania doskonale ukrytych w ciele przyczyn zgonu. Wiele razy napotykałem niespodzianki zapierające dech w piersiach. Ale teraz przebiegł mi po grzbiecie zimny dreszcz strachu. W wypadku, gdyby dr Mengele domyślił się, że znam tajemnicę zastrzyków, jestem pewny, że przynajmniej dziesięciu lekarzy z Politische Abteilung<sup>23</sup> przybyłoby tutaj, aby stwierdzić mój zgon.

Zwłoki, po dokonaniu sekcji, przekazuję zgodnie z poleceniem do krematorium, gdzie natychmiast zostają spalone.

Przechowuję jedynie ciekawe, z naukowego punktu widzenia, części organów, aby dr Mengele mógł osobiście rzucić na nie okiem. A te, które mogą być ciekawe dla instytutu w Berlin-Dahlem, mam zakonserwować. Przesyłki, odpowiednio zapakowane, są wysyłane pocztą. Żeby szybciej dochodziły do adresata, otrzymują stempel: „Pilne, przesyłka ważna dla celów wojennych”. Podczas mojej pracy wysłałem niezliczoną ilość takich paczek do instytutu Berlin-Dahlem, a odwrotną pocztą otrzymywaliśmy wyczerpujące naukowe uwagi bądź polecenia. Założyłem osobne teczki dla przechowywania korespondencji. Znalazły się w nich różne listowne podziękowania, przesyłane przez instytut doktorowi Mengele za specjalnie ciekawe eksponaty. Kończę sekcję zwłok pozostałych trzech par bliźniaków. Dokonuję porównania narządów. I u tych ofiar również stwierdzam, że przyczyną śmierci były zastrzyki fenolu do serca...

Robię ciekawe spostrzeżenia: z czterech par bliźniąt trzy różnią się barwą oczu. Jedno oko niebieskie, drugie brązowe. Zjawisko to zdarza się i u nie-bliźniąt, ale w tym przypadku na ośmiorgo dzieci wystąpiło aż u sześciorga! Niezwykle ciekawe nagromadzenie nieprawidłowości! W języku lekarskim nazywa się to heterochromią, tj. różnobarwnością. Wydobywam oczy, umieszczam każde osobno w roztworze formaliny. Opatruję słoiki dokładnymi opisami, aby eksponaty nie pomieszały się.

W czasie sekcji u czterech par bliźniąt stwierdzam pewne zmiany. Ściągnąwszy skórę szyi na boki, nad górną częścią mostka stwierdzam ropniak wielkości orzecha laskowego. Przy naciśnięciu szczypczykami wydobywa się z niego gęsta ropna ciecz. Bardzo rzadki, ale znany w medycynie objaw. Tak zwany ropniak Duboisa, występujący przy kile dziedzicznej. Stwierdzam go u ośmiorga bliźniąt. Wycinam ropnie wraz z otaczającą je zdrową tkanką i umieszczam w słoikach z formaliną. U dwojga bliźniąt stwierdzam gruźlicę jamistą. Wszystkie te spostrzeżenia opisuję w protokole, jedynie rubrykę

„przyczyna zgonu" pozostawiam pustą.

W godzinach popołudniowych odwiedza mnie dr Mengele. Referuję mu wyniki pracy. Przekazuję protokoły sekcji zwłok pięciu par bliźniąt. Siada na krześle, z uwagą czyta dokumenty. Bardzo interesuje go heterochromia oczu, a jeszcze bardziej istnienie ropniaków Dubois'a. Wydaje polecenie, abym cały materiał zapakował i wysłał pocztą załączając protokoły i podając przyczyny zgonu. Obojętne jakie, byle przyczyny śmierci były różne. Prawie usprawiedliwiając się dodaje, że te dzieci, jak sam widzę, były zarażone syfilisem i gruźlicą, a więc... Więcej nie mówi. I tak powiedział już wszystko: usprawiedliwił zamordowanie dziesięciorga dzieci. Nie kwituję tego żadną uwagą. Przyjmuję do wiadomości, że w tym środowisku lekarskim gruźlicy nie leczy się odmą, a syfilisu neosalwarsanem, lecz zastrzykami fenolu do serca.

Włosy dosłownie stają mi dęba, gdy uzmysławiam sobie, jak wiele spraw przyjąłem do wiadomości w ciągu krótkiego pobytu tutaj i jak wiele jeszcze będę musiał się dowiedzieć bez słowa sprzeciwu, póki i mnie nie spotka koniec. Zdawałem sobie z tego sprawę w momencie przekraczania bramy, ale teraz, znając już tyle tajemnic, nie mam żadnych wątpliwości, że jestem żywym trupem. Przecież to niemożliwe, aby dr Mengele i instytut w Berlin-Dahlem wypuścili mnie stąd żywego!

## IX

Jest już pod wieczór. Mengele oddalił się. Pozostaję sam z przygnębiającymi myślami. Mechanicznymi ruchami porządkuję salę; układam instrumenty, myję ręce, przechodzę do gabinetu. Zapalam papierosa i siadam, aby trochę się uspokoić. W tym samym momencie rozlega się przerażający, ścinający krew w żyłach krzyk. Zaraz potem następuje trzask, a następnie słychać odgłos upadającego, ciężkiego ciała. Zamieram, w napięciu oczekuję, co nastąpi. Nie mija nawet minuta i znów rozlega się ten wstrząsający krzyk, nowy trzask, znów pada ciało. Naliczyłem siedemdziesiąt takich potwornych, śmiertelnych krzyków, siedemdziesiąt trzasków i tyleż ciężkich upadków. Oddalają się ciężkie kroki, wszystko cichnie.

Miejscem, gdzie przed chwilą rozegrała się straszliwa tragedia, jest pomieszczenie obok sali sekcyjnej, do którego prowadzą oddzielne drzwi z korytarza. Pusty, mroczny pokój z betonową podłogą, okratowane okno wychodzi na tylne podwórze. Używam tego pomieszczenia do przechowywania zwłok przed sekcją. Również po dokonaniu sekcji zwłoki są tu składane, dopóki nie zostaną spalone. Przed wejściem do pokoju stos brudnych, kobiecych sukien, znoszone drewniaki, okulary i kawałki suchego chleba: rzeczy charakterystyczne dla uwięzionych w kacecie kobiet.

Wchodzę do pokoju. Po tym, co słyszałem, byłem przygotowany, że zobaczę coś wstrząsającego, ale obraz, jaki rozpościera

się przede mną, kiedy rozglądam się po ciemnym pomieszczeniu, przechodzi wszelkie wyobrażenia okropności. Przede mną leży siedemdziesiąt pokrwawionych nagich ciał młodych kobiet. Jedne na drugich, skąpane we krwi. Podchodzę bliżej. Ze wzrastającym przerażeniem stwierdzam, że nie wszystkie jeszcze umarły. Niektóre żyją: konwulsyjnie poruszają rękami i nogami, podnoszą zakrwawione głowy, oczy mają szeroko otwarte.

Unoszę jedną z ruszających się głów, drugą, trzecią i odkrywam jeszcze jedną prawdę: oprócz zabijania gazem, zastrzykami, stosuje się tu jeszcze trzeci rodzaj śmierci. Strzał w potylicę. Miejsce wlotu kuli zdradza, że pochodzi ona z sześciomilimetrowej, tak zwanej małokalibrowej broni; rany ani otworu wylotowego nie ma. To wskazuje, że użyto miękkiej, ołowianej kuli. Rozpłaszcza się ona na czaszce i zostaje wewnątrz. Niestety, jestem fachowcem i w ciągu kilku chwil wiem dokładnie, co było przyczyną śmierci. Nie dziwię się już, że małokalibrowe kule nie u każdej ofiary powodowały natychmiastową śmierć, mimo iż ślady opalenia na skórze wskazują, że strzał oddano z odległości trzech, czterech centymetrów prosto w kierunku potylicy. Jeżeli nabój zboczy o jeden, dwa milimetry, nie powoduje natychmiastowej śmierci.

I to przyjmuję do wiadomości. Już nie myślę, boję się, że oszaleję. Wychodzę na podwórze, pytam jednego z ludzi Sonderkommando, skąd przywieziono siedemdziesiąt nieszczęśnic. To wyselekcjonowane z obozu BIIc - odpowiada. Co wieczór o godzinie siódmej ciężarówka przywozi siedemdziesiąt ofiar. Wszystkie otrzymują strzał w potylicę.

Z ciężką głową, na pół przytomny chodzę po wysypanych żwirem alejkach i zielonych trawnikach. Obserwuję wieczorne zajęcia Sonderkommando. Dziś nie ma nocnej zmiany. Krematorium I nie pracuje. Spoglądam w stronę krematoriów II, III i IV. Kominy zieją ogniem.

Jeszcze za wcześnie na kolację. Sonderkommando przynosi przepisową futbolówkę. Ustawiają się dwie drużyny: SS kontra Sonderkommando. Po jednej stronie boiska stają strażnicy, a po drugiej więźniowie z Sonderkommando. Kopią piłkę. Na podwórzu rozlega się głośny śmiech. Złożona z esesmanów i ludzi Sonderkommando publiczność kibicuje i zachęca zawodników do gry, jakbyśmy znajdowali się na jakimś zwyczajnym boisku w małym miasteczku. Ze zdumieniem przyjmuję i to do wiadomości. Ale nie czekam zakończenia meczu, odchodzę do swojego pokoju. Spożywam kolację i połykam dwie tabletki luminalu 0,10. Spać, tylko spać. Jestem bliski kompletnego załamania. Zapaść się bez reszty w sen wywołany luminalem - to jedyny ratunek

## X

Rano budzę się nieco oszołomiony. Przechodzę do znajdujących się w sąsiednim pomieszczeniu pryszniców i przez pół godziny puszczam na siebie strumienie lodowatej wody. Czuję, że wpływa to bardzo dobrze na moje poszarpane nerwy. Mija również oszołomienie wywołane luminalem. Znów mam do czynienia z niemieckim poczuciem porządku: do dyspozycji Sonderkommando znajduje się tu dziesięcioosobowy prysznic, a pomieszczenie wyłożone jest białymi kafelkami. Ci, co pracują przy trupach, muszą się często myć. Kąpiel jest obowiązkowa dwa razy dziennie. Każdy chętnie korzysta z tego obowiązku.

Biorę swoją elegancką, lekarską torbę. Jeden z ludzi Sonderkommando przyniósł ją dla mnie z szatni, gdzie pozostawił ją lekarz skazany na śmierć w komorze gazowej. W

torbie znajduje się aparat do mierzenia ciśnienia krwi, słuchawki, delikatne strzykawki, instrumenty, zastrzyki potrzebne przy udzielaniu pierwszej pomocy. Torba jest niezwykle przydatna w mojej zewnętrznej praktyce. Zewnętrzna praktyka oznacza moją działalność na terenie czterech krematoriów. Wizytę zaczynam od budynku, w którym mieszkam. Przechodzę najpierw przez pomieszczenie SS, badam chorych. Zawsze zgłaszają się chorzy. Tu każdy chętnie choruje przez trzy, cztery dni, aby wypocząć po wyczerpującej służbie. Zdarzają się również poważniejsze przypadki.

Leczenie chorych nie napotyka trudności. W dziedzinie zaopatrzenia w lekarstwa moglibyśmy współzawodniczyć z najzasobniejszą berlińską apteką. Zajmuje się tym specjalne komando, do którego zadań należy otwieranie bagaży i pakunków transportów idących do gazu, by sprawdzić, co znajduje się w ich wnętrzu. Wszystkie znalezione lekarstwa są przez więźniów tego komanda starannie zbierane i przekazywane mnie. Ja porządkuję i grupuję leki według ich przeznaczenia. Jest to trudna praca, ponieważ transporty przychodzą ze wszystkich stron Europy i lekarstwa mają oznakowania w różnych językach. Z trudem odczytuję greckie, polskie, czeskie i holenderskie napisy. Charakterystyczne, że większość znalezionych w transportach medykamentów to środki uspokajające nerwy - symptomatyczne dla nerwowego stanu zagonionych na śmierć mieszkańców Europy.

Gdy już zakończyłem wizytowanie chorych w pomieszczeniu SS, przechodzę do kwater Sonderkommanda. Tu muszę opatrzyć kilka ran po oparzeniach. To bardzo częsty wypadek u więźniów pracujących przy paleniskach. Schorzenia pochodzenia organicznego raczej nie zdarzają się wśród ludzi z Sonderkommanda. Ich pościel i ubrania są czyste, wyżywienie dobre, można powiedzieć - znakomite. Poza tym wszyscy to wybrani, młodzi, silni i zdrowi ludzie. Tym więcej tu jednak załamanych psychicznie. Świadomość straszliwej prawdy, że tutaj właśnie giną ich bracia, żony, dzieci, rodzice, liczni rodacy, że wloką po betonie i palą codziennie tysiące zwłok, że sami siebie zamieniają tu w popiół, powoduje ciężkie depresje i melancholie. Każdy ma przeszłość, którą wspomina z bólem, i przyszłość, o której myśli z przerażeniem, bo przyszłość Sonderkommanda wyraża się w bardzo nikłej jednostce czasu. Tragiczne doświadczenia czterech lat istnienia obozu dowodzą, że każde Sonderkommando żyje tylko cztery miesiące. Gdy ten czas minie, zjawia się nieoczekiwanie większa jednostka SS, spędza ludzi

komanda na tylne podwórze krematorium, jedna salwa - i za pół godziny przyjeżdża nowo zebrane Sonderkommando<sup>24</sup>. Rozbiera martwych poprzedników i w pół godziny później pozostaje po nich tylko garść popiołu. Pierwszą pracą nowego komanda jest bowiem spalenie poprzedniego.

Przy każdej okazji, kiedy odbywałem wizytację chorych na kwaterach Sonderkommanda, niektórzy odwoływali mnie na bok i prosili o szybko i skutecznie zabijającą truciznę. Odmawiałem wszystkim. Dziś żałuję, że tak postępowałem. Umieraliby szybko i niezawodnie - tak, jak tego sobie życzyli. Ale nie zadali sobie sami śmierci, co byłoby dla nich na pewno lepsze, lecz zginęli z rąk katów.

## XI

Następnym etapem mojego lekarskiego obchodu jest II krematorium. Jest ono oddzielone polną drogą i ślepych torem żydowskiej rampy od I krematorium. Oba bloki zostały zbudowane według jednego planu. Jest tu identyczna szatnia, komora gazowa, takie same piece, pomieszczenia SS i Sonderkommando. Jediną różnicą jest to, że pomieszczenie, które w I krematorium przeznaczono na salę sekcyjną, w II krematorium służy jako odlewnia złota. To tutaj przynosi się zebrane we wszystkich krematoriach złote zęby, biżuterię, złote monety, drogie kamienie, platynę, zegarki, papierośnice i inne przedmioty zrobione ze szlachetnych metali, które zebrano z transportów lub wyrwano umarłym. Pracuje tu trzech mistrzów złotniczych. Najpierw dezynfekują oni wszystko, a później całe to bogactwo sortują. Drogie kamienie wyjmują z oprawy i dopiero potem złoto wędruje do kotła. Dzienna „produkcja” z zebranych w krematoriach złotych zębów i wartościowych przedmiotów daje kilkanaście kilogramów złota w sztabach. Złoto odlewa się tutaj w grafitowych formach, nadając mu kształt krążków o średnicy około 5 centymetrów. Waga jednego złotego krążka wynosi 140 gramów. Wiem to dokładnie, ponieważ zważyłem je na wadze w swoim laboratorium. Dentyści, którzy wrywają zęby zwłokom leżącym pod piecami, nie wrzucają wszystkich złotych mostków do kubła z kwasem solnym,

część - raz mniej, raz więcej - wędruje do kieszeni dentystów. Zależy to od tego, czy esesmani stoją bliżej, czy dalej od miejsca ich pracy. Tak samo postępuje komando, pracujące w szatni i poszukujące wartościowych przedmiotów, kamieni i złotych monet, pozostawionych w bagażach lub zaszytych w ubraniach. To bardzo niebezpieczny, grożący śmiercią proceder, bo esesmani są wszędzie i niezwykle surowo strzegą majątku, który przeszedł na własność Trzeciej Rzeszy. Zwłaszcza złota i szlachetnych kamieni. Początkowo nie wiedziałem, jak z moralnego punktu widzenia ocenić zdobywanie złota przez Sonderkommando, ale po kilku dniach, kiedy bardziej rozeznałem się w sytuacji, pochwaliłem ten sposób postępowania.

Zdobyte złoto ludzie z Sonderkommando również zanoszą do odlewni. Mimo najsurowszej kontroli znajduje się jednak sposób, aby tam dotrzeć. Złoto otrzymują z powrotem w stucz-terdziestogramowych krążkach. Trudniejszą sprawę stanowi spieniężenie, a raczej wymienienie złota na potrzebne rzeczy. Nikt tutaj nie myśli przecież o zbieraniu złota, ponieważ każdy zdaje sobie sprawę, że jest żywym trupem z czteromiesięcznym terminem wykonania wyroku. W takiej sytuacji cztery miesiące to okropnie długo! Trzeba przez ten krótki czas uczynić życie lżejszym, znośniejszym. A to można osiągnąć właśnie przy pomocy złota.

Już w pierwszym Sonderkommando stuczterdziestogramowy krążek złota stał się środkiem płatniczym. W odlewni nie ma mniejszych form, a więc nie ma też mniejszych krążków. Bez znaczenia są tu ceny obowiązujące w zewnętrznym świecie, bo ten, który daje złoto, przegrał już swoje życie z chwilą, kiedy przekroczył wiodącą tu bramę. A kto za złoto daje coś w zamian, ten podwójnie igra ze swym życiem. Pierwszy raz, kiedy wynosi złoto z kacetu przez kordony SS, drugi raz, gdy wraca z produktami,



które i poza obozem trudno dostać, bo wszystko jest przeważnie na kartki. W jedną i drugą stronę narażony jest na rewizję. Złoto wyrusza więc w kieszeni więźnia z Sonderkommanda i dochodzi do bramy krematorium. Tu przenoszący złoto podchodzi do strażnika SS i zamienia z nim kilka słów. Ten odwraca się i oddala od bramy. Na linii kolejowej przed krematorium pracuje grupa 20-25 polskich robotników kolejowych, pod nadzorem majstra. Jedno skinienie i kolejarz podaje złożony worek, a w zamian odbiera zawinięte w papier złoto. Worek już jest wewnątrz obozu, a kolejarz, prócz wynagrodzenia, odebrał również zamówienie na następny dzień.

Ten z Sonderkommanda idzie teraz do budki wartownika znajdującej się obok bramy. Wyjmuje z worka sto sztuk papierosów oraz butelkę wódki. Esesman szybko chowa do kieszeni butelkę i papierosy. Jest zadowolony, bo SS dostaje tylko dwa papierosy dziennie, a wódkę nieczęsto. Tu zaś wódka i papierosy to bardzo potrzebne artykuły do oszalałamiania się. Zarówno esesmani, jak i ludzie z Sonderkommanda palą papierosy i piją alkohol.

Podobną drogą przybywają do obozu inne artykuły, wszystko, co potrzebne - głównie masło, szynka, cebula i jajka. Tych produktów transporty nie przywożą. Zdobywanie złota odbywa się kolektywnie i następnie wszyscy dzielą się otrzymanymi towarami. Szef krematorium, a także wszyscy podoficerowie SS otrzymują obfity przydział papierosów, wódki i żywności. Każdy oczywiście udaje, że o niczym nie wie, bo i nie chce wiedzieć. Tak jest mu wygodniej, tak się opłaca. W krematorium każdy esesman z osobna jest do ugłaskania. Boją się tylko siebie nawzajem. Wiedzą natomiast, że ci z Sonderkommanda ich nie zdradzą. Dlatego też wszystkie transakcje i składanie okupu odbywa się w cztery oczy i przedstawiciel Sonderkommanda przekazuje haracz każdemu z osobna.

Tą samą drogą również codziennie rano doręczany jest tu „Völkischer Beobachter”, urzędowy dziennik Trzeciej Rzeszy. Przynosi go kolejarz prowadzący prace na torze. Cena prenumeraty - sztuka złota. Należy się niewątpliwie taka cena temu, kto podejmuje się przez trzydzieści dni dostarczać gazetę więźniowi kacetu. Od kiedy jestem w krematorium i ja otrzymuję gazetę. Czytam ją w bezpiecznym miejscu, a następnie opowiadam aktualne wiadomości Schreiberowi komanda. On przekazuje informacje swym towarzyszom. W kilka godzin wszyscy są poinformowani dokładnie o najnowszych wydarzeniach.

Sonderkommando mieszka w jasnych, czystych i przestronnych pomieszczeniach, śpi na miękkich poduszkach pod ciepłymi kołdrami, ma doskonałe wyżywienie, eleganckie ubrania. Ma co palić i pić. Może dlatego nie występuje w Sonder-kommandzie takie zezwierzęcenie, jak w brudnych, zatłoczonych boksach obozowych, gdzie zawszeni i zagłodzeni ludzie skaczą sobie do gardła o kęs chleba lub pół kartofla. Zachowanie ludzi z Sonderkommanda jest naprawdę przyzwoite. W miarę możliwości pomagają się, komu można. Od kilku dni przed bramą pracuje pięćset kobiet w komandzie budującym drogę. Pilnuje ich dwóch postenów z kilkoma psami. Kobiety noszą kamienie na drogę. Kilku ludzi z Sonderkommanda, za cichą zgodą własnych wartowników, wchodzi w kontakt z esesmanami pilnującymi kobiet. Wręczają im po pudełku papierosów i wszystko jest załatwione. Trzy-cztery kobiety, dźwigając kamienie, podchodzą pod bramę tak, jakby tam pracowały. Natychmiast odbierają przygotowane dla nich swetry,

buty, bieliznę. Dostają również papierosy, słoninę, chleb. Kobiety na zmianę podchodzą do bramy, na zmianę też podchodzą niby przypadkiem ludzie z Sonderkommando i wręczają im swoje upominki. To honorowy obowiązek. Nikt z nich nie zna ani jednej kobiety z tego komanda, a mimo to wręczają im setki sztuk garderoby, pończoch,

swetrów, papierosy i mydło. Kobiety odchodzą uszczęśliwione. Na drugi dzień ta scena powtarza się. W olbrzymich magazynach krematorium wszystkiego jest pod dostatkiem. Sonderkommando pomogło już tysiącom więźniów. Ja również biorę udział w akcji. Napycham kieszenie tabletkami witamin, sulfamidową zasypką na rany, bandażami, buteleczkami z jodyną. Trzy, cztery razy wracam do swego pokoju, aby ponownie napęlić kieszenie drogocennymi, życiodajnymi środkami i przekazać je potem tym, którym są tak bardzo potrzebne.

Po wizycie w II krematorium kończę obchód w krematoriach III i IV. W III krematorium w Sonderkommando obok Polaków i Greków pracuje również stu deportowanych Węgrów. W czwórce natomiast znajdują się przeważnie Polacy i Francuzi<sup>25</sup>.

Wszędzie wre praca. Żydowska rampa, niczym wzburzona rzeka, wylewa z siebie rzucone na zagładę ofiary. Wstrząśnięty obserwuję harmonijne działanie poszczególnych elementów tej fabryki kolosalnego ludobójstwa, jej mechanizm, piekielny porządek, z jakim wykonywana jest praca. Jakby to wszystko urządzono na wieczność.

Gdybym jednak kiedyś mimo wszystko wyszedł na wolność i opowiedział to, co tu widziałem, czy dano by mi wiarę? Przecież żadne słowo nigdy nie będzie w stanie dać wyobrażenia o tym, co tu się działo. Usiłuję jednak utrwalić obrazy w pamięci, aby ich nigdy nie zapomnieć...

## XII

Mam encyklopedię „Petit Larousse”; na znajdujących się w niej mapach odszukują miejscowości, o których czytam w gazetach. Siedzę w swoim pokoju i studiuje sytuację na frontach: zachodnim, południowym, wschodnim. Zbliżają się ciężkie kroki, szybko przerzucam strony, aby nie było widać mapy. Wyczekująco spoglądam na drzwi.

Odwiedza mnie szef krematorium i zawiadamia, że po południu, o drugiej, przyjedzie liczna komisja - sala sekcyjna ma być gotowa.

Pierwszy wtacza się czarny, błyszczący samochód pogrzebowy. Przywiózł zwłoki Hauptsturmführera SS. Umieszczam je na stole sekcyjnym. Tak, jak je przywieziono - w mundurze.

Punktualnie, w podanym poprzednio terminie, przyjeżdża komisja złożona z wysokich rangą oficerów SS w eleganckich mundurach. W skład komisji wchodzi: lekarz z dystynkcjami Standartenführera, prokurator, sędzia śledczy, dwóch oficerów śledczych z Gestapo, protokolant sądu wojennego. Kilka minut później przybywa doktor Mengele. Prosi przybyłe osobistości o zajęcie miejsc. Dyskutują między sobą. Oficerowie śledczy podają okoliczności znalezienia zwłok. Rany postrzałowe wskazują, że był to zamach lub morderstwo. Pistolet zmarłego znajduje się w kaburze, przy pasie, co wyklucza samobójstwo. Możemy sądzić, że nastąpiło morderstwo popełnione przez kolegów

oficerów względnie przez kogoś nieznanego, kto miał z nieboszczykiem

osobiste porachunki. Najprawdopodobniejszy jest zamach - w Gliwicach i na okolicznych terenach mieszka wielu Polaków, są tam partyzanci i zamachy zdarzają się często.

Sekcja zwłok ma wykazać, czy strzał został oddany z przodu, czy z tyłu, z jakiej odległości, jakiego użyto rodzaju i kalibru broni.

W Gliwicach nie ma obecnie sądowego lekarza, dlatego też przywieziono zwłoki do sali sekcyjnej krematorium. Oświęcim jest odległy od Gliwic zaledwie o 60 kilometrów, tu więc najszybciej można przeprowadzić sekcję.

Nie śniło mi się nawet, że mnie, więźniowi kacetu, Żydowi, będzie wolno „zbrukać” swym dotknięciem aryjskie zwłoki oficera SS, co więcej - nawet przeprowadzić sekcję! Przecież gdy przebywałem jeszcze na wolności, wprowadzono już rasistowskie prawa zakazujące m.in. udzielania pomocy lekarskiej przez Żydów katolikom oraz Aryjczykom. Zdziwiłem się więc bardzo, gdy dr Mengele wydał mi polecenie dokonania sekcji zwłok. Na początku trzeba rozebrać trupa, co wcale nie jest łatwą czynnością. Zwłaszcza ściąganie butów z cholewami wymaga wiele zachodu i potrzeba do tego dwóch ludzi. Proszę więc, by pozwolono mi wezwać pomocnika. Członkowie komisji rozmawiają z ożywieniem i przyglądają się uważnie naszej pracy.

Mam tremę przy pierwszych cięciach. Przecinam skórę na czaszce i szybkimi ruchami obciągam skórę z jednej strony na twarz, a z drugiej na kark. Teraz następuje trudniejsza czynność: przepiłowanie i zdjęcie pokrywy czaszki. W szybkim tempie wykonuję przepisowe ruchy.

Kolej na zbadanie obu ran. Jeśli kula przeszła przez ciało na wylot, to wówczas powstają oczywiście dwie rany - wlotowa i wylotowa. W większości wypadków fachowiec łatwo może je rozróżnić, ponieważ rana wlotowa jest mniejsza niż wylotowa. W tym wypadku jednak rana znajdująca się na piersi pod lewym sutkiem oraz rana na górnej części łopatki są absolutnie jednakowe.

Sprawa gmatwa się więc, a przez to staje się ciekawa. Jaki może być powód, że rany - wlotowa i wylotowa - są identyczne? Trzeba znaleźć wytłumaczenie dla tych faktów sprzecznych z doświadczeniem. Dr Mengele stawia nagle hipotezę: może nie mamy tu do czynienia z przestrzeleniem ciała na wylot, lecz z dwoma strzałami? Jeden strzał oddany z przodu, drugi z tyłu; mogło to zdarzyć się w ten sposób, że po pierwszym strzale, gdy ofiara upadła, otrzymała drugi strzał w plecy. Naboje powinny być wtedy w ciele.

Według tej hipotezy obie rany są wlotowe i dlatego są jednakowe. Zupełnie logiczne rozumowanie. Trzeba je sprawdzić. Otwieram więc kanał, którym szła kula, idę jej śladem. Nabój przeszedł przez mięsień sercowy, otarł się o iewą krawędź kręgosłupa i idąc pod kątem 35 stopni dotarł do górnego skraju łopatki. Ułamał kawałek kości łopatki i wydalil się z ciała. Sytuacja wyjaśnia się. Mamy do czynienia z jednym strzałem: według wszelkich danych został on oddany z przodu, ponieważ kanał kuli wiedzie pod kątem 35 stopni z dołu w górę, z przodu do tyłu. Rany wlotowa i wylotowa są jednakowe, ponieważ kula otarła się o kręgosłup, a potem ułamała kawałek łopatki i straciwszy przez to impet nie spowodowała większej rany wylatując z ciała.

Z góry do dołu pod kątem 35 stopni nikt nie strzela. Aby tak strzelić, należałoby podnieść ramię wysoko w górę. To zwraca uwagę. Partyzanci tak nie strzelają. Nie muszą tego robić, mogą strzelać wprost. Nie ulega więc wątpliwości, że strzał nie był oddany z tyłu,

lecz z przodu, z rewolweru skierowanego w górę, z bezpośredniej bliskości. Kto strzelił? Znajomy czy nieznajomy zatrzymał w drodze Hauptsturmführera? To już sprawa śledztwa. Widzę, że członkowie komisji są zadowoleni z przeprowadzonej

przeze mnie sekcji, co więcej - oświadczają, że od tej pory będą tu przysyłali wszystkie przypadki wymagające sekcji. Uznają to za najlepsze i najwygodniejsze rozwiązanie. W ten sposób, po dokonaniu owej sekcji zwłok, mnie, lekarzowi kacetu, powierzono czynności lekarza sądowego okręgu gliwickiego. Drugiej takiej posady nie ma chyba na całym świecie!

### XIII

Pewnego dnia, wczesnym przedpołudniem, otrzymałem telefoniczne polecenie, abym niezwłocznie udał się do dołów spaleniskowych w Brzezince. Miałem zabrać stamtąd lekarstwa oraz okulary i przetransportować do I krematorium, gdzie je sortowano i wysyłano dalej.

Doły spaleniskowe znajdowały się na polance otoczonej sosnami za małym brzezinowym laskiem, w odległości pięciuset-sześciuset metrów od IV krematorium, za kolczastym ogrodzeniem kacetu, między małą a dużą postenketą<sup>26</sup>. Teren, na którym zezwolono mi swobodnie poruszać się, nie sięga tak daleko. Proszę więc o pisemne zezwolenie.

Otrzymuję Passierschein na trzy osoby, biorę bowiem jeszcze dwóch ludzi, którzy pomogą mi w przeniesieniu pakunków. Ruszamy w kierunku gęstej, skłębionej i czarnej chmury dymu. Każdy, kogo zły los tu rzucił, widzi ten unoszący się dym. Widać go z każdego miejsca obozu. Spostrzegali go natychmiast ci, którzy wysiadali z wagonów i ustawiali się do selekcji. Słup dymu był bowiem widoczny o każdej porze dnia i nocy. W dzień niby gęsta chmura zakrywał niebo nad brzozowym laskiem, nocą płonące doły oświetlały cały teren jakby piekielnym ogniem.

Przechodzimy obok krematorium. Przy bramie pokazuję dokument pełniącemu służbę wartownikowi SS i bez przeszkód wychodzimy na otwartą drogę. Świeża, zielona łąka wydaje się

spokojna, ale moje oczy szybko odkrywają łańcuch ludzi, którzy w odległości jakichś stu metrów od nas siedzą lub stoją w wysokiej trawie przy karabinach maszynowych - obok nich wytresowane wilczury.

Przecinamy polanę aż do skraju iglastych drzew. Znów ogrodzenie z kolczastego drutu i drewniana brama. Nad bramą tablica ostrzegawcza z takim samym napisem, jaki znajduje się nad wejściem do krematorium. „Obcym oraz nie zatrudnionym tu esesmanom wstęp surowo wzbroniony”. My jesteśmy z Sonder-kommanda, więc wchodzimy. Nawet nie musimy pokazywać naszej przepustki. Służbę pełnią tutaj esesmani z krematorium, pracuje tu również sześćdziesięciu ludzi z Sonderkommanda. To dzienna zmiana. Komando to pracuje od siódmej rano do siódmej wieczorem, potem zastępuje je nocna zmiana - sześćdzie-sięciuosobowe komando z IV krematorium.

Po przejściu bramy wychodzimy na plac w rodzaju podwórza - na środku stoi odrapany dom, kryty słomianym dachem. Małe okna zabite są okiennicami. Stara wiejska chata<sup>27</sup>. Przynajmniej tym była przez ostatnie sto pięćdziesiąt lat. Wskazuje na to poczerniały ze starości dach i grube warstwy tynku. Brzezinka leży koło Oświęcimia, gdy budowano tu obóz niemiecki, władze wysiedliły mieszkańców wsi, a domy, z wyjątkiem tego jednego, zostały zburzone.

Jakie było właściwe przeznaczenie tego domu w przeszłości? Czy był domem mieszkalnym? Teraz, dzięki usunięciu ścian działowych, stworzono jedno długie pomieszczenie, dostosowane do nowych wymogów. A może i poprzednio w tym domu znajdowało się tylko jedno pomieszczenie przeznaczone na magazyn lub coś podobnego? Nie wiem. Obecnie znajduje się tu szatnia - tu rozbierają się ci, którzy idą na śmierć na stos.

Tutaj kieruje się z żydowskiej rampy te transporty, które nie mieszczą się już w czterech krematoriach. Oczekuje je najstraszniejsza śmierć.

Tu nie ma nawet wody, którą więźniowie mogliby ugasić palące pragnienie. Nie ma napisów, które wprowadziłyby ich w błąd, dałyby im chwilę złudzenia. Nie ma budynku, który mogliby uważać za łaźnię. Stoi tu jedynie kryty słomą, kiedyś otynkowany na biało, chłopski dom z zabitymi okiennicami, a za nim wznosi się w niebo ogromny słup dymu, roznosząc zapach palącego się ludzkiego mięsa i tłących się włosów.

Na podwórzu stoi przerażony tłum, liczący około pięciu tysięcy ludzi. Dokoła nich gęsty łańcuch esesmanów trzymających na uwięzi olbrzymie wilczury. Po trzysta, czterysta ofiar wchodzi na raz do budynku. Popędzani gęstymi razami kijów szybko rozbierają się i nago wychodzą przez przeciwległe drzwi, aby zrobić miejsce następnym. Po wyjściu nie mają nawet czasu, aby rozejrzeć się i zrozumieć okropną rzeczywistość - po dwóch ludzi z Sonderkommando bierze ich pod rękę i prowadzi wśród szpaleru esesowców krętą aleją między drzewami do stosu. Stos spostrzegają dopiero na końcu tej drogi, w chwili, kiedy wychodzą z lasu na polanę.

Stosy to długie, szerokie i głębokie rowy, wypełnione setkami palących się ciał. Wokół stosu stoi łańcuch żołnierzy SS. W ich rękach małowielikowa sześciomilimetrowa broń przeznaczona do strzelania w tył czaszki. W momencie gdy nieszczęsna ofiara wychodzi z alejki, zostaje porwana przez dwóch następnych ludzi z Sonderkommando, którzy ciągną ją przez piętnaście, dwadzieścia metrów pod lufę któregoś z esesmanów. Trzask strzału jest niczym wobec potwornych śmiertelnych ryków. Strzał - i najczęściej żywa jeszcze ofiarę wrzuca się do morza ognia<sup>28</sup>.

Szefem krematoriów i stosów jest Oberscharfuhrer Moll<sup>29</sup>. Jako lekarz i bezpośredni świadek twierdzą, że był to najbardziej nieludzki, zwyrodniały zbrodniarz Trzeciej Rzeszy. W porównaniu z Mollem nawet w Mengele można się było doszukać jakichś ludzkich uczuć. Zdarzało się bardzo rzadko podczas selekcji na

żydowskiej rampie, że młode, ładne kobiety wbrew rozkazowi szły za swymi matkami na lewą stronę. Wówczas Mengele brutalnie beształ je i nakazywał przejść na prawą stronę. Główny wykonawca egzekucji I krematorium Oberscharfuhrer Muhsfeldt oddawał czasem drugi strzał, gdy ofiara nie umierała natychmiast po pierwszym. Oberscharfuhrer Moll nie tracił czasu na takie gesty.

Moll jest wszędzie, niezmordowanie okrąża stosy, setki razy przemierza drogę od ognia do budynku. Większość ludzi bez opora pozwala się prowadzić na miejsce kaźni. Ofiary są do tego stopnia sparaliżowane strachem, że może nawet nie wiedzą, co się z nimi stanie. Dotyczy to zwłaszcza starców i dzieci. Zdarzają się natomiast młodzi, którzy z

całą siłą instynktu samozachowawczego usiłują się bronić. Gdy Moll spostrzega taką scenę na drodze ludzkiego pochodu, natychmiast wyjmując pistolet ze stale otwartej kabury. Pada strzał, często z odległości czterdziestu-pięćdziesięciu metrów, i stawiający opór pada martwy. Moll jest uważany za wyborowego strzelca. Przestrzelił ręce wielu ludziom z Sonderkommanda, gdy nie był zadowolony z ich pracy. Zawsze trafia tylko w ręce, strzela bez uprzedzenia i nawoływania.

Dzienna przepustowość stosów wynosi pięć, sześć tysięcy ofiar, a więc jest nieco większa niż jednego krematorium.

Zabieram pozostawione tu lekarstwa i okulary. Całkowicie oszołomiony na drżących nogach ruszam „do domu”, do I krematorium, które, mówiąc słowami doktora Mengele, „nie jest wprawdzie sanatorium, ale jest zupełnie znośnym miejscem”. Ma rację. Po tym, co tu widziałem, ma absolutnie rację.

Po powrocie udaję się do swego pokoju. Dziś nie będę sortował lekarstw ani porządkował okularów. Zażywam luminal i kładę się. Dzisiejsza dawka luminalu - trzy dziesiętne grama. Czy przemoże chorobę wywołaną widokiem stosów?

## XIV

Budzę się. Nowy dzień - nowe wydarzenia. Tu, w obozie, każdy dzień ma swoje okropne chwile, tak okropne, że nigdy przedtem nie mogłem sobie nawet czegoś takiego wyobrazić.

Od zawsze najlepiej poinformowanych ludzi z Sonderkom-manda dowiaduję się, że w kacecie dziś nikomu nie wolno wychodzić z baraków. Żołnierze SS ze wzmożoną czujnością krążą wokół bloków, przy nich spuszczone ze smyczy wilczury. Dziś likwiduje się czeski obóz.

Początkowo w czeskiej części obozu było piętnaście tysięcy osób, które zostały tu przywiezione z getta w Terezynie. W obozie tym, podobnie jak w cygańskim, rodziny mogły początkowo żyć i mieszkać wspólnie. Nie poddano ich też wstępnej selekcji po przyjeździe. Warunki były tam bardzo trudne, ale starzy, młodzi i dzieci przebywali jednak razem. Czescy Żydzi nosili swoje ubrania, nie byli zmuszani do pracy.

Żyli tak, póki i dla nich nie wybiła ostatnia godzina. Kacet w Oświęcimiu to obóz zagłady! Prędzej czy później wszystkich jego mieszkańców czeka likwidacja.

Na rampie jeden za drugim przyjeżdżają transporty Żydów z Węgier. Często zdarza się, że jednocześnie przyjeżdżają dwa składy. Wówczas dosłownie leje się z wagonów rzeka ludzi.

Tego, co dr Mengele wyczynia na rampie, nie można już nazwać selekcją. Jego ręka wskazuje już tylko jeden kierunek:

na lewo! Całe transporty w komplecie natychmiast trafiają do komór gazowych lub dołów spaleniskowych.

Mimo iż codziennie wysyła się wiele transportów do innych obozów, w oświęcimskim kacecie kwarantanna, Bila, obozy c i d oraz FKL<sup>30</sup> są załadowane do granic możliwości. Starcy, wynędzniali młodzi ludzie i wychudzone jak szkielety dzieci z czeskiego obozu

muszą oddać swoje miejsca nowo przybyłym, którzy są jeszcze zdolni do pracy. Blokadę baraków zarządzano wczesnym rankiem na terenie całego obozu. Kilka kompanii SS otoczyło czeski obóz i gnało ludzi na apel. Potworne były krzyki czekających na śmierć, gdy ładowano ich na ciężarowe samochody. Wiedzieli doskonale, co ich czeka, przecież od dawna żyli w kacecie. W dniu zagłady w obozie czeskim było 12 tysięcy osób<sup>31</sup>. Wybrano z nich półtora tysiąca zdolnych jeszcze do pracy kobiet i mężczyzn oraz ośmiu lekarzy. Pozostali powędrowali do krematoriów nr II i III. Na drugi dzień obóz czeski był pusty. Uspokoiło się również w krematoriach II i III. Widziałem tylko, jak z krematorium wyjechała ciężarówka pełna popiołu i skręciła w stronę Wisły.

Stan obozu zmniejszył się o 10 tysięcy ludzi, ale archiwum kacetu powiększyło się tylko o jeden dokument. Na blankiecie urzędowym sformułowano krótki meldunek:

„Wskutek wybuchu epidemii tyfusu plamistego i gwałtownego szerzenia się jej w tak zwanej czeskiej części oświęcimskiego obozu, podobóz ten został zlikwidowany”

Podpisano:

„Dr Mengele, Hauptsturmführer, Lagerarzt”.

Ośmiu lekarzy z czeskiego obozu na interwencję profesora dra Epsteina<sup>32</sup> i z decyzji dra Mengele - pozostawiono przy życiu. Całkowicie wyczerpani walką z epidemią, jaką z pełnym poświęceniem prowadzili w ostatnich dniach, zmordowani pielęgnacją chorych, zrujnowani nerwowo, zarażeni tyfusem, trafili jako chorzy do szpitala obozu BIIIf. W dniu likwidacji obozu

czeskiego byłem w urzędowej sprawie w tej właśnie części obozu, odwiedziłem ich i rozmawiałem ze światowej sławy praskim lekarzem doktorem Hellerem, który był naczelnym lekarzem-więźniem czeskiego obozu. Opowiedział mi on o cierpieniach i zagładzie całej czeskiej żydowskiej inteligencji<sup>33</sup>.

Wkrótce zmarło również i tych ośmiu dzielnych lekarzy. Byli prawdziwymi lekarzami. Ich pamięci należy się głęboki szacunek.

## XV

W sąsiedztwie dawnego obozu czeskiego znajduje się odcinek obozu BIIIf, w którym przebywają węgierskie Żydówki. Mimo iż z tego obozu codziennie wysyłano transport do innych kacetów, ilość mieszkańek dochodziła tu często do 60 tysięcy. Pewnego dnia, w tym przepelnionym obozie, lekarze stwierdzili objawy płonicy. Na rozkaz dra Mengele barak, w którym odkryto chorobę, oraz sąsiadujące dwa baraki z lewej i z prawej zostały zamknięte i izolowane. Blokada trwała od rana do wieczora. Pod wieczór przyjechały ciężarówki i mieszkanki wszystkich trzech baraków pojechały do krematorium. Takie były skuteczne kroki podejmowane przez dra Mengele w celu zwalczania epidemii. Antyepidemiczne akcje dra Mengele spowodowały już zagładę czeskiego obozu i trzech baraków obozu c. Na szczęście lekarze natychmiast zorientowali się w przebiegu tych akcji i gdy odkrywali później przypadki chorób zakaźnych, uważali, aby ukryć je przed sanitarnymi władzami SS. Ukrywało się takiego chorego w najciemniejszym, najdalej położonym w baraku boksie i leczyło się go w miarę posiadanych skromnych możliwo-

ści. Nie kierowano już ich do szpitali, ponieważ leżący tam chorzy byli kontrolowani codziennie przez lekarzy SS. A ci nie bawili się w subtelności; wykrycie choroby zakaźnej powodowało skazanie na likwidację nie tylko baraku, z którego pochodził chory, ale również sąsiadujących z nim bloków.

Metodę tę nazywano w języku SS „szeroko zakrojoną akcją zapobiegania epidemii”. Ostatecznym wynikiem takich akcji są dwie-trzy ciężarówki popiołu.

W okresie, kiedy pełniłem funkcję lekarza sanitarno-epidemiologicznego, używałem podobnego terminu. W praktyce zapobiegałem rozwinięciu się wypadków chorób zakaźnych w epidemii w ten sposób, że izolowałem podejrzanego na przykład o dyfteryt lub tyfus od otoczenia, a mieszkańcy najbliższych sąsiadujących domów otrzymywali szczepienia ochronne. Inne miasto, inne zwyczaj.

Po tych wszystkich wydarzeniach przywieziono mi pewnego dnia zwłoki dwóch kobiet z obozu B II; dr Mengele polecił przeprowadzić sekcję. Zgodnie ze zwyczajem biorę do ręki karty historii chorób obu zmarłych kobiet i zabiegów lekarskich. Uważnie czytam. W rubryce: diagnoza - znajduję tyfus brzuszny; jako przyczynę śmierci podano jednak nieznane mięśnia sercowego. W obu wypadkach figurują przy tym znaki zapytania. Natychmiast decyduję się. Dr Mengele nie dostanie ode mnie protokołu sekcji zwłok, który potwierdziłby diagnozę, że to tyfus. Nic z tego. Opis objawów choroby w obu wypadkach jest niepełny, a rozpoznanie wątpliwe. Dr Mengele nie wie, co to za choroba. Decydujące znaczenie będzie dla niego miała sekcja zwłok. Po to przysłał tu zwłoki obu kobiet.

Przeprowadzam sekcję; w obu wypadkach cienkie jelita wskazują na rozwinięty tyfus brzuszny. Stwierdzam trzytygodniowe owrzodzenie durowe w jelicie cienkim. Śledziona obrzęknięta. Nie ulega wątpliwości, że to tyfus!

Po południu swoim zwyczajem około godziny piątej przyjeżdża dr Mengele. Zbliży się do mnie z tak pogodną twarzą, że nie sposób uwierzyć, iż tyle okrucieństwa kryje się za tą maską. Z zaciekawieniem pyta o rezultaty sekcji. Zwłoki leżą na stole otwarte. Cienkie i grube jelita oraz śledziona obmyte, porozcinane

znajdują się do wglądu w osobnych naczyniach. Stawiam rozpoznanie: nieżyt jelita cienkiego z rozległymi owrzodzeniami. Wygłaszam przed doktorem Mengele niemal referat, wskazując na różnice między trzytygodniowymi owrzodzeniami durowymi a owrzodzeniami w wyniku nieżyty jelita cienkiego. Udowadniam, iż powiększenie śledziona często występuje przy nieżycie jelit, a więc to nie dur, lecz nieżyt jelita cienkiego o ciężkim przebiegu, najprawdopodobniej na skutek zatrucia pokarmowego. Doktor Mengele jest specjalistą w dziedzinie biologii rasy, a nie medycyny sądowej. Nie miałem więc trudności z udowodnieniem mojej diagnozy. Zawód, jaki mu jednak sprawiłem, rozdrażnił go. Dał temu wyraz mówiąc, że lekarki, które popełniły tak poważną omyłkę przy stawianiu diagnoz, nadają się w kacecie raczej do noszenia kamieni niż do pracy w szpitalu. Wskutek ich błędnego rozpoznania chorzy, których można było uratować, umierają.

Bierze protokoły, ale przed schowaniem papierów do teczki notuje coś na marginesie. Stoję za jego plecami i odczytuję przez ramię: „Riicksprache m. Arzterin”. Wolny przekład tego zwrotu oznacza po prostu pociągnięcie do odpowiedzialności obu lekarek. Bardzo żałuję, że naraziłem na represje koleżanki, które wystawiły jak najbardziej prawidłową diagnozę. Teraz stracą swoje funkcje i trafią do komanda budującego drogę,



będą ciężko pracować. Jeśli dr Mengele spełni wypisaną groźbę, to ja będę temu winien. Przyznaję, że złamałem etykę lekarską, ale nie tę etykę, która obowiązuje za kolczastym ogrodzeniem. Przyczyniłem się bowiem swoim fałszywym orzeczeniem do pociągnięcia do odpowiedzialności dwóch-trzech osób; ale jak „szeroką akcją anty-epidemiologiczną” podjąłby dr Mengele, gdybym nie postąpił tak, jak postąpiłem?

Na drugi dzień otrzymałem uspokajające wieści, dotyczące lekarek; dr Mengele zbeształ je tylko, nic złego im się nie stało. Nadal wykonywały swoje obowiązki. Trafiło do mnie później wiele zwłok i wiele kart historii chorób, ale nigdy już nie były w nich wypełnione rubryki stawiające diagnozę. Ja też nic nie wpisywałem i tak było najlepiej. Jakże cyniczne było wzburzenie doktora Mengele, że wskutek mylnej diagnozy nie uratowano dwóch pacjentek! Nie mogłem o tym zapomnieć przez kilka dni. Co za cynizm! Cynizm zbrodniarza!

## XVI

Pewnego przedpołudnia otrzymuję polecenie od dra Mengele, abym niezwłocznie zgłosił się do niego w Schreibstube obozu Bllf. Chętnie spełniam polecenie, przynajmniej na kilka godzin uda mi się wyrwać z przygnębiającej atmosfery krematorium. Nie zaszkodzi też mały spacer. Po wyziewach sali sekcyjnej oraz krematoriów dobrze będzie odetchnąć trochę świeżym powietrzem. Cieszę się również, że będę miał okazję do porozmawiania z lekarzami obozu Bllf, którzy byli dla mnie bardzo koleżeńscy w pierwszych dniach mego pobytu w obozie.

Przygotowuję się do drogi, napycham kieszenie drogocennymi lekarstwami, biorę też ze sobą kilka paczek papierosów. Nie mogę przecież odwiedzić baraku, w którym na początku przebywałem, z pustymi rękami. Nie przystoi to pracownikowi Sonderkommandu.

Wychodzę przed żelazną bramę krematorium; strzegący wyjścia wartownik odnotowuje mój numer i ruszam w stronę obozu Bllf. Nie śpieszę się, chciałbym nieco odetchnąć podczas i tak krótkiej drogi. Przechodząc koło drutów otaczających obóz kobiecy, widzę, jak między barakami poruszają się tysiące kobiet. Wszystkie są do siebie podobne, jednakowo ostrzyżone do skóry głowy, zamiast ubrań szmaty. Myślę o swojej żonie i piętnastoletniej córce, o jej puszystych długich włosach. Przypominam

sobie nagle jej sukienki, których fasony wymyślaliśmy wspólnie podczas rodzinnych wieczorów.

Już trzy miesiące minęło od chwili, kiedy rozstaliśmy się na rampie. Co się z nimi stało? Czy pozostały razem? Czy są jeszcze w jednym z kobiecych obozów Oświęcimia? A może zostały wywiezione do innego obozu, gdzieś w Trzeciej Rzeszy? Trzy miesiące to długi czas. W kaciecie wręcz niewymierny! Mimo wszystko mam przecucie, że są jednak tutaj, ale gdzie? Które z wielu kolczastych ogrodzeń oddziela je ode mnie? Gdziekolwiek spojrzę, wszędzie aż po horyzont ciągną się betonowe słupy, druty i tabliczki ostrzegawcze. Cały kacet to kolczaste druty.

Dochodzę do bramy obozu f. Bramy strzeże postawiona tam Blockfuhrerstuba, czyli wartownia obozowa. Służbę pełni: jeden podoficer SS o tępej twarzy i jeden posten. Podchodzę do małego okienka wartowni, podciągam rękaw płaszcza i przepisowo podaję swój numer: A 8450. Z chwilą podciągnięcia rękawa widoczny staje się mój zegarek, który mam na ręku. Posiadanie i noszenie zegarka było w kaciecie jednym z najcięższych grzechów, ale ja miałem pozwolenie od doktora Mengele, ponieważ zegarek był mi potrzebny do pracy. Podoficer SS, niby dziki tygrys wyskakuje z Blockfuhrerstuby. Ochryple rycząc pyta, czego szukam w obozie f i jak śmiem nosić zegarek? Trzy miesiące w krematorium, to jednak świetna szkoła! Stoję, ani drgnę, patrzę mu prosto w oczy i odpowiadam, że przyszedłem do obozu na rozkaz dra Mengele. Chce ze mną mówić, ale jeżeli nie mogę wejść do obozu, to wrócę do krematorium i telefonicznie mu o tym zamelduję.

Nazwisko dra Mengele czyni cuda! Wszyscy się go boją. Esesman natychmiast mięknie i uprzejmie pyta, jak długo chcę pozostać w obozie? Musi to odnotować. Patrzę na swój zegarek, co teraz już nie wywołuje oburzenia - jest godzina dziesiąta. Zostanę do drugiej godziny po południu, chyba do tego czasu

załatwię sprawę u dra Mengele. Mówiąc to, wyciągam z kieszeni pudełko z dwudziestoma papierosami, wydaję kilka sztuk i wręczam je esesmanowi, aby miał co palić, póki nie wrócę. Przyjmuje uradowany. Teraz zegnamy się już zupełnie przyjaźnie i Niemiec o mało co nie oświadcza, że zawsze będzie mnie mile widział.

Nazwisko dra Mengele oraz papierosy zrobiły swoje. Teraz spokojnie będę mógł spędzić kilka godzin w towarzystwie kolegów. Wpierw jednak muszę zameldować się u dra Mengele.

Wchodzę do baraku i czekam w poczekalni, dopóki dyżurny nie zapyta mnie, w jakiej sprawie tu przyszedłem. Pokazuje mi jedne z drzwi. Wchodzę. Jestem w ładnie urządzonej gabinecie. Na ścianach pełno różnych wykresów ilustrujących stan więźniów kacetu w różnych okresach. Na jednej ze ścian wielki portret Himmlera oprawiony w ozdobną ramę.

W pokoju zastaję trójkę: dra Mengele, naczelnego chirurga -Hauptsturmführera dra Thilo<sup>34</sup> i naczelnego lekarza interny Obe-rsturmführera dra Wolffa. Dr Mengele komunikuje doktorowi Wolffowi, że to ja jestem tym specjalistą od sekcji zwłok, pracującym na terenie krematorium. Dr Wolff zaczyna ze mną rozmawiać. Mówi, że bardzo go interesują sekcje zwłok i dawno już odwiedziłby krematorium, aby przypatrzeć się jakiejś ciekawszej sekcji, ale niestety brak czasu nie pozwolił mu na to. Obecnie natomiast zajmuje się większą pracą naukową i wezwał mnie właśnie po to, aby ją ze mną omówić. W obozie szerzy się biegunka i dziewięćdziesiąt procent wypadków kończy się śmiercią. Nie ma absolutnie żadnych wątpliwości co do klinicznego przebiegu tej choroby; przeprowadził kilka tysięcy badań i zebrał szczegółowe opisy oraz adnotacje. Jego praca nie jest jednak wystarczająca, ponieważ przy badaniu tak wielkiej ilości chorych obok spostrzeżeń klinicznych winno również znaleźć się opracowanie oparte na rezultatach sekcji zwłok zmarłych na biegunkę.

A więc dr Wolff to także „lekarz naukowiec”. I on również pragnie wyciągnąć naukowe wnioski z krwawej, krematoryjnej atmosfery kacetu, zanalizować biegunkę, na którą cierpią setki tysięcy wychudłych do wagi 30 kilogramów ludzkich szkieletów. Każe mi teraz dokonać sekcji zwłok setek zmarłych tylko po to, aby odkryć dla nauki wewnętrzne

objawy choroby, które dotychczas były nie znane w świecie medycznym. Doktor Mengele stara się rozwiązać tajemnicę rozmnażania drogą dokonywania sekcji zwłok niezliczonej ilości bliźniąt. A dr Wolff chce odnaleźć przyczyny masowych zachorowań na biegunkę, chociaż powody tej choroby są dla wszystkich absolutnie jasne. Biegunka obozowa powstaje według następującej recepty: wyrywa się człowieka - mężczyznę, kobietę albo dorastające dziecko - z domu, pakuje z setką innych ludzi do jednego wagonu bydłęcego, posyła w podróż odebrawszy przedtem wszystko, osłabiwszy sześciotygodniowym pobyt w getcie, a zaopatrując na drogę aż do Oświęcimia jedynie w wiadro ze stęchłą wodą. Potem trzyma się tysiące więźniów w barakach, które nie odpowiadają nawet wymogom stawianym stajni. Żywi się ich spleśniałym chlebem, wypiekany z mąki z trocinami, margaryną syntetyczną oraz trzema dekagramami kiełbasy zrobionej z mięsa sparszywiących koni - razem 700 kalorii dziennie<sup>35</sup>. Wybrany na ofiarę człowiek zalewa to wszystko zupą gotowaną z pokrzyw lub brukwi i to bez tłuszczu, mąki i soli. I za cztery -pięć dni już ma biegunkę. Po trzech-czterech tygodniach kończy się historia choroby - poddany temu doświadczeniu człowiek pomimo najtroskliwszej opieki lekarskiej nieuchronnie umiera. Doktor Wolff daje wyraz przekonaniu, że jego naukowa praca powinna zostać podbudowana wynikami sekcji stu pięćdziesięciu zwłok. Dr Mengele dodaje, że jestem w stanie wykonać siedem sekcji dziennie, a w ciągu trzech tygodni mogę wy-

konać zadanie. Nie zgadzam się z nimi i oświadczam, że jeśli żądają ode mnie poważnej, naukowej - w co nie wątpię - pracy, to wówczas nie jestem w stanie wykonać więcej niż trzy sekcje dziennie. Dochodzimy w tej sprawie do porozumienia. Krótkim skinieniem głowy pozwalają mi odejść.

Odnajduję swoich kolegów ze szpitala w bloku 12. Cieszą się lekarstwami, wypalają papierosy, ale z ich twarzy bije zmęczenie, słowa są pełne przygnębienia. Jeszcze ciągle znajdują się pod wrażeniem przerażającej likwidacji czeskiego obozu. Powoli też bierze w nich górę świadomość beznadziejności losu; w przeciwieństwie do mnie nie stracili wiary w przetrwanie od razu po przekroczeniu bramy obozu, lecz wyzbywali się jej powoli, z dnia na dzień. Uniknąłem tego, gdyż w momencie, w którym po raz pierwszy przekroczyłem progi krematorium, nie miałem już żadnych złudzeń co do przyszłości. Mimo wszystko dodaję im otuchy, wzywam do przetrwania. Opisuję sytuację na froncie. Codziennie otrzymuję gazety. Jestem w stanie dostarczyć im wyczerpujących informacji. Żegnamy się gorącym uściskiem rąk. Nigdzie pożegnanie nie jest bardziej prawdziwe, jak właśnie tu, w kaciecie. Ile razy żegnamy się, tyle razy nie wiemy, czy znów kiedykolwiek się zobaczymy. Tu pożegnanie równa się prawie rozstaniu na wieki. Wychodzę i nie mogę pozbyć się uczucia pewnej pychy: mimo wszystko jestem silną indywidualnością, jeżeli w swojej obecnej sytuacji zdobywam się na dodawanie odwagi innym...

## XVII

Jedne za drugimi idą pod nóż sekcyjny zwłoki pacjentów Obersturmführera dra Wolffa, którzy zmarli na biegunkę. Właśnie jestem przy trzydziestej sekcji i przystępuję do

podsumowania rezultatów swojej dotychczasowej pracy.

We wszystkich przypadkach sekcja wykazuje stan zapalny śluzówki żołądka, powodujący niewydolność, a nawet zanik gruczołów, produkujących soki trawienne. Przy braku soków trawiennych nie ma trawienia, wzrasta natomiast fermentacja. Po wtóre spostrzegam stan zapalny śluzówki jelita cienkiego oraz daleko idące zaniki w jego ścianach.

Trzecie spostrzeżenie dotyczy najważniejszego soku trawiennego jelita cienkiego - żółci, niezbędnej do trawienia tłuszczów. Po otwarciu woreczka żółciowego stwierdzam obecność bezbarwnej, mulistej cieczy zamiast żółtozielonej żółci. W ogóle nie zabarwia już ona treści pokarmowej, nie jest zdolna do wykonania swej funkcji w procesie trawiennym.

Czwarte spostrzeżenie to stan zapalny śluzówki jelita grubego - i tu ścianki kiszek są wysuszone, cieniutkie, rwą się, są dosłownie jak bibułka do papierosów. Nie są to przewody trawienne, lecz po prostu przewody wydalania nieczystości. Gdy od góry coś się do nich leje, to w ciągu kilku minut wszystko zostaje wydalone.

Takie są z grubsza rzecz biorąc moje obserwacje. Tyle należy do mnie. Badania bakteriologiczne są prowadzone w miejscowości Reisingau<sup>36</sup>, oddalonej o dwa-trzy kilometry od krematorium, w założonej tam placówce, która urzędowo nazywa się Instytutem Higieny i Bakteriologii SS. To tam prowadzi prace mój towarzysz niedoli, światowej sławy naukowiec dr Mansfeld<sup>37</sup>, profesor Instytutu Bakteriologicznego Uniwersytetu w Pecs.

## XVIII

Moją popołudniową drzemkę przerywa Oberscharfuhrer Muhsfeldt. Wchodzi do pokoju wpychając przed sobą trzech nie znanych mi ludzi w więziarskich pasiakach. Wskazuje nieszczęśników i oznajmia mi, że dostałem kolegów, których przysłał mi dr Mengele. Biedacy są godni pożałowania. Stoją przede mną w brudnych, podartych szmatach, oniemiała w śmiertelnym przerażeniu, oszołomieni nową sytuacją, w której się znaleźli. Są w pełni świadomi beznadziejności swoich losów od chwili, gdy przekroczyli bramę budynku.

Po przyjacielsku podajemy sobie ręce, poznajemy się. Pierwszym, z którym się witam, jest docent dr Denes Gorog, anatomopatolog szpitala w Szombathely. Niski, liczący około czterdziestu pięciu lat, szczupły człowiek w okularach z grubymi szklami. Robi na mnie dodatnie wrażenie; czuję, że będzie dobrym współtowarzyszem niedoli. Drugi ma około pięćdziesięciu lat, krępy, o zgarbionych plecach, paskudnej twarzy. Nazywa się Adolf Fischer, przez dwadzieścia lat był pomocnikiem sekcyjnym w praskim Instytucie Anatomicznym. Jest Żydem z Czechosłowacji, już czwarty rok przebywa w kacie. Trzeci - dr Józef Korner z Nicei - od trzech lat jest więźniem obozu. Małomówny, wykształcony młody człowiek ma niespełna trzydzieści dwa lata.

Doktor Mengele wyłowił ich z brudnych baraków obozu Bld i przysłał do pomocy w celu przyspieszenia mojej pracy. Następuje podział pracy; ja pozostaję odpowiedzialny za „naukowe badania”, moim zadaniem jest prowadzenie korespondencji kancelarii, sporządzanie protokołów. Dwóch lekarzy dokonuje sekcji, a pomocnik, zgodnie ze swą funkcją przygotowuje zwłoki do sekcji. Otwiera czaszkę, wydobywa i przygotowuje do badań poszczególne organy, usuwa po sekcji zwłoki, sprząta i utrzymuje porządek w sali i gabinecie.

A więc otrzymałem poważnych fachowców do pomocy, co jest dla mnie dużym odciążeniem w pracy. Na polecenie dra Mengele przyjmuję przybyszów do swego pokoju. Korzyścią wypływającą z nowego stanu rzeczy jest to, że wreszcie znajduję się wśród przyjaciół.

## XIX

Kończę swój poranny obchód lekarski. We wszystkich czterech krematoriach wre praca. Dziś w nocy spalono greckich Żydów z wyspy Korfu<sup>38</sup> na Morzu Śródziemnym. To właśnie na Korfu była jedna z najstarszych gmin żydowskich w Europie. Przez dwadzieścia siedem dni płynęli barkami przez morze, a potem wieziono ich wagonami bez wody i jedzenia. Gdy transport dotarł na oświęcimską rampę i otworzono wagony, nikt nie wysiadł, aby stawić się na selekcję. Połowa ludzi zmarła w drodze, połowa dogorywała. Cały transport trafił do krematorium nr II. Całą noc trwała wytężona praca. Rano pozostał na podwórzu tylko ogromny stos brudnych, podartych ubrań. Serce mi się ściska, kiedy patrzę na ten stos moknący na siąpiącym deszczu. W krematorium IV mam dziś poważną pracę. Jeden z palaczy Sonderkommanda chciał popełnić samobójstwo i zażył większą dawkę luminalu. To najczęściej spotykana tu forma samobójstwa. Ludzie z Sonderkommanda łatwo zdobywają luminal. Codziennie znajduje się wiele tabletek tego preparatu wśród rzeczy pozostawionych przez ofiary trafiające do obozu. Podchodzę do łóżka -jeśli tak można powiedzieć - chorego. Ze smutkiem poznaję w nim „Kapitana”. Był tu znany tylko pod tym pseudonimem. Nikt nie wiedział, jak się naprawdę nazywa. W domu, w Atenach, jako oficer czynnej służby w stopniu kapitana

był wychowawcą dzieci greckiego króla, Niezwykle uprzejmy, wykształcony człowiek. Jego żona i dwoje dzieci poszły do gazu w godzinie przybycia. Jest nieprzytomny, leży na swym łóżku pogrążony w głębokim śnie. Zażyta przed kilkoma godzinami trucizna, jak widzę, została już wchłonięta przez organizm. Mimo to nie jest to jeszcze stan beznadziejny. Ludzie z Sonderkommanda stoją wokół łóżka i usiłują mnie przekonać, że powinienem pozwolić „Kapitanowi” udać się w drogę, którą sobie wybrał. Przecież on chciał tylko uciec przed psychicznymi cierpieniami, które gnębiły go od dawna. Zresztą niedługo i tak minie termin życia dwunastego z kolei Sonderkommanda. Kiedy jednak widzą, że ich perswazje nie robią na mnie wrażenia i że spokojnie dezynfekuję strzykawki, kilku ze starych więźniów kacetu burzy się i w nie

najprzyjemniejszej formie wyraża swoją dezaprobatę.

Zostawiam ich samych. Jeśli „Kapitan” nie dostanie opadowego zapalenia płuc, to za cztery-pięć dni będzie zdrow. Potem jeszcze przez kilka tygodni będzie sypał swą łopata koks na piekielne palenisko i podsyczał ogień pod zwłokami tysięcy zagonionych na śmierć, zamęczonych i zagazowanych współbraci. A gdy nadejdzie ostatni dzień Sonderkommanda, i on stanie w szeregu. Po salwie zakrwawiony upadnie obok towarzyszy, z przerażeniem w zastygłych oczach.

Teraz, kiedy już nie jestem przy łóżku chorego, a jego cierpiąca twarz nie wzywa na pomoc mego dwudziestoletniego lekarskiego doświadczenia, przyznaję całkowitą rację towarzyszom „Kapitana”. Trzeba było zostawić go, aby umarł w luminalowym oszołomieniu, a nie przywracać do życia, by za kilka tygodni zginął zamordowany. Kończę swój obchód. Wracam do krematorium I. Moi pomocnicy ze skwapliwością neofitów otwierają zwłoki ofiar-pacjentów dra Wolffa.

Są świeżo ogoleni, mają czyste koszule, nowe ubrania, na nogach eleganckie buty - odzyskali swój ludzki wygląd. Stoją przy stole sekcyjnym w białych kitlach, w zawieszonych na szyi żółtych, gumowych fartuchach, w gumowych rękawicach. Postronnemu obserwatorowi, który nie zna istoty tej pracy, mogłoby się wydawać, że znalazł się w pomieszczeniach poważnego instytutu naukowego.

Ale ja jestem fachowcem! I pracuję tu już od trzech miesięcy! To nie żaden naukowy instytut, ale pseudoinstytut! Tak jak pseudonaukowym pojęciem jest wyższość rasowa, oparta na błędnych założeniach teoretycznych, tak samo na pseudonaukowych przesłankach oparte są przeprowadzane przez dra Mengele badania nad zagadnieniem bliźniąt. Tak samo błędne jest pojęcie degeneracji, wysuwane tu na podstawie mordowanych karłów i kalek, wyszukiwanych, aby uzasadnić niższość innych ras. Rezultaty tej pracy nie są bynajmniej przeznaczone dla obecnego pokolenia. Ono by w to nie uwierzyło. Pracujemy dla generacji, która przyjdzie po zwycięskim zakończeniu wojny!

Doktor Mengele i jego kamraci marzą o tym, że spreparowane tu szkielety zamordowanych uprzednio karłów i kalek będą stały na specjalnych postumentach, z karteczkami zawierającymi dokładne dane - nazwisko, wiek - w przestrzennych korytarzach muzeów. Śnią o tym, że w rocznicę zwycięskiego zakończenia wojny prowadzonej w obronie germańskiej rasy i życia tysiącletniej Trzeciej Rzeszy do tych muzeów będą przychodzić pod opieką swych profesorów szkolne wycieczki. A profesorowie będą świętować ze swymi uczniami ten dzień, dzień zwycięstwa, i tłumaczyć im jego znaczenie. To zwycięstwo pozwoli im nie tylko uzasadniać wyższość swojej rasy, zepchnąć do rzędu niższych ras narody: francuski, belgijski, rosyjski i polski, ale również wytłumaczyć, dlaczego w Europie wytepieno całkowicie jeden naród, naród żydowski, który wprowadzie miał za sobą sześć tysięcy lat istnienia, ale

zdegenerował się i skarłał. A ponadto groził zanieczyszczeniem krwi jedynej czystej aryjskiej rasy, stwarzał dla niej wielkie niebezpieczeństwo! Ci ludzie mieli szkodliwy wpływ na czystą rasę, byli niebezpieczni, bo chcieli opanować całą Europę. I dlatego trzeba było ich wytępić!

I tym czynem właśnie wpisał się pierwszy Fuhrer Trzeciej Rzeszy do grona nieśmiertelnych i zyskał podziw oraz wdzięczność całego kulturalnego świata... Tak marzą oni!

Zgodnie więc z tymi teoriami kontynuują swoją wojnę przeciwko światu i mordują nawet niemowlęta. I dlatego w kraju narodowego socjalizmu wszystko jest fałszywe. Morze przelanej krwi nazywają krzyżowym pochodem. W ich oczach cała Rosja jest jednym dzikim mongolskim stepem. Francję nazywają krajem chorych wenerycznie, a Francuzów ginącym już narodem. Anglicy i Szkoci, ich zdaniem, od premiera począwszy, wskutek picia whisky znajdują się w delirycznym stanie. Natomiast Japończyków uznają za czystą aryjską rasę, ponieważ tego wymagają wspólne chwilowo interesy.

Fałszywa jest tu moralność i całe życie. W imię obrony rasy ich dziewczęta, kobiety i wdowy wojenne mogą z kimkolwiek mieć dziecko i wybierać dla niego nazwisko z niezliczonej ilości nazwisk mężczyzn, którym się oddały.

Roztrąbili na cały świat, że skarbem Trzeciej Rzeszy jest nie złoto, lecz praca. A mimo to w specjalnie do tego celu zbudowanych zakładach, w najbardziej nieludzki sposób wyrwają złote zęby przywleczonym tu i zamordowanym ofiarom, by wytopić kilkanaście kilo kruszcu dziennie. Na specjalnych tablicach w kilkunastu napisach oznajmniają, że w podziemiach krematoriów mieści się łaźnia, a przecież są tam komory gazowe. Na puszkach z cyklonem jest informacja, że to środek dezynfekcyjny przeciw pluskwom i innym insektom, a zabijają nim ludzi w kilka sekund.

Każdy więzień kacetu ma możliwość czytać codziennie budujący napis nad bramą obozu: „Arbeit macht frei!” - Praca czyni wolnym!

A w rzeczywistości tak to wygląda:

Pewnego razu na rampie zatrzymały się trzy wagony. Wysiedli z nich żółci niczym cytryny, wychudzeni i ledwo trzymający się na nogach ludzie. Było ich trzystu. Gdy dotarli na podwórze krematorium, wdąłem się z nimi w rozmowę. Opowiedzieli mi, że trzy miesiące temu wysłano ich z obozu BIIId w wielkim liczącym trzy tysiące ludzi transporcie do pracy w fabryce siarki. Wielu z ich towarzyszy umarło na różne choroby. Oni zatruli się siarką i dla-tego mają takie cytrynowe twarze. Wyselekcjonowano ich i wysłano w drogę do obozu wypoczynkowego.

W pół godziny później widziałem ich zakrwawione zwłoki leżące przed paleniskami krematorium. Praca uczyni cię wolnym! Obóz wypoczynkowy!

Było to w czerwcu lub lipcu. Mieszkańcom zatłoczonych baraków rozdano sto tysięcy kartek pocztowych i surowo przykazano wysłać pozdrowienia do znajomych. Jako miejsce nadania kazano wpisać nie Birkenau czy Auschwitz, lecz „Am Wald-ee”. Ta miejscowość jest położona na granicy Szwajcarii. Kartki wysłano i nawet przyszły na nie odpowiedzi. Byłem naocznym świadkiem, kiedy kartki i listy, które nadeszły w odpowiedzi - jakieś pięćdziesiąt tysięcy sztuk - ułożono w stos na podwórzu krematorium i spalono. Doręczyć ich i tak nie było można, bo nim nadeszły te odpowiedzi, spalono adresatów. W jakim celu urządzono tę całą hecę? Dla uspokojenia i zmylenia opinii publicznej na całym świecie.

## XX

W komorze gazowej I krematorium leży stos trupów. Ludzie z Sonderkommanda już rozdzielają spiętrzone zwłoki. Do mego pokoju dobiegają szum windy oraz trzaskanie drzwiami. Praca wre w szybkim tempie. Komorę trzeba błyskawicznie opróżnić - sygnalizują bowiem już nowy transport.

Nagle wpada do mojego pokoju Vorarbeiter Gaskommanda i z podnieceniem oznajmia mi, że wśród trupów, na dnie stosu, znaleziono żyjącą jeszcze kobietę.

Chwytam znajdującą się stale pod ręką torbę lekarską i pędzę na dół do komory gazowej. Opodal wejścia do ogromnej sali, bezpośrednio pod ścianą, widzę na wpół przykryte zwłokami drgające konwulsyjnie ciało młodej kobiety. Głośno charczy. Wokół mnie gromadzą się podenerwowani ludzie z Gaskommanda. Nic takiego jeszcze nie zdarzyło się nigdy w ich pracy.

Uwalniamy ciało od leżących na nim trupów. Biorę je na ręce. Przenoszę lekkie ciało młodzieńczej dziewczynki do pomieszczenia znajdującego się obok komory gazowej. To tu ludzie z Gaskommanda przebijają się do swojej pracy. Kładę dziewczynkę na ławce. Może mieć jakieś piętnaście lat. Wyjmuję strzykawkę, błyskawicznie, raz za razem, trzy razy wstrzykuję leki w ramię nieprzytomnej, ciężko dyszącej dziewczynki. Ludzie przykrywają jej zlodowaciałe ciało swoimi grubymi płaszczami. Ktoś biegnie do kuchni, by przynieść gorącej herbaty lub zupy.

Każdy chce pomóc, jakby walczył o życie własnego dziecka.

Nasza praca przynosi wreszcie rezultaty. Dziewczynkę łapie atak ostrego kaszlu i wyrzuca z płuc gęstą flegmistą cieczą. Mała otwiera oczy i martwo patrzy na sufit. W napięciu obserwuję każdy objaw powracającego życia. Jej oddech staje się coraz głębszy. Umęczone gazem płuca łapczywie chłoną powietrze. Tętno pod wpływem zastrzyków staje się coraz bardziej wyczuwalne. Czekam cierpliwie; działanie zastrzyków nie jest jeszcze pełne, ale wiem, że za kilka minut dziewczynka odzyska całkowicie przytomność. Tak też się dzieje.

Delikatna buzia zaczerwienia się, przytomnieje wzrok. Spogląda na nas z bezmiernym zdziwieniem. Zamyka oczy, jeszcze nie wie, co się z nią dzieje. Nie może zrozumieć, co się stało. Nie wie nawet, czy to wszystko, co ją otacza, jest rzeczywiste. Jej świadomość jest jeszcze zapewne okryta mgłą. Przypomina sobie niejasno rzędy wagonów, którymi tu przyjechała. Potem ustawiono ją w szeregu i ani się spostrzegła, jak ruszyła z całym tłumem. Dostała się do wielkiego, jaskrawo oświetlonego podziemnego pomieszczenia. Wszystko działo się błyskawicznie szybko. Przypomina też sobie, że kazano jej się rozebrać. To było bardzo przykre. Ale każdy wykonywał polecenie. Nagą wepchnięto do drugiego pomieszczenia. Wszyscy stali się naraz jacyś niespokojni. Tu również paliły się wielkie lampy. Spłoszona szukała w tłumie swoich bliskich. Nikogo nie mogła odnaleźć. Przytulona do ściany czekała na bieg wypadków. Nagle ogarnęły ją ciemności. Coś zaczęło szczypać w oczy i dławić w gardle. Straciła przytomność. Na tym urywają się jej wspomnienia...

Ruchy dziewczynki stają się coraz żywsze. Unosi ramiona, głowę, rozgląda się na lewo i prawo, na twarzy pojawiają się skurcze. Łapie mnie za kołnierz i kurczowo wczepiona



usiłuje za wszelką cenę usiąść. Chcę ją z powrotem położyć, ale dziewczynka

z uporem ponawia swoje wysiłki. To ostry, nerwowy szok. Powoli uspokaja się, leży wyczerpana. W oczach jej błyszczą ogromne krople łez, ale nie płacze.

Na moje pytanie otrzymuję pierwszą odpowiedź. Nie chcę jej męczyć, nie pytam wiele. Dowiaduję się tylko tyle, że ma szesnaście lat i że przyjechała tu z rodzicami w jednym z węgierskich transportów.

Podaję jej filiżankę gorącego bulionu. Wypija go. Ludzie z Sonderkommanda przynoszą różne smakołyki, ale nie pozwalam, by jej cokolwiek dawali. Okrywam dziewczynkę po szyję i nakazuję jej zasnąć.

Nie mogę pozbierać myśli. Zwracam się do towarzyszy. Wspólnie naradzamy się, obmyślamy, co zrobić. Dochodzimy teraz do najważniejszej sprawy: co stanie się z dzieckiem? Wiemy przecież, że tu nie będzie mogło długo zostać.

Krematorium! Sonderkommando! Czego tu może się spodziewać mała dziewczynka? Znam dobrze prawa rządzące w krematorium: stąd jeszcze nikt żywy nie wyszedł - ani z transportów, ani z Sonderkommanda.

Nie pozostaje nam już wiele czasu na narady. Przybywa Oberscharfuhrer Muhsfeldt, aby, zgodnie ze swoim zwyczajem, rozejrzeć się i skontrolować pracę. Przechodzi koło otwartych drzwi i natychmiast spostrzega zbiegowisko. Wchodzi, pyta, co się stało. Już widzi leżącą na ławce dziewczynkę. Daję znak towarzyszom, aby oddalili się. Spróbuję sam dokonać tego, co jest niemożliwe.

Trzy miesiące spędzone pod wspólnym dachem wykształciły między nami swoiste stosunki. Niemcy mają ten zwyczaj, że ludzi, którzy na czymś się znają i którzy są im potrzebni, szanują nawet na terenie kacetu. Tak jest z szewcami, krawcami, stolarzami, ślusarzami. Podczas wielu zetknięć z Muhsfeldtem stwierdziłem, że odnosi się on z szacunkiem do mojej fachowej

wiedzy i funkcji lekarza prowadzącego sekcję zwłok. Muhsfeldt wie, że moim pracodawcą jest naczelny lekarz obozu, jedna z najbardziej groźnych osobistości - dr Mengele. Muhsfeldt z próżnością właściwą Niemcom traktuje dra Mengele jako jednego z największych luminarzy niemieckiej medycyny. Posyłanie setek tysięcy ludzi do gazu uważa za wypełnianie patriotycznego obowiązku. Sekcje zwłok, przeprowadzane tutaj, służą według niego postępowi niemieckiej wiedzy medycznej! Z tej sytuacji i ja ciągnę zyski. Muhsfeldt często przychodzi do prosektorium - rozmawiamy wtedy o polityce, sytuacji wojennej i wielu innych sprawach. Zdaje mi się, że ma dla mnie respekt również i z tego względu, że wykonywanie sekcji zwłok traktuje jako zawód zbliżony do swojej krwawej pracy.

Obok trzech innych esesmanów Muhsfeldt jest szefem i wykonawcą egzekucji w I krematorium. To oni likwidują strzałem w potylicę wyselekcjonowane z obozu ofiary i tych, których z obozu pracy przysyłają tu do obozu „wypoczynkowego”. Strzał w potylicę stosuje się wówczas, gdy liczba ofiar nie przekracza pięciuset. Komorę gazową uruchamia się bowiem tylko wówczas, gdy w rachubę wchodzi uśmiercenie większej ilości ludzi, ponieważ bez względu na to, czy chce się zgładzić pięćset, czy trzy tysiące

osób, potrzebna jest taka sama ilość cyklonu. Przy małej ilości ofiar nie opłaca się również przysyłać ciężarówki po ubrania ani wysyłać sanitarki z cyklonem i z dwoma katami. Na podstawie tej kalkulacji wprowadzono więc mordowanie ludzi strzałem w potylicę.

Spokojnie, rozważnie opowiadam o straszliwych przeżyciach dziewczynki. Maluję Muhsfeldtowi straszliwe sceny, jakie przeszło to dziecko przed gazową śmiercią. Kiedy wokół niego zapadły ciemności, musiało też zachłysnąć się śmiertelnym cyklonem, ale tylko niewielką dawką, bo kruche ciało w walczącym ze śmiercią tłumie zostało na pewno obalone i runęło twarzą

na wilgotny kawałek betonowej podłogi. Trochę tej wilgoci zapobiegło uduszeniu *gazem*, cyklon bowiem nie działa w atmosferze wilgoci.

Tak oto tłumaczę i proszę Muhsfeldta, żeby zrobił coś dla tego dziecka. Wysłuchuje mnie z powagą i pyta, w jaki sposób chcę rozwiązać tę sprawę? Czuję doskonale, że sytuacja jest trudna. Widzę po jego twarzy, że przysporzyłem mu dużo kłopotu. Tu, w krematorium, dziewczynka nie może pozostać. Może być tylko jedno wyjście z sytuacji — wyprowadzić dziewczynkę za bramę. Tam zawsze pracuje przy budowie drogi duże komando kobiece. Wraz z kobietami mogłaby wrócić wieczorem do obozu, dostać się do jednego z baraków i milczeć jak głaz o tym, co się z nią działo. Wśród wielu tysięcy kobiet nie rzuciłaby się nikomu w oczy, przecież nie wszystkie tam się nawet ze sobą znają.

- Gdyby dziewczynka była o dwa-trzy lata starsza, można byłoby to zrobić - oświadczył Muhsfeldt. - Dwudziestoletnia dziewczyna ma już tyle rozsądku, by zdać sobie sprawę z cudownych okoliczności swego ocalenia i nie mówić nikomu o tym, co przeżyła. Ale szesnastoletnie dziecko w swojej naiwności opowie natychmiast pierwszej spotkanej osobie o wszystkim, co przeżyło, gdzie było i co widziało. A to natychmiast rozeszłoby się po obozie.

- Nie ma wyjścia - oświadczył w końcu. - Dziecko nie może pozostać przy życiu. Za kwadrans dziewczynkę wyprowadzono, a właściwie wyniesiono do przedsiönka i tam strzelono jej w tył głowy. Nie Muhsfeldt. Przysłał kogoś innego w swoim zastępstwie.

## XXI

Na pierwszym piętrze I krematorium, obok pomieszczeń dla załogi, znajduje się stolarnia. Pracuje tam dla potrzeb zakładu trzech stolarzy. W tej chwili wykonują prywatne zamówienie. Oberscharfuhrer Muhsfeldt, korzystając z tutejszych możliwości, wydał rozkaz, aby wykonano szybko ogromny, dwuosobowy tapczan. Stolarze zabrali się do roboty, bynajmniej niełatwej do wykonania na terenie krematorium. Potrzebne do tapczanu sprężyny wymontowano z foteli, na których przyjechali tu w transportach starcy

i chorzy. Całe tuziny tych foteli znajdują się na dziedzińcu krematorium. Wieczorami zwykliśmy na nich przesiadywać.

A więc tapczan robiono zgodnie z dyspozycjami. Widziałem, jak powstawał ten tapczan z wykombinowanego drzewa, z wymontowanych sprężyn i z obicia sporządzonego z najdroższego, perskiego dywanu. Dwóch francuskich elektromonterów zainstalowało przy tapczanie lampkę do czytania oraz półkę na radio. Mebel polakierowano na jaskrawy czerwony kolor. Wyglądał bardzo okazale. Będzie się doskonale prezentował w drob-nomieszczańskim mieszkaniu w Mannheim, znacznie lepiej niż tu, na strychu krematorium, bo tapczan pod koniec tygodnia zostanie wysłany do Mannheim, do domu Oberscharfuhrera Muhs-feldta. Tapczan będzie tam stał i czekał, aż Oberscharfuhrer po ciężkich bojach wróci do domu i wypocznie na nim po trudach wojny.

W tym tygodniu byłem w pokoju Muhsfeldta i zauważyłem tam chyba z pół tuzina jedwabnych pidżam, które czekały na zapakowanie. Zapewne wyśle je również do domu jako część wyposażenia tapczanu. Ładny, zagraniczny towar. W Niemczech wszystko jest tylko na kartki. Tu natomiast można łatwo i do woli przebierać w sali, gdzie ofiary zostawiają swoje rzeczy. Tutaj ceną, za którą można dostać wszystko, jest strzał z sześciomili-metrowego karabinka, którym Oberscharfuhrer Muhsfeldt pozbawia życia swoje ofiary.

Taki system obowiązuje tu zamiast kartek. Za strzał w tył głowy dostaje się biżuterię, skórzane płaszcze, futra, jedwabie, eleganckie buty. Nie ma tygodnia, aby nie wysyłano paczek do domu. Jest w nich herbata, kawa, czekolada, konserwy - na kilogramy.

Wszystko można tu dostać.

Te nieograniczone możliwości podsunęły Oberscharfuhrerowi pomysł zamówienia tapczanu i wysłania go do domu.

W ciągu tych dni, w czasie których obserwowałem sporządzanie wygodnego łoża, i mnie nasunęła się pewna myśl. Myśl powoli przerodziła się w konkretny plan...

Niedługo wszyscy zginiemy. Co do tego nie mamy żadnych wątpliwości.

Przyzwyczailiśmy się do tej myśli, wiemy, że nie ma ucieczki. Jedna rzecz natomiast nie daje nam spokoju. Zginęło już tutaj jednaście Sonderkommand i wszyscy zabrali ze sobą straszną tajemnicę krematoriów oraz stosów, na których pali się zwłoki. Nie wolno, aby i tym razem tak się stało! Musimy pomyśleć o tym, jak przekazać światu po naszej śmierci prawdę o tym, w jaki sposób z niebywałym okrucieństwem i podłością zbudowano ten system wymyślony przez „wyższą rasę”.

Trzeba przekazać światu wiadomość. Stąd! Być może znajdą tę wieść dopiero po latach, ale i wówczas stanie się ona oskarżeniem. Dwustu ludzi z Sonderkommand I krematorium w pełni świadomych zbliżającej się śmierci podpisze dokument.

Przemycimy

go za druty za pośrednictwem tapczanu, na razie do mieszkania Oberscharfuhrera Muhsfeldta do Mannheim.

Dokument zostaje sporządzony. Szczegółowo opisuje on okropności popełnione tu w ostatnich latach. Wymieniamy nazwiska katów. Podajemy przypuszczalne liczby ofiar, metody i narzędzia ludobójstwa. Informacja zostaje sporządzona na trzech wielkich arkuszach pergaminu. Pisarz Sonderkommand, pewien francuski grafik, wypisał tekst

tuszem, kaligrafując piękne litery na wzór dawnych manuskryptów. Na czwartym arkuszu składa swoje podpisy dwustu ludzi komanda. Pergaminowe arkusze zesnurowuje się pięknym jedwabiem, zwija się je i wkłada do blaszanej tulejki, sporządzonej przez blacharzy. Zostaje ona zanitowana tak, by chroniła hermetycznie wnętrze od wpływów powietrza i wody. Rurkę stolarze umieścili między sprężynami materaca.

Drugą identyczną informację, z takim samym tekstem i dwustu podpisami - również zamkniętą w metalowym pudełku -zakopaliśmy na podwórzu II krematorium<sup>39</sup>.

## XXII

Codziennie, koło godziny siódmej wieczorem, *wjeżdża* w bramę krematorium ciężarówka. Przywozi około siedemdziesięciu-osiemdziesięciu kobiet lub mężczyzn do zlikwidowania. Codzienna porcja wyselekcjonowanych z kacetu. Trafiają tutaj z baraków i szpitali. Są to przeważnie wieloletni lub co najmniej wielomiesięczni mieszkańcy kacetu, którzy nie mają złudzeń co do swego losu. Kiedy samochód wjeżdża przez bramę, całe podwórze wypełnia się potwornym przedśmiertnym krzykiem. Wybrani na śmierć wiedzą, że spod komina krematorium nie ma ucieczki. Nie chcę widzieć tych scen. Z reguły uciekam w najdalszy kąt dziedzińca krematorium, kryję się w małej kępie sosen. Tu nie słychać trzasku strzałów, krzyki docierają przytłumione. Dziś wieczorem jednak nie udało mi się to. Od piątej po południu znów pracuję w prosektorium: muszę wyjaśnić okoliczności samobójstwa pewnego Oberscharfuhrera SS. Zwołani przysłano z Gliwic. Przy sekcji asystują: sędzia trybunału wojennego, Hauptsturmführer SS, oraz jeden urzędnik. Koło godziny siódmej dyktuję urzędnikowi SS protokół sekcji. Wówczas to wjeżdża wielka ciężarówka pełna mężczyzn. Z mojej sali wychodzą na podwórze dwa duże zakratowane okna, osłonięte zieloną drucianą moskitierą. Samochód zatrzymuje się niedaleko okien. Nieszczęśni podróżnicy zachowują się bardzo

cicho. Z tego wnoszę, że wyselekcjonowano ich nie z baraków, a ze szpitali. Wszyscy są ciężko chorzy. Już nie mają sił, by krzyczeć ani nawet zejść z wysokiej platformy samochodu. Strażnicy z SS wrzeszczą, ponaglają. Nikt się nie rusza. Podoficer prowadzący samochód traci cierpliwość. Siada za kierownicą i zapuszcza motor, Przednia część olbrzymiej skrzyni unosi się powoli w górę i wysypuje ludzi. Chorzy, na wpół umarli, padają na głowy, twarze, jedni na drugich - na beton. W niebo uderza potworny krzyk, wiją się konwulsyjnie na ziemi. Okropna scena!

Złorzeczenia i krzyki zwracają uwagę nie znajęcego tutejszych zwyczajów oficera SS, który pyta mnie, co się tam na dworze dzieje. Podchodzi do okna. Tłumaczę mu, co się stało. Widać, że zrobiło to na nim wrażenie, bo z odrazą odwraca się i z dezaprobatą mówi: „Tego jednak nie powinni...”

Sonderkommando już zrywa z ofiar ich szmaty i rzuca na stos na podwórzu. Nieszczęśników wnoszą do kotłowni, gdzie przed paleniskiem czeka na nich

Oberscharfuhrer Muhsfeldt. Dziś jego kolejka. Ma na rękach gumowe rękawiczki, trzyma broń. Stawiają przed nim ludzi, którzy -jeden po drugim - padają mar-two na posadzkę, dają miejsce następnym. W ciągu kilku minut Muhsfeldt „wywrócił” wszystkich osiemdziesięciu - tak właśnie zwykł mówić: „umgelegt”. W pół godziny później pozostała z nich już tylko garść popiołu.

Oberscharfuhrer przychodzi później do mego pokoju i prosi, abym go zbadał. Ma zakłócone bicie serca i boli go głowa. Zdejmuje bluzę. Mierzę mu ciśnienie, badam tętno, słucham bicia serca. Uspokajam jego obawy. Nie znalazłem żadnych odchyłeń od normy. Jedynie tętno jest nieco przyspieszone. Wyrażam swoje zdanie, że jest to wynik tej pracy, jaką wykonał przed pół godziną w kotłowni. Powiedziałem to dla uspokojenia, ale osiągam wręcz odwrotny skutek.

Podrywa się szczerze oburzony, staje przede mną i mówi: - Pańska diagnoza jest mylna. Dla mnie obojętne, czy zastrzelę osiemdziesięciu czy tysiąc ludzi. Tym się wcale nie denerwuję. Wie pan, dlaczego jestem podenerwowany? Dlatego, że za dużo piję! Wychodzi zawiedziony.

## XXIII

Po położeniu się do łóżka zwykle czytam przed zaśnięciem. Dziś też tak zrobiłem, ale nie mogłem długo czytać, bo żarówka nagle zgasła. Słyszę głos syreny przeciwlotniczej. W takim wypadku uzbrojeni po zęby strażnicy SS sprowadzają nas na dół, do schronu dla Sonderkommanda, do komory gazowej. Tak jest i dzisiaj. Ubieramy się i schodzimy. Z ciężkim sercem wchodzimy do ciemnej komory gazowej. Jest nas dwustu! Całe komando! To okropne przebywać w tym pomieszczeniu, wiedząc, że zginęły tu setki tysięcy ludzi. W dodatku zdajemy sobie sprawę, że zbliża się nasz koniec i podobną okazję może wykorzystać SS, aby zatrzaskać drzwi i gładko wymordować nas czterema puszkami cyklonu.

Już raz zdarzył się podobny wypadek. Część dziewiątego Sonderkommanda przeniesiono do bloku 13 podobozu d. Był to specjalny izolowany barak. Ludziom z komanda powiedziano, że zgodnie z rozkazem władz wyższych będą mieszkać nie w krematorium, a w obozie. Stąd - w dwóch grupach - będą chodzić do pracy w krematorium. Jeszcze tego wieczoru zabrano ich do kąpieli i zmiany bielizny - do jednej z łaźni obozu d. Po kąpieli, nago, przepędzono ich do sąsiedniego pomieszczenia, aby przebrali się w zdezynfekowane ubrania. Było to rzeczywiście dezynfekcyjne pomieszczenie, całkowicie hermetyczne. Tu dezynfekowano zawszone ubrania z obozu. Wtedy zagazowano tam czterystu

ludzi Sonderkommanda. Ich zwłoki zawieziono ciężarówkami do dołów.  
Nie na darmo więc czekamy ze ściśniętym sercem na koniec alarmu lotniczego. Trzy

godziny trwał alarm. Wychodzimy z ciemności. Łukowe lampy, oświetlające kolczaste ogrodzenia, znów" świecą wielokilometrowym łańcuchem. Kładziemy się. Próbuje zasnąć. Nie jest to łatwe.

Na drugi dzień podczas swego obchodu lekarskiego zatrzymuję się w II krematorium. Oberkapo tamtejszego Sonderkommanda informuje mnie, że w nocy, podczas alarmu, pod obóz podeszli partyzanci. Przecieli kolczaste ogrodzenie w mało rzucającym się w oczy miejscu i przez otwór wetknęli trzy pistolety maszynowe, amunicję i dwadzieścia granatów. Ludzie z Sonderkommanda znaleźli broń wczesnym rankiem i schowali w pewnym miejscu.

W naszej beznadziejnej sytuacji zabłysnęła iskierka nadziei. Wiedzieliśmy, że pomocne ręce, które dostarczyły nam broń, nie mogą być od nas daleko. Wiele obserwacji wskazywało na to, że partyzanci rozbili swój obóz w odległości 25-30 kilometrów od lagru. Wierzyliśmy, że podczas najbliższego alarmu znów dostarczą nam broń. Codziennie teraz bowiem, a często kilka razy w ciągu dnia jest alarm lotniczy, ale pomocy możemy się spodziewać od naszych nieznanymi przyjaciół tylko podczas długich, nocnych zaciemnień. Trzy, cztery nocne alarmy wystarczyłyby, żeby partyzanci zaopatrzyli nas w odpowiednią ilość broni, która pozwoliłaby na wydarcie się z obozu. Konspiracja zaczęła się w III krematorium i rozciągnęła swoją siatkę na pozostałe krematoria.

Wszystko to jest organizowane z ogromną ostrożnością i czujnością. Śmierć czyha na nas z luf pistoletów maszynowych straży, a my chcemy żyć! Chcemy wyrwać się stąd na wolność! Gdyby udało się to tylko jednemu czy dwóm spośród nas - to

i tak wygralibyśmy: miałby kto przekazać światu okropną tajemnicę tej fabryki śmierci. Nie chcemy zostać rozdeptani niczym robactwo butami swoich katów. Chcemy przejść do historii niemieckich obozów śmierci jako ci, którzy z podniesioną głową wystąpili przeciwko tysiąc razy od siebie silniejszym i marli, sami zadając śmierć.

## XXIV

Pewnego dnia rozmawiam z Oberscharfuhrerem Steinbergiem. Często odwiedza mnie on w prosektorium. W czasach Republiki Weimarskiej był policjantem drogowym w Berlinie, w Trzeciej Rzeszy trafił do SS. Uważam go za bardzo niebezpiecznego człowieka - jest bowiem zdecydowanym zbrodniarzem, nie pozbawionym jednak inteligencji. Właśnie mówi, że we czterech wyjeżdżają do jednego z domów wypoczynkowych SS na Śląsku. Jedzie w towarzystwie Oberscharfuhrera Seitza, Rottenfuhrera Hollandera i Rottenfuhrera Eidenmullera<sup>40</sup>. Znam dobrze wszystkich czterech - to najbardziej okrutni oprawcy w krematoriach. Steinberg mówi, że wszyscy otrzymali pięciodniowy urlop.

Już od trzech miesięcy jestem w Sonderkommandzie. Teraz wiem już dobrze, że jeśli esesman mówi, że coś jest czarne, a mnie również wydaje się, że czarne, to mimo to nie

wolno mi w to wierzyć. Jeśli Oberscharfuhrer Steinberg mówi o wypoczynku, to z całą pewnością otrzymał polecenie wykonania jakiegoś szczególnie krwawego zadania. Jestem o tym przekonany, bo wiem, że załoga SS krematorium dostaje zakaz opuszczania posterunków, aby nie stykała się z ludźmi i po paru szklankach alkoholu nie wyśpiewała trzymanej w tajemnicy zbrodni. Mogą oddalać się ze swych posterunków i opuszczać krematorium w zwartym oddziale, pod dowództwem oficera, i tak samo wracają

z powrotem. Z niewielką różnicą: i oni stanowią coś w rodzaju Sonderkommanda. O ile wiem, po dwuletniej służbie dostają się do specjalnego obozu SS. W tym właśnie obozie Trzecia Rzesza załatwiała, to znaczy likwidowała swoich niezdyscyplinowanych, względnie za dużo wiedzących ludzi z SS.

Po pięciu dniach Oberscharfuhrer i jego trzech koledzy powrócili z urlopu. Nie pytałem o nic i on również nic nie mówił. W dniu ich powrotu poszedłem do kuchni Sonderkommanda, gdzie kucharz francuskiego pochodzenia, Michel, zawsze miał dla swych gości coś dobrego do zjedzenia. To była ciekawa postać Sonderkommanda. W cywilu również był kucharzem. Pracował na luksusowym francuskim statku, kursującym na brazylijskiej linii.

Teraz również odszukałem Michela, żeby dostać kilka smacznych kąsków. Dziś nie był jednak taki koleżeński jak zazwyczaj. Widać coś mu dolegało, bo wiecznie dymiąca, trzymana w zębach fajka tym razem nie paliła się, lecz sztywno tkwiła w zębach - twarz miał ponurą. Jeżeli nie zauważył, że fajka zgasła, musiał być czymś bardzo zdenerwowany. Odgadłem. Ledwo zamknąłem drzwi, podszedł do mnie i nic nie mówiąc pociągnął w kąt, gdzie na krześle stała blaszana balia. Dwoma palcami wyjął z wody jedną, potem drugą i trzecią esesmańską zieloną koszulę. Wszystkie trzy koszule miały wielkie plamy krwi. W ten sposób można się zakrwawić tylko w rzeźni. Oberscharfuhrer Steinberg i jego koledzy przez pięć dni musieli odpoczywać widocznie w rzeźni, w rzeźni ludzkiej. Od Michela dowiedziałem się bowiem, że to oni oddali do prania swe koszule zaraz po powrocie.

Nie przesadziłem więc, kiedy twierdziłem, że nie należy wierzyć esesmanom, gdy mówią, że coś jest czarne, nawet wówczas, kiedy i mnie wydaje się, że jest czarne

## XXV

Nadeszła ostatnia godzina dla mieszkańców obozu cygańskiego. Zastosowano identyczne przepisy porządkowe jak podczas likwidacji obozu czeskiego. Zamknięto baraki. Ściągnięto liczne formacje SS z psami. Wyrzucono Cyganów z baraków i ustawiono w szeregu. Powiedziano im, że zostaną przeniesieni do innego obozu, i mimo że już od dwóch lat są mieszkańcami kacetu, uwierzyli w to, ponieważ otrzymali racje chleba i kielbasy. Każdy otrzymał trzy porcje, na trzy dni podróży. Bardzo prosta i bardzo

skuteczna metoda wprowadzania w błąd. Oszukani nawet nie myślą o krematorium. Jeżeli ktoś idzie na śmierć, to nie dają mu na drogę żywności. Oczywiście komendantura SS, wydając te zarządzenia, bynajmniej nie kieruje się żadnymi ludzkimi względami, idzie po prostu o to, aby liczną rzeszę ludzi -jak w tym wypadku - zaprowadzić do komór gazowych przy stosunkowo najmniejszej eskorcie, w największym porządku i bez straty czasu. I teraz również tak się stało. Przez całą noc zionęły ogniem kominy I i II krematorium. Swoim blaskiem oświetliły cały obóz. Opustoszał i oniemiał tętniący dawniej życiem obóz cygański. Tylko wiatr hula po pustych barakach, trzaska drzwiami i okiennicami, śpiewa na kolczastych drutach ogrodzenia. Ogień wygasł nad ranem. Na podwórzach krematoriów pozostały srebrzysto świecące usypiska - popioły ofiar.

Zwłoki dwanaściorga par bliźniąt nie powędrowały do pieców. Dr Mengele jeszcze przed ich śmiercią w komorach gazowych napisał im na piersiach specjalnym tuszem dwie litery: ZS (zur Sektion) - skierowanie na sekcję!

W kolekcji zwłok bliźniaków są już reprezentowane wszystkie grupy wieku od niemowląt aż do szesnastolatków. Na betonowej podłodze komory leżą śniade ciała czarnowłosych dzieci. Dużo wysiłku kosztuje mnie ułożenie pary przy parze, brata przy bracie, siostry przy siostrze. Uważam też bardzo, żeby nie pomylić bliźniąt, bo za taką pomyłkę, za zmarnowanie niezwykle ciekawego materiału badawczego doktor Mengele kazałby mi zapłacić życiem.

Śmiało mogę tak sądzić po tym, co się wydarzyło wczoraj, kiedy to siedzieliśmy razem przy biurku. Przeglądaliśmy teczki, w których znajdowały się dokumenty spreparowanych dotychczas bliźniąt. Dr Mengele na jednej z teczek zauważył nieznaczną tłustą plamkę. Podczas sekcji zwłok często brałem w ręce poszczególne teczki i w ten sposób mogła powstać ta plamka. Mengele spojrzał na mnie z wyrzutem i bardzo poważnie zapytał:

- Jak może pan tak obchodzić się z tymi teczkami, które zbierałem z taką miłością? Jego usta wypowiedziały słowo „miłość”. Z osłupienia nie wydobyłem z siebie ani słowa.

## XXVI

Pewnego razu przeprowadzałem sekcję zwłok starszego mężczyzny i w woreczku żółciowym znalazłem ciekawe kamienie żółciowe. Wiedziałem, że dr Mengele jest zapamiętałym zbieraczem tego rodzaju eksponatów. Wyplukałem więc kamienie, osuszyłem je i umieściłem w butelce o szerokiej szyjce, zamykanej gumowym korkiem. Doczepiłem karteczkę z danymi dotyczącymi osobnika oraz jego choroby. Wręczyłem butelkę doktorowi Mengele nazajutrz, podczas jego porannej wizyty. Bardzo mu się podobały te kamienie. Oglądał je obracając buteleczkę na wszystkie strony, a potem nagle zwrócił się do mnie i zapytał, czy znam balladę o księciu Wallensteinie? Jego pytanie nie było wprawdzie odpowiednie do okoliczności, ale odpowiedziałem, że choć znam



historię Wallensteina, to jednak ballady nie słyszałem. Uśmiechnął się i zaczął deklamować:

*Im Besitz der Familie Wallenstein Ist mehr Gallenstein, wie Edelstein...*

Co można by przetłumaczyć mniej więcej tak:

*W posiadaniu rodziny Wallensteinów Więcej było żółciowych niż drogich kamieni...*

Mój szef zadeklamował kilka strof szyderczej ballady. Był w tak doskonałym humorze, że zdecydowałem się na niezwykle śmiały krok.

Poprosiłem go, aby umożliwił mi spotkanie z żoną i córką! Wiedziałem, że ta prośba jest szalenie ryzykowna, ale co robić, już ją wypowiedziałem. Spojrzał na mnie zdumiony.

- Pan jest żonaty i ma pan dziecko? - spytał.

- Tak, Herr Hauptsturmführer, mam żonę i piętnastoletnią córkę - odpowiedziałem nieco zdenerwowany.

- Myśli pan, że one są jeszcze tutaj?

- Chyba tak, ponieważ trzy miesiące temu, kiedy tu przyjechaliśmy, Herr Hauptsturmführer kazał im przejść na prawą stronę.

- Możliwe, że potem skierowano je do innego obozu - odpowiedział.

Spoglądam przez okno na kominy krematorium... Doktor Mengele siedzi przy stole, opierając się na łokciu. Stoję przy nim. Widzę, że zastanawia się.

- Dam panu Passierschein, niech pan je odszuka, ale... - podnosi wskazujący palec do ust i spogląda na mnie. W jego geście i spojrzeniu jest jakby groźba.

- Rozumiem - odpowiadam - i bardzo dziękuję, Herr Hauptsturmführer.

Doktor Mengele oddała się. Przechodzę do swego pokoju z Passierscheinem w rękę.

Czytam: Więzień A 8450 jest uprawniony do poruszania się po terenie KZ Auschwitz bez eskorty. Zezwolenie niniejsze jest ważne do odwołania. Podpisano: Dr Mengele, Hauptsturmführer SS.

Czuje, jak do głębi przenika mnie zdenerwowanie. W historii obozów koncentracyjnych jeszcze chyba nigdy nie zdarzyło się, aby więzień otrzymał zezwolenie na odszukanie swej rodziny i wejście bez eskorty na teren obozu kobiecego.

Nawet nie wiem, od czego zacząć. Kobiety zostały umieszczone w obozach BIIC, Bill i FKL<sup>41</sup>. Ustaliłem, że większość kobiet z Węgier jest w obozie BIIC. Jest ich tam chyba z pięćdziesiąt tysięcy. Tam pójdę najpierw!

Na drugi dzień wstaję zmęczony. Nie spałem całą noc. Męczyły mnie potworne wątpliwości. Trzy miesiące to bardzo długi okres. Tu, gdzie nawet jedna godzina znaczy wiele! Od czasu przyjazdu dużo się zdarzyło. A ja wiem przecież najlepiej, ile zdarza się tu w ciągu każdej godziny, każdego dnia.

Wchodzę do pokoju esesmanów i zgłaszam swoje wyjście. Żegnam się z przyjaciółmi niedoli. Wszyscy życzą mi pomyślnej drogi.

W upalny sierpniowy ranek wyruszam na trzykilometrową wędrowkę. Wprawdzie obóz c w linii prostej leży o wiele bliżej, ale ja, aby tam dotrzeć, muszę iść na zewnątrz łańcucha straży, muszę ominąć inne obozy. Z uczuciem ciekawości i lęku wkraczam na drogę między obozami, wytyczoną ogrodzeniem, którym płynie prąd wysokiego napięcia. Do

tego, kto porusza się po tej drodze, nie wolno strzelać bez ostrzeżenia z wartowniczych wież. Penetrują tu tylko na motocyklach patrole SS.

Spotykam często esesmanów, ale jakoś nikt mnie nie legitymuje. Dochodzę do bramy obozu c. Ogromna, żelazna brama o dwóch skrzydłach. Na słupach wielkie porcelanowe izolatory; brama jest gęsto opleciona kolczastym drutem. Przed bramą, jak przed wejściem do każdego obozu, Blockfuhrerstuba. Kilku esesmanów siedzi na ławce i wygrzewa się na słońcu. Mierzą mnie wzrokiem od stóp do głowy. Muszę niecodziennie wyglądać, ale nic nie mówią. Nie wtrącają się w zakres władzy swego kolegi, który siedzi za okienkiem wartowni. Podchodzę do niego. Zgłaszam swój wytatuowany numer. Patrzy na mnie pytająco. Wyjmuję więc z kieszeni przepustkę otrzymaną od doktora Mengele i pokazuję mu ją. Czyta i wydaje polecenie esesmanom. Otwierają bramę. Esesman pyta mnie, jak długo mam zamiar pozostać w obozie. Muszę wrócić o ustalonej porze. Spoglądam na zegarek: jest godzina dziesiąta. Odpowiadam: Do dwunastej w południe. Esesman notuje. Jest to wprawdzie dość długi okres czasu,

ale pudełko z dziesięcioma papierosami „Josma” w każdej części obozu jest równie dobrym Passierscheinem. Daję papierosy i oddalam się.

Na głównej ulicy obozu c, otoczonej zielonymi barakami, panuje wielki ruch. Grupa kobiet niesie wielką blaszaną beczkę, wypełnioną gorącą zupą. Tu bowiem wydaje się z kuchni obiad już o godzinie dziesiątej. Inne komando nosi kamienie na wybrukowanie nawierzchni. Po obu stronach drogi na ziemi leży w słońcu wiele kobiet. Ich ciała owinięte są w szmaty, włosy ostrzyżone. Ten widok budzi współczucie. Większość kobiet jest ubrana w fantastyczne stroje: długie, sięgające do ziemi, wydekolutowane suknie wieczorowe bez rękawów. Siedzą na ziemi i biją wszy, usuwają pasożyty z siebie i ze swych przyjaciółek. Ciało ich pokryte jest brudem i jątrzącymi się wrzodami. To kwarantanna. Tu kobiety nie pracują. Stąd wybierają transporty do pracy w innych obozach. Porządnie już je wyselekcjonowano. Potrafię to ocenić. Pozostał tu już tylko bardzo słaby materiał ludzki. Szczęśliwe te, którym udało się stąd wydostać! Mają bowiem jeszcze cień nadziei, że przetrwają. Natomiast los tych biedactw, które tu pozostały, jest już przypieczętowany, podobnie jak los obozu cygańskiego i czeskiego. Kieruję swoje kroki do pierwszego z brzegu baraku. Wita mnie wielki hałas i krzyk. Nagle ożywają leżące na podłodze ludzkie szczątki i kupy szmat, przerażające postacie podnoszą się i pędzą w moją stronę. Jest ich około trzydziestu: rozpoznały mnie i z niecierpliwością wypytują o swoich mężów i dzieci.

Mnie jeszcze rozpoznały, bo mam przyzwoity, ludzki wygląd, ale one same zmieniły się nie do poznania. Otacza mnie coraz więcej kobiet. Każda chciałaby się czegoś dowiedzieć o swojej rodzinie. Od trzech miesięcy żyją tu w strasznych warunkach, w stałym lęku. Co tydzień jest selekcja. Trzy miesiące kacetu nauczyło je oplakiwać przeszłość i drzeć przed przyszłością.

Wszystkie nieszczęśnice pytają, czy wieść o krematoriach jest prawdziwa? Co oznacza ten czarny dym w dzień i ten wielki ogień w nocy? Czy to prawda, że tu pali się ludzi? W miarę możliwości uspokajam je. Wszystkiemu zaprzeczam. Nic z tego, co mówią, nie jest prawdą. A poza tym już wkrótce skończy się wojna i wszyscy wrócimy do domu. Sam w to nie wierzę, ale mówię, by je uspokoić. Rozstaję się z nimi. O swojej żonie i

dziecku niczego się od nich nie dowiedziałem.

Wchodzę do następnego baraku. Zwracam się do blokowej, którą akurat jest jakaś dziewczyna ze Słowacji, aby wywołała nazwisko mojej żony. W jednym takim baraku mieszka osiemset do tysiąca kobiet, stłoczonych w ciągnących się po obu stronach boksach. Trudno tu kogoś wywołać. Panujący w bloku hałas zagłusza wołanie. Za kilka chwil blokowa wraca, jej wysiłek był daremny. Dziękuję za okazaną mi chęć pomocy i przechodzę do innego baraku.

Tu również panuje podobna sytuacja i powtarza się poprzednia scena. Poszukiwania nie przynoszą rezultatu również i w tym baraku. Idę do następnego. Staję na środku korytarza i proszę kogoś, aby zawołał blokową. Zwracam się do niej z prośbą, aby odszukała moich bliskich. Blokowa wysyła na poszukiwanie dwie małe, sprytnie dziewczynki. Ruszają w drogę obu stronami korytarza. Wykrzykują nazwiska przed każdym boksem i... już wracają, prowadząc moją żonę i córeczkę - wystraszone poszukiwaniami.

Zbliżają się obie z rozszerzonymi z przerażenia oczami. Trzymają się za ręce. To zły znak, gdy kogoś wzywają. Już mnie poznały. Stają dosłownie skamieniałe. Biegnę im naprzeciw, obejmuję obie naraz, ściskam, całuję. Nic nie mówią, tylko płaczą milcząc - gorzko płaczą. Uspokajam je. Wokół nas gromadzi się tłum ciekawych. Zwracam się z prośbą do blokowej, by wpuściła nas do swego pokoiku. Wreszcie jesteśmy sami.

Opowiadają mi wszystkie ciężkie przeżycia ze swego trzymiesięcznego pobytu w obozie. O przerażających selekcjach, O ciągłym strachu, jaki panuje w cieniu krematoryjnych kominów. Głodują, marzną w swoich łachmanach. Dach baraku przecieka, deszcz pada do środka, nie ma jak suszyć ubrań. Pożywienie jest niejadalne, a co gorsza - nawet nie mogą spać. W boksie jest miejsce dla siedmiu osób, a wtłoczono tam aż dwanaście! Córka opowiada mi, że od tygodni już śpi, siedząc na betonowej podłodze, bo w boksie nie ma dla niej miejsca.

Żona pyta, gdzie pracuję. Opowiadam, że jestem przy doktorze Mengele w krematorium i należę do Sonderkommando. Po trzech miesiącach kacetu i one już wiedzą, że Sonderkommando to oddział skazanych na śmierć. Obie patrzą na mnie przerażone. W miarę możliwości uspokajam je. Już muszę się żegnać. Obiecuję, że jutro znów przyjdę. Odnalezienie przeze mnie żony i córki staje się wielkim wydarzeniem w krematorium. Na oddziale ubrań każę sobie zapakować do plecaka ciepłą bieliznę, pończochy, ubrania. Na innym oddziale - szczoteczki do zębów, mydło, nożyczki do paznokci, sezyoryki, gęste grzebyki. Biorę lekarstwa, witaminy, maść na rany, opatrunki, wszystko, co potrzebne i co może się przydać. Cukier w kostkach, masło, dżem z moreli, chleb -wszystkiego tyle, aby starczyło również dla innych. Tak zaopatrzony wyruszam do obozu c. Bywałem tam potem codziennie, zawsze z pełną torbą.

Ale wszystko, co dobre, ma swój koniec.

Już dwa tygodnie, jak bywam codziennym gościem obozu c. Pewnego dnia nastąpiło to, czego się obawiałem. Już po likwidacji obozu czeskiego i cygańskiego doszedłem do wniosku, że sprawa unicestwienia obozu c jest tylko kwestią dni. Likwidacja dosięgnie wcześniej czy później każdego, kto trafił za druty oświęcimskiego obozu.

Pewnego popołudnia siedziałem przy swoim laboratoryjnym stole. Obok rozmawiali dr

Thilo i dr Mengele. Mówili właśnie o administracyjnych problemach kacetu. Dr Mengele podnosi się nagle z krzesła i zupełnie zdecydowanym głosem mówi do dra-Thilo:

- Nie mogę już dalej żywić osłabionych i nieproduktywnych mieszkańców obozu c.

Zlikwiduję ich w ciągu dwóch tygodni!

Często toczą się w mojej obecności podobne rozmowy. Dyskutują przy mnie o najbardziej poufnych problemach kacetu, jakby mnie w ogóle nie było przy tym. Przecież jestem skazany na śmierć, nie liczę się, właściwie już nie istnieję.

Decyzja dra Mengele przeraziła mnie i do głębi mną wstrząsnęła. Obok moich najbliższych idzie również o życie tysięcy moich rodaczek. Muszę bezzwłocznie działać! Zaledwie dr Mengele i dr Thilo opuścili gmach krematorium, i ja byłem natychmiast za bramą. Moja droga wiodła prosto do obozu d. W tym odcinku mieści się Arbeitseinsatz, biuro załatwiające wyznaczanie więźniów do robót. Ten oddział przeprowadza selekcje więźniów i wysyła grupy zamówione przez obozy pracy i zakłady wojenne na teren całej Rzeszy.

Kierownikiem biura jest esesman w randze Oberscharfuhre-ra. Jest sam w pokoju.

Przedstawiam się i pokazuję mu stały Passierschein, wystawiony przez dra Mengele.

Mówię mu, że moja żona i córka znajdują się w obozie c. Odnalazłem je przy pomocy dra Mengele. Pomagam im w miarę swych możliwości, ale uważam za bardzo ważne, aby jak najprędzej opuściły Oświęcim, bo jako zatrudniony w krematorium zdaję sobie doskonale sprawę, jaki los czeka tych, którzy tu zostaną. Kierownik biura podziela w pełni mój pogląd i obiecuje pomoc. W tym tygodniu z obozu c wyruszą dwa transporty, liczące po trzy tysiące ludzi, do zakładów wojennych w zachodnich Niemczech. Te zakłady to stosunkowo dobre miejsca pracy — eksterminacja nie leży w ich

założeniach. Pomieszczenia, wyżywienie, traktowanie ludzi mają na celu utrzymanie sprawności fizycznej siły roboczej; idzie o to, aby uzyskać jak największą wydajność pracy.

Wyjmuję z kieszeni pudełko z setką papierosów i kładę na stole. Esesman bierze pudełko i obiecuje, że przyjmie moją żonę i córkę do jednego z transportów, jeśli oczywiście zgłoszą się one podczas selekcji.

Osiągnąłem, co chciałem!

Spieszę do obozu BIIc. Tam będę miał cięższe zadanie. Muszę wytłumaczyć swoim najdroższym, że powinny stąd odejść. Nie mogę im powiedzieć prawdy. Nie mogę spowodować paniki, która w rezultacie mogłaby okazać się zgubna dla nich wszystkich. Wzywam żonę i córkę do pokoiku blokowej, mówię im, jak ciężko jest mi rozstać się z nimi, ale sytuacja wymaga tego, aby wyjechały stąd. Musimy zrezygnować z widywania się. Muszę zrezygnować z czuwania nad nimi. W tym tygodniu esesmani wybiorą stąd dwa wielkie transporty. Do jednego z nich, lepiej do pierwszego, powinny się obie zgłosić!

Wytłumaczyłem żonie, że poważne względy zmuszają mnie do tego, abym im tak radził. Proszę ją też, aby wszystkim znajomym zalecała zgłaszanie się do transportów. Więcej niech nic nie mówi.

Przy zestawianiu transportów komisja SS dokonująca selekcji przyjmuje najpierw ochotników, a dopiero uzupełnia wymagany stan drogą przymusowego wyboru.

Ochotników jest z reguły bardzo mało, bo nikt nie chce zamienić swojej aktualnej, podłej sytuacji na inną, nieznaną. Jakże zgłaszać się do pracy przy takim wyżywieniu! Nie

wystarcza ono nawet tu, na kwarantannie, gdzie przecież nie trzeba pracować. Biedni nieszczęśnicy! Nie znają moralności obozów Trzeciej Rzeszy, nie wiedzą, że kto nie pracuje, ten nie może żyć!

Moja żona i córka uznały, że muszę mieć poważne powody, skoro podjąłem tego rodzaju decyzję. Obiecały, że zgłoszą się przy pierwszej selekcji.

Pożegnałem się z nimi, przyrzekając, że za dwa dni znów przyjdę i przyniosę ciepłe rzeczy oraz żywność na drogę.

Minęły dwa dni i z ciężkim sercem wyruszyłem na pożegnanie do obozu c. Zabrałem ze sobą dużo ubrań i żywności. Nie poszedłem sam. Nie odważyłbym się przenieść tylu rzeczy przez bramę obozu c. Mogło się przecież zdarzyć, że w pobliżu znajdą się

oficerowie SS. Poprosiłem więc jednego z esesmanów z krematorium, swego pacjenta, którego wyleczyłem z zapalenia płuc, aby poszedł ze mną i pomógł przerzucić paczki.

Tym razem nie wchodziłem już do baraku, lecz wezwałem żonę i córkę, aby stawiły się przy ogrodzeniu. Tam wraz z eskortującym mnie esesmanem przerzuciliśmy paczki przez druty. Na szczęście nikogo nie było w pobliżu i nikt niczego nie zauważył.

Rozdzielał nas kolczasty drut. Nawet nie mogliśmy się objąć.

Rozmawialiśmy tylko kilka minut. Żona powiedziała mi, że zgłosiła się z córką bez żadnych przeszkód. Nawet nie było potrzeby wymieniania nazwisk przed przeprowadzającym selekcję Oberscharfuhrerem. Zapisano je do transportu.

Moją radość podwoił fakt, że zgodnie z radą żony wiele osób zgłosiło się na wyjazd.

## XXVII

Po upływie trzech dni jeszcze raz udałem się do obozu c. Chciałem na miejscu przekonać się o wyjeździe żony i córki.

Wszystko stało się tak, jak tego pragnąłem. Dwa transporty - po trzy tysiące kobiet każdy - opuściły obóz oświęcimski. Podążyły z nimi i moje. Nie wiedziałem, co przyniesie im los, ale mimo wszystko odczuwałem ogromną ulgę. Tu czekała na nie pewna śmierć, tam, na nowym miejscu, przy odrobinie szczęścia - wyzwolenie! Dużo znaków pozwala sądzić, że bliski jest koniec wojny. Kopia grób dla Trzeciej Rzeszy. Ci, którym udało się stąd wydostać, mają znów pełne prawo do nadziei... Ja jednak w pełni zdaję sobie sprawę z beznadziejności własnego losu.

Czuję głębokie zadowolenie, że udało mi się oddalić swoich najbliższych od oświęcimskich stosów. Wiem natomiast, że sam nieuchronnie podążam na śmierć.

Bynajmniej nie strach i nie rozpacz malują przede mną taki obraz jutra; wskazują na to krwawe tragedie poprzednich jedenastu Sonderkommand oraz własna, chłodna, pozbawiona wszelkich sentymentów logika. Opuszczam obóz BIIC. Moje spojrzenie jeszcze raz prześlizguje się po ponurych barakach. Z bolesnym uczuciem żegnam się z miejscem, gdzie snują się koszmarnie postacie, ostrzyżone do skóry, odziane w szmaty, odarte z godności ludzkiej. Postacie, które kiedyś były naszymi pięknymi żonami i córkami.

Przenika mnie zimno i dreszcz wstrząsa całym ciałem. Owijam się płaszczem i dopiero teraz zdaję sobie sprawę z tego, że już jest jesień. Wrzesień. Północny wiatr wieje w stronę ośnieżonych już szczytów Beskidów, wstrząsa kolczastymi drutami kacetu, kołysze płomieniem buchającym z komina krematorium. Gdzieś latają wrony, jedyne ptaki, jakie się tu spotyka. Wiatr znosi ku mnie strzępy dymu z kominów, zaplanowanych tu na wieki krematoriów. Znana woń palonego mięsa i włosów. W paraliżującej beczynności i w niespokojnym oczekiwaniu mijają dni i noce. Milczę, niczego nie pragnę. Czuję, jak dławi mnie samotność od chwili, kiedy opuścili mnie moi najdrożsi. Dręczy mnie bezradność.

Cisza i bezmierna monotonia ogarnia obóz koncentracyjny w Oświęcimiu. To zły znak! Przeczucie nigdy mnie nie myli. Wielka cisza jest wymownym znakiem nadchodzących krwawych wypadków.

Dwunaste Sonderkommando wyczerpało już trzy i pół z czterech miesięcy wyznaczonego dla siebie życia. Szybko przecieka piasek w klepsydrach naszego istnienia. Pozostały nam jeszcze dwa tygodnie życia...

Doktor Mengele wykonał swoje postanowienia. Rozpoczęła się likwidacja obozu c. Pięćdziesiąt samochodów ciężarowych wozilo ofiary do krematoriów. Co wieczór czterotysięczną grupę. Okropny był widok długiej kolumny oświetlonych aut, które wjeżdżały na podwórze krematorium, wioząc oszalały od krzyku lub milczący ze strachu ludzki ładunek.

Wyładowywano rozebrane już do naga nieszczęsne ofiary tuż przed podziemnym wejściem do komory gazowej. Wszystkie kobiety zdawały sobie doskonale sprawę z tego, że idą do gazu, ale wpajana im przez cztery miesiące więzienna dyscyplina, cierpienia zabijające ciało i ducha oraz załamanie nerwowe stępiły w nich jakiegokolwiek przejawy woli. Bez żadnego sprzeciwu

dawały się wpędzać do komór gazowych, gdzie okrutna śmierć kładła kres ich bezsensownemu już, pełnemu cierpień życiu.

Jakże długa była droga, nim do tego doszły! Jakże nieludzkie, przechodzące wszelkie pojęcie, cierpienia przynosiła im każda stacja na tej drodze! Obrócono w perzynę ich spokojne, pełne rodzinnego ciepła domy - ograbiono je. Wraz z mężami, dziećmi, starymi rodzicami wpędzono je do getta, do starych cegielni na skrajach miast, gdzie przez długie tygodnie wszyscy ' leżeli w wiosennych kałużach. Stąd codziennie, całymi grupami brano ich na przesłuchania do specjalnie urządzonych katowni, gdzie miażdżono im palce i bito gumowymi pałkami tak długo, aż mdlejąc z bólu wyjawili, gdzie ukryli i komu przekazali swoje kosztowności. Wielu umarło na skutek tortur. Potem załadowano ich do pociągu, po osiemdziesiąt-dziewięćdziesiąt osób do jednego wagonu. Jechali tak cztery lub pięć dni, razem z tymi, którzy zmarli w drodze, póki nie trafili wreszcie na oświęcimską rampę.

Co stało się z nimi tutaj - już wiemy. Oszalałe z rozpaczki po rozłączeniu ich z najbliższymi kobiety trafiły do baraków obozu c. Przed wkroczeniem do gniazda brudu, wszy, chorób zakaźnych musiały jeszcze przeżyć podeptanie swej godności ludzkiej - procedurę kąpieli.

Brutalne ręce zdarty z nich ubrania i ścięły włosy. Po prysznicu dano im nowe ubiory - które odrzuciliby ze wstrętem nawet najbiedniejsi żebracy. Z tymi łachmanami otrzymali pierwszy podarek od Trzeciej Rzeszy - wszy.

W taki sposób rozpoczęła się wegetacja naszych żon, matek, sióstr i córek za drutami kacetu. Dostarczany im pokarm nie dorównywał nawet pomyj om; me pozwalał im wprawdzie umrzeć z głodu, ale też nie wystarczał do życia. W tym pokarmie nie było zupełnie białka. Brak tego składnika ołowiem obciążał ich nogi.

Brak potrzebnej dla organizmu porcji tłuszczu powodował opuchliznę. W następstwie braku normalnej, regularnej menstruacji pojawiło się zdenerwowanie, ból głowy, częste krwotoki z nosa. Brak witaminy B wywoływał ciągłą senność oraz zatępił im pamięć do tego stopnia, że zapomniały nazwy swych ulic i numery dawnych domów. Tylko w oczach tliło się im jeszcze życie, a raczej świecił głód.

Godzinami stały podczas apelów w szeregach, odliczały w nieskończoność, a gdy tracąc przytomność wypadały z szeregu i budziły się na nowo pod wpływem wylanej na nie lodowatej wody, pierwsze ich spojrzenia padały w skłębione nad kacetem obłoki ciemnego dymu i buchający z krematoryjnych kominów ogień. Te dwa znaki - dym i ogień - uświadamiały im przez cały czas, że stoją w obliczu zagłady...

Cztery miesiące egzystowały mieszkanki obozu BIIc w pobliżu krematorium i dziesięć dni trzeba było, aby wszystkie przekroczyły jego progi.

Obóz c, miejsce tyłu tragedii, znów oniemiał...

## XXVIII

Mijają dni, tygodnie, miesiące. Sonderkommando z dnia na dzień oczekuje nadejścia kresu swego istnienia. Zbliża się do nas najokropniejsze: egzekucja. Po niej wszystko obróci się w ciemność, stanie popiołem... O każdej porze dnia czekamy nadejścia katów z SS.

Szóstego<sup>42</sup> października 1944 roku w godzinach porannych rozległ się strzał oddany z jednej z wież strażniczych, stojących poza neutralną strefą, między małym a dużym łańcuchem posterunków. Śmiertelnie trafiony więzień upadł na ziemię. Był nim oficer rosyjski, który trafił do Oświęcimia za usiłowanie ucieczki z obozu jenieckiego. Tu również próbował uciekać i dlatego trafił pod muszkę karabinu wartownika.

Na miejsce przybyli esesmani z Politische Abteilung z doktorem Mengele na czele. Badano wypadek. Było to codzienne, zwyczajne zdarzenie. Zwłoki jak zwykle trafiłyby do trupiarni, a potem do krematorium bez żadnych formalności, gdyby nie to, że chodziło tym razem o oficera rosyjskiego, który w rejestrze obozowym figurował pod pełnym nazwiskiem i imieniem. Do umotywowania zadanej mu przemocą śmierci konieczny był protokół sekcji zwłok... Po zakończeniu wizji lokalnej dr Mengele przywiózł zmarłego do krematorium i wydał dyspozycję dokonania sekcji. Zgodnie z jego rozkazem mam oddać protokół sekcji po południu, o pół do trzeciej. Chce osobiście odebrać protokół i

sprawdzić zawarte w nim dane.

Jest około dziewiątej rano, gdy dr Mengele opuszcza salę sekcyjną. Proszę o położenie zwłok na stole i przystępuję do sekcji. Mógłbym ją ukończyć w ciągu trzydziestu-czterdziestu minut, ale jest właśnie 6 października, przedostatni lub ostatni dzień życia Sonderkommanda. Nie wiedzieliśmy nic pewnego, ale intuicyjnie wyczuwaliśmy bliskość śmierci.

Nie byłem w stanie pracować. Wyszedłem z sali i udałem się do swego pokoju. Zażyłem wielką dawkę luminalu i paliłem jednego papierosa po drugim. Nie mogłem jednak znaleźć sobie miejsca. Przeszedłem więc do kotłowni krematorium.

Ludzie z dziennej zmiany ociągając się pełnili swoją pracę, choć przed paleniskami leżały zwłoki kilkuset ofiar. Zbierając się w małe grupki, rozmawiali po cichu ze sobą. Udałem się na piętro, do kwater załogi. Nocna zmiana po zakończeniu swojej pracy normalnie zjada śniadanie i idzie spać, teraz jest jednak inaczej. To niezwykle - jest dziesiąta rano i nikt nie śpi. Rzuca się też w oczy, że mimo ciepłego, słonecznego październikowego dnia ludzie poubierali się na sportowo, wciągnęli ciepłe swetry, buty z cholewami. Kręcą się, rozmawiają, porządkują swoje walizki. Mimo tego pozornego ruchu wyczuwa się ogromne napięcie. Coś się szykuje. Wchodzę do małego, osobnego pokoiku oberkapo. Siedzi przy stole, wokół niego zaś kapo nocnej zmiany, inżynier-konserwator, główny palacz, kapo Gaskommanda.

Ledwo usiadłem, już nalewają mi pół szklanki świetnej polskiej kminkówki ze stojącej na stole i opróżnionej już do połowy butelki. Wypijam jednym haustem. Nie jest to wprawdzie lek na zbawienie w ostatnich godzinach istnienia Sonderkommanda, ale znakomicie zwalcza lęk przed śmiercią...

Towarzysze szczegółowo przedstawiają mi naszą sytuację. Według uzyskanych informacji wszystko wskazuje na to, że likwidacja Sonderkommanda ma nastąpić jutro, względnie dopiero za trzy dni, ale przygotowano już wszystko do tego, aby ośmiuset

sześćdziesięciu<sup>43</sup> ludzi Sonderkommanda dziś w nocy wyłamało się z krematorium. Kierunek - odległy stąd o dwa kilometry zakręt Wisły, która teraz, po upalnym lecie, jest płytka i ła- twa do przejścia. O osiem kilometrów stamtąd rozciągają się lasy. A tam już można znaleźć bezpieczne kryjówki na tygodnie i miesiące i szybko nawiązać kontakt z partyzantami.

Posiadana broń daje szansę na zrealizowanie planu. Otrzymano ją z fabryki „Union” w Oświęcimiu, produkującej amunicję. Pracują w niej polskie Żydówki<sup>44</sup>. Wśród zgromadzonej broni jest około stu ekrazytowych ładunków o wielkiej sile wybuchowej. Takich właśnie ładunków używają Niemcy przy wysadzaniu szyn kolejowych. Ponadto jest jeszcze pięć pistoletów maszynowych<sup>45</sup> i dwadzieścia granatów. Oto cały zapas broni. Akcja ma się rozpocząć od zaskakującego ataku na pełniących nocą wartę esesmanów, których unieszkodliwi się nożami. Następnie zaś uderzymy na pokoje esesmanów i zdobywszy broń zmusimy ich, żeby szli z nami tak długo, jak długo będzie to potrzebne...

Sygnal do ucieczki przekaże pierwsze krematorium za pomocą ręcznej latarki drugiemu, drugie przekaże z kolei sygnal trzeciemu, a trzecie czwartemu. Moim zdaniem plan był zupełnie realny, tym bardziej że z wyjątkiem I krematorium nigdzie nie palono dziś



zwłok. A więc o godzinie szóstej, gdy i tu zakończy się praca, ani jeden z oddziałów Sonderkommando nie będzie musiał pracować na nocnej zmianie, wówczas zaś SS nie wystawia wzmocnionych wart. W takim wypadku w każdym krematorium straż składa się tylko z trzech ludzi. Rozstajemy się z postanowieniem, że do chwili otrzymania sygnału wszyscy wykonujemy normalnie pracę i w miarę możliwości staramy się unikać wszystkiego, co mogłoby wzbudzić podejrzenia.

Idę do swego pokoju. Znow muszę przejść obok pieców. Ludzie pracują w zwolnionym tempie. Przedstawiam sytuację moim dwóm kolegom lekarzom. Nie mówię natomiast nic pomocnikowi.

Jest to długoletni więzień kacetu. Nie ufam mu. Będzie musiał i tak podporządkować się faktom.

Zbliża się pora obiadowa. Spokojnie spożywamy obiad, a potem z towarzyszami wychodzimy na podwórze krematorium, aby trochę wygrzać się na jesiennym słońcu. Rzuci się w oczy, że nie widać nikogo z esesmanów. Prawdopodobnie znajdują się w swoich pokojach. Bywało tak już nieraz. Bramy zamknięte. Po drugiej stronie bram służbę pełnią wartownicy. Ci są na miejscu. Nie przywiązuję więc do tego faktu żadnego znaczenia. Spokojnie zaciągam się papierosem. Świadomość, że dziś wieczorem mamy szansę być poza drutami i odzyskać wolność, uwolniła mnie od okropnego uczucia, które ciążyło mi przez cztery ostatnie miesiące. Jeśli się nie uda, to i tak niczego nie stracę! Spoglądam na zegarek. Jest pół do drugiej. Trzeba zakończyć sekcję na pół do trzeciej, kiedy przyjedzie dr Mengele. Koledzy bez słowa idą za mną do sali sekcyjnej.

Natychmiast przystępujemy do pracy. Dziś sekcję przeprowadza jeden z moich kolegów. Ja siedzę przy maszynie do pisania, wypełniam protokół.

Pracujemy w ten sposób w zupełnej ciszy mniej więcej przez 20 minut, kiedy nagle powietrzem wstrząsa potworny wybuch. Potem rozlega się gęsta strzelanina z pistoletów maszynowych.

Wyglądam przez wielkie, zasłonięte zieloną siatką okno. Ogromny czerwony dach III krematorium zapada się<sup>46</sup>, w górę lecą belki, cegły, bije potężny słup ognia i czarnego dymu. Mija zaledwie minuta, a w bezpośredniej bliskości drzwi naszej sali zaczyna trzaskać pistolet maszynowy.

Nie mamy pojęcia, co mogło się stać. Nasza akcja miała rozpocząć się w nocy. Czyżby ktoś nas zdradził i SS rozpoczęło kontrakcję? A może to partyzanci uderzyli na krematoria?<sup>47</sup>

Słychać buczenie syren ze strony Oświęcimia I i Oświęcimia II. Wybuchy i strzelanina coraz bardziej narastają. Rozróżniamy już odgłosy ciężkiej broni maszynowej.

Szybko decyduję: bez względu na to, czy to zdrada, czy też atak partyzantów, zostajemy na miejscu! Tak jest najrozsądniej. Musimy czekać tu na miejscu na rozwój sytuacji. Widzę przez okno, jak nadjeżdża osiem czy dziesięć ciężarówek. Hamują przed naszym I krematorium, wyskakują z nich pół batalionu esesmanów i ustawia się w tyralierę przed ogrodzeniem.

Teraz sytuacja już jest jasna: Sonderkommando opanowało I krematorium, strzela i rzuca granatami z okien do ustawiających się esesmanów. Obrona jest skuteczna, bo widzę wielu leżących esesmanów - martwych lub rannych. Atakujący pró-bująbardziej skutecznych metod. Przyprawiają jakieś czterdzieści czy pięćdziesiąt tresowanych

psów i usiłują je poszczuć na broniących się wewnątrz krematorium. Ze zdumieniem jednak obserwuję, że te zawsze posłuszne, krwiożercze bestie tym razem skowycząc chowają się za swoich panów z SS. Tłumaczę to tym, że psy wytresowano do atakowania więźniów ubranych w pasiaki. Tu takich nie ma. Jest natomiast wiele innych, niezwykle dla tych psów szczegółów: krematorium i okolica jest przesiąknięta swądem palonego mięsa, krwi i kości, a od tego chyba stronią obdarzone delikatnym węchem psy. Ponieważ próba ataku psów kończy się niepowodzeniem, esesmani sprowadzają dwa przeciwlotnicze działa ze znajdujących się opodal stanowisk i zaczynają je ustawiać na pozycjach naprzeciw krematorium.

Tak przeważającym siłom Sonderkommando nie jest w stanie się przeciwstawić. Budynkiem wstrząsa głośnie hura i komando wypada tylnymi drzwiami z budynku krematorium. Strzelając ciągle do ustawionych na linii strażniczej esesmanów, wydostaje się przez przecięte uprzednio druty wysokiego napięcia i ucieka w kierunku Wisły. Wywiązuje się zacięta strzelanina między esesmanami i uciekającymi. Dobrze słyszę, jak do trzasku broni i detonacji granatów oraz ładunków ekrazytowych

dołączają się strzały z ciężkich karabinów maszynowych, ustawionych na wieżach strażniczych.

Po upływie niecałych dziesięciu minut wszystko cichnie.

Teraz już bez wstępnego ostrzelania z dział przeciwlotniczych rusza do ataku ustawiona przed frontem budynku tyraliera SS. Z bagnetami na broni z kilku stron naraz wpadają do budynku i zapełniają wszystkie pomieszczenia na parterze i na piętrze.

Dziesięcioosobowa grupa esesmanów wtargnęła do sali sekcyjnej. Trzymając skierowane w naszą stronę lufy, otoczyli nas i wśród razów zadawanych kolbami wypchnęli z podniesionymi rękami na podwórze. Tam całej naszej czwórce kazali położyć się twarzą do ziemi. Kto ruszy się lub uniesie głowę - kula w łeb! Tak brzmi rozkaz.

Po kilku minutach - wnioskując po zbliżających się krokach - przyprowadzają wielką grupę ludzi z Sonderkommando i każą się im położyć obok nas. Ilu może ich być? Nie wiem, bo leżę nieruchomo w jednej linii z nowo przybyłymi, wciskając twarz w ziemię. Po trzech-czterech minutach przyprowadzają nową grupę i znowu kładą ją koło nas. Leżymy wszyscy nieruchomo; tłuką nas kolbami i wśród przekleństw kopią podkutymi butami w głowy, plecy, biodra. Czuję, jak ciepła struga krwi spływa mi z głowy na twarz, czuję słony smak krwi na wargach. Czuję tylko pierwsze uderzenia. W głowie mi się kręci, szumi. O niczym nie myślę. Moje zmysły czucia zaczynają odmawiać posłuszeństwa. Zapadam się w nicłość.

Leżymy tak dwadzieścia - trzydzieści minut czekając na kule z pistoletów esesmanów stojących za nami. Jestem przekonany, że strzelą mi w tył głowy. To najszybszy i najłżejszy rodzaj śmierci. Wiem to dobrze! Widzę w wyobraźni swój rozchłapany pod wpływem wystrzelonej z bliska kuli mózg i roztrzaskaną w kawałki czaszkę.

Słyszę warkot samochodu. To na pewno przyjechał dr Men-gele! To na niego czekali ludzie z Politische Abteilung. Nie mogę podnieść głowy, ale poznaję go po głosie. Rozmawia ze stojącym przed naszym szeregiem dowódcą SS. Nagle słyszę gromki okrzyk. Jeden z esesmanów krzyczy:

- Lekarze, powstać!

Wykonujemy rozkaz. Wszyscy czterej stojąc na baczność czekamy, co się stanie. Doktor

Mengele wzywa mnie do siebie. Mam zakrwawioną twarz i koszulę, ubranie zabłocone. Tak staję przed nim. Doktor Mengele pyta, cośmy zrobili.

- Nic - odpowiadam - wypełniliśmy tylko pański rozkaz, Herr Hauptsturmführer. Przeprowadzaliśmy właśnie sekcję zwłok rosyjskiego oficera, kiedy nastąpiły wypadki. Wtedy przerwaliśmy w połowie pracę, protokół sekcji jest jeszcze na maszynie. Każdy może się o tym przekonać! Cały czas byliśmy na miejscu naszej pracy i tam nas znaleziono.

Dowódca esesmanów potwierdza moje słowa. Dr Mengele spogląda na mnie i mówi:

- Proszę iść, obmyć się i dalej pracować! - Daje również ręką znak trzem pozostałym lekarzom.

Odwracam się, odchodzę. Za mną podąża trzech moich towarzyszy. Idziemy w kierunku drzwi krematorium.

Zaledwie oddaliśmy się o kilka kroków, za naszymi plecami rozległy się salwy.

Sonderkommando zostało rozstrzelane.

Nie odwróciłem się. Przyśpieszyłem kroku i udałem się do swego pokoju. Trzęsącymi się palcami próbowałem skrócić papierosa. Rozerwałem trzy bibułki, nim mi się to udało. Zapaliłem, głęboko zaciągnąłem się i zataczając się doszedłem do łóżka. Położyłem się i dopiero wtedy zacząłem odczuwać ból spowodowany uderzeniami i kopnięciami.

Jak wiele zdarzyło się tego dnia! A przecież jest zaledwie trzecia po południu. Ocalenie nie sprawiło mi ani ulgi, ani radości.

Otrzymałem tylko prolongatę. Znam mentalność dra Mengele i SS. *Zdają* sobie po prostu sprawę, że wykonywana przeze mnie praca jest im potrzebna i z tego, że trudno mnie zastąpić. Poza mną nie ma w kacecie drugiego specjalisty od sekcji zwłok, który odpowiadałby stawianym przez dra Mengele wymaganiom. A jeśli nawet znalazłby się ktoś, bałby się na pewno ujawnić swe umiejętności, aby nie dostać się w szpony dra Mengele i nie zakończyć życia jako członek Sonderkommanda.

Kiedy moje wzburzone do ostatecznych granic nerwy uspokoiły się nieco, wstałem z łóżka, aby rozejrzeć się. Chciałem dowiedzieć się, co właściwie stało się dziś po południu? Czy rzeczywiście był wśród nas zdrajca i SS wcześniejszym atakiem przekreśliło bunt i ucieczkę Sonderkommanda? Trudno byłoby znaleźć lepszy pretekst do zlikwidowania Sonderkommanda.

Według drugiej mojej hipotezy dziś skończył się czteromiesięczny termin. Esesmani z oddziału politycznego otrzymali rozkaz zlikwidowania Sonderkommanda. Rozpoczęli więc akcję. Wezwali ludzi z krematorium do ustawienia się w szeregu pod pretekstem przeliczenia ich, a w rzeczywistości po to, aby ich wykończyć. W taki sposób postępowano dotychczas z każdym Sonderkommandem. Ale dwunaste nie podporządkowało się. Nasze komando wybrało zbrojny opór.

Przed piecami długim rzędem leżą rozebrani do naga moi martwi już towarzysze. Po kolei rozpoznaję zwłoki tych, którym udało się wyrwać z I krematorium. Padli przechodząc kolejne linie straży. Stamtąd przywieziono ich zwłoki na taczkach. Tu leżą również towarzysze rozstrzelani na podwórzu, w chwilę po naszym odejściu stamtąd. Po stłumieniu oporu zebrano ich w krematoriach II, III i IV i przyprowadzono tu - do I krematorium, by zabić i wraz z innymi spalić. Bo tylko tu jest dziś ogień w paleniskach i tylko tu znajduje się do dyspozycji trzydziestu zebranych w pośpiechu ludzi nowego Sonderkommanda.

Stoję obok podoficera SS, który spisuje numery z rąk odwracanych twarzą do góry trupów. Nie pytam, sam mówi, że brakuje mu dwunastu ludzi. Reszta, z wyjątkiem siedmiu, nie żyje. Czterech spośród tych siedmiu żywych to my - trzej lekarze i posługacz sali sekcyjnej. Przy życiu pozostawiono jeszcze inżyniera, konserwatora silników i wentylatorów, jednego z głównych palaczy oraz jednego pipla, to jest posłańca, człowieka do wszystkiego, który służy esesmanom, czyści im buty i ubrania, myje naczynia i pełni dyżur przy telefonie.

Dwunastu ludziom udało się ucieczka.

O wydarzeniach dzisiejszego dnia szczegółowo opowiedział mi pipel.

O zdradzie nie mogło być mowy. Po południu, pół do drugiej, do III krematorium zajechało na ciężarówkach siedemdziesięciu esesmanów z oddziału specjalnego. Ich dowódca zarządził zbiórkę komanda, ale nikt nie ruszył się ze swego miejsca. Oficer SS, aby łatwiej osiągnąć cel, usiłował zaimprovizować oszukańczą akcję- nie na darmo przecież są oni mistrzami kłamstwa. Stanął więc na środku podwórza i wyciął prymitywną krótką esesmańską mowę:

- Ludzie, zgodnie z wyższym rozkazem, ponieważ dobrze się już napracowaliście, zostaniecie przeniesieni do obozu pracy. Otrzymacie tam dobre ubrania, dużo jedzenia i będziecie mieli lekką robotę. Kogo wyczytam według numerów, niech wyjdzie i ustawi się w rzędzie!

Potem zaczął wykrzykiwać numery. W III krematorium było stu Węgrów i tych wezwał jako pierwszych. Byli to najmłodszy stażem więźniowie kacetu i gładko podporządkowali się rozkazowi. Więcej w nich było lęku niż odwagi. Grupa SS zabrała ich natychmiast z podwórza krematorium. Zamknęto ich w bloku 13 obozu Bllld.

Po wzięciu ich - wyczytywanie numerów w III krematorium trwało nadal. Przyszła kolej na Greków. Ci już nie stawali w rzędzie na wezwanie oficera SS z taką gotowością jak ich poprzednicy. Przychodzi kolej na Polaków. Z grupy wywoływanych rozlega się gniewny pomruk, padają okrzyki. Esesman wykrzykuje jeden z numerów. Nikt się nie rusza!

Oficer rozgląda się, gdy nagle pod jego nogi pada butelka po wodzie mineralnej.

Następuje okropny wybuch. Siedmiu esesmanów, a wśród nich i dowódca, pada na ziemię. Kilku z nich nie żyje, inni są ranni. Butelka była wypełniona ekrazytem. Rzucili ją Polacy. Esesmani otwierają morderczy ogień do buntowników. Ci rzucają się do krematorium. Stamtąd rzucają butelki z ekrazytem na podwórze. Oddział SS bezzwłocznie rozstrzelił-wuje stojących jeszcze na podwórzu w szeregu Greków. Kilku z nich usiłuje uciekać. Kule dosięgają ich przy bramie.

Esesmani, nieustannie strzelając, rzucają się do ataku na wejście do III krematorium.

Ciężkie to zadanie, bo Polacy twardo się bronią. Jedna po drugiej lecą z okien na podwórze butelki z ekrazytem. Potężne wybuchy bronią dostępu do budynku.

W pewnym momencie potworny, silniejszy od wszystkich poprzednich, wybuch rzuca na ziemię zbliżających się już do gmachu esesmanów. Pęka dach krematorium i setki belek wśród ognia i dymu lecą w niebo. To eksplodowały cztery ogromne żelazne beczki z benzyną. Wybuch zamienia budynek w ruinę i grzebie pod cegłami ludzi z Sonderkommanda. Jeszcze tylko kilku pozostałych przy życiu broni się, ale szybko giną od kul sypiących się z pistoletów maszynowych esesmanów. Pozostali - ranni, poparzeni

- podążają z podniesionymi rękoma do drzwi, ale serie z pistoletów powalają ich na miejscu. Wiedzieli, co ich czeka, ale w gmachu szalał ogień, więc wybrali lżejszą śmierć. Przywieziono z powrotem stu Węgrów z obozu Bld i natychmiast rozstrzelano.

Powstanie zaczęło się więc w III krematorium. W I krematorium trwała praca, póki nie wyleciał w powietrze dach „trójki”. Na odgłos wybuchów i tak napięta już atmosfera wyczekiwania doszła do zenitu. W pierwszej chwili nikt nie wiedział, co się stało. Palacze opuścili swe stanowiska i zgrupowawszy się w jednym kącie zaczęli się naradzać. Mieli zaledwie chwilę czasu, bo jeden z wartowników SS natychmiast znalazł się między nimi i zaczął wymyślać kierownikowi zmiany za przerwanie pracy. Ten próbował się tłumaczyć, ale esesman nie uznał tłumaczenia i swoim grubym kijem - każdy wartownik SS miał taki kij do popędzania opieszalnych więźniów - z całej siły uderzył palacza w głowę. Od takiego uderzenia każdy padłby martwy z rozbitą czaszką, ale ten palacz był najtwardszym człowiekiem Sonderkommanda; zachwiał się tylko; krew zalała mu twarz. Wyrwał zza cholewy buta długi nóż i wbił go w pierś napastnika. Ten upadłby niechybnie, ale dwóch innych palaczy było już w pogotowiu. Otworzyli drzwiczki pierwszego pieca i wrzucili esesmana w ogień.

Wszystko to stało się w okamgnieniu, ale drugi wartownik śpieszący w stronę zbiegowiska, dojrzał chyba wystające z pieca nogi w esesmańskich butach. Chciał zobaczyć, kogo to w ubraniu i w butach wrzucono do ognia, mógł to być bowiem tylko ktoś z Sonderkommanda albo z SS. Nigdy się tego już jednak nie dowiedział. Ktoś skoczył mu naprzeciw i zakłuł nożem, a dwóch innych wrzuciło go zaraz do pieca, tam gdzie już palił się pierwszy esesman.

W ciągu kilku chwil wydobyto pistolety maszynowe, granaty, ładunki wybuchowe. W kotłowni rozległa się gęsta strzelanina - z jednego końca strzelali esesmani, z drugiego Sonderkom-mando.

W pewnym momencie w grupę esesmanów trafia jeden z granatów - siedmiu z nich pada trupem lub jest niezdolnych

do walki. Zabici i ranni są również po stronie Sonderkommanda. Walka staje się jeszcze bardziej zaciekle. Pada jeszcze kilku esesmanów, pozostali zaś - jest ich chyba ze dwudziestu - uznają, że lepiej będzie wycofać się z gmachu. Uciekają aż do bramy. Tam dołączają się do wkraczającego już do akcji licznego oddziału SS, który przybył z zewnątrz.

Co działo się później, już wiemy. Pozostało nas z załogi krematorium tylko siedmiu! Wieczorem przywieziono brakujących dwunastu. Udało się im dostać na drugą stronę Wisły, ale tam wpadli w ręce oddziału SS. Całkowicie wyczerpani zatrzymali się w jednym z domów, który wydawał się im bezpieczny. Esesmani uderzyli zniemacka i wzięli żywcem wszystkich dwunastu.

Już leżałem w łóżku i chciałem zasnąć po tym okropnym dniu, kiedy z półsnu wyrwały mnie nagłe trzaski z pistoletów maszynowych.

Po umilknięciu strzałów rozległy się ciężkie kroki na korytarzu. Otworzyły się drzwi i zataczając się weszło dwóch esesmanów. Obaj mieli zakrwawione twarze. Okazało się, że przypędzona z powrotem dwunastka, w momencie, kiedy znów znalazła się na podwórzu krematorium, gołymi pięściami zaatakowała swych prześladowców, aby

zdobyć broń. Więźniów natychmiast zastrzelono.

Esesmani wezwali mnie, abym opatrzył im rany. Spełniłem rozkaz.

Śmierć dwunastu ostatnich towarzyszy całkowicie mnie zdruzgotała. Za tak wielką cenę, za tyle istnień ludzkich nie udało się uciec z tego przeklętego miejsca ani jednemu nawet człowiekowi, który mógłby na wolności powiedzieć światu, co tu się dzieje.

Później jednak dowiedziałem się, że mimo wszystko wieść o buncie Sonderkommanda rozeszła się. Przekazali ją więźnio-

wie cywilnym pracownikom obozu. Również wśród esesmanów Znaleźli się tacy, którzy wypalali, co tu się stało.

Było to wydarzenie bez precedensu! Jedyne w dziejach kacetu. Zginęło wówczas stu osiemdziesięciu trzech więźniów. Zabito siedemdziesięciu esesmanów - w tym jednego Ober-sturmfihrera, dwunastu Oberscharfihrerów i Scharfuhrerów, pięćdziesięciu Sturmmanów (szeregowców). Na popiół spaliło się III krematorium, a IV krematorium stało się niezdatne do użytku wskutek uszkodzenia maszyn<sup>48</sup>.

## XXIX

Budzę się zmęczony po niespokojnej nocy. Jestem całkowicie wyczerpany nerwowo.

Drażni mnie nawet cicha rozmowa współtowarzyszy i odgłos ich kroków.

W złym nastroju przechodzimy wszyscy do sali sekcyjnej. Przechodzimy przez kotłownię. Betonowa podłoga przed paleniskami jest już pusta. Naszych towarzyszy spalono w nocy. Piece już ostygły, są zaledwie letnie.

Trzydziestu nowych ludzi, przerażonych do głębi krwawą tragedią pierwszego dnia spędzonego w krematorium, siedzi lub leży w martwej ciszy na łózkach swoich poprzedników.

Ten stan trwa tylko kilka dni. Zjawi się wkrótce i u nich apetyt, oni też zapragną lepszego kaska. Zapalą papierosy. Najbardziej skuteczne i najlepsze lekarstwo odkryją w wódce.

Alkohol na kilka godzin uzdrawia tu ludzi z krematoryjnej choroby. Pozwala zapomnieć o przeszłości, nie daje myśleć o teraźniejszości ani o jeszcze bardziej okropnej przyszłości. Otrzymują to, czego tak im brakowało w obozowych barakach: mogą się ubrać w dobre ubrania, mogą do woli się kąpać, jest tu w bród wody, mydła, ręczników. Traktuję ich jak stary wyga koszarowy traktuje rekrutów. Z czasem przywykną do wszystkiego...

W sali sekcyjnej z braku jakiegokolwiek zajęcia polecam swoim ludziom wykonywać cokolwiek dla zabicia czasu. Ścierają kurz z muzealnych stoi i szkieł. Porządkują instrumenty.

Łatają rozdarte wczoraj kulami druciane siatki w oknach. Sam siedzę przy stole i w oklejonej plastrami głowie układam rejestr skarg i życzeń, jakie chcę przedstawić doktorowi Mengele.

Wy tłumaczę mu, że ani jedno z pomieszczeń znajdujących się na terenie krematorium nie nadaje się na salę sekcyjną, ponieważ zewsząd docierają tu przenikające do głębi mózgu śmiertelne krzyki tysięcy idących na śmierć - bez względu na to, czy czeka ich gaz, czy

też strzał w potylicę. Nie mogę poświęcić się pracy badawczej, ponieważ od chwili przybycia tu znałem los poprzednich jedenastu Sonderkommand i przez cztery miesiące, co dzień, co godzina czekałem na dopełnienie się losu mojego, dwunastego Sonderkommanda.

Poproszę go również, aby nie żądał ode mnie precyzyjnej roboty. Wczoraj, 6<sup>49</sup> października 1944 roku, rozkazał mi bowiem przeprowadzić sekcję zwłok rosyjskiego oficera i sporządzić protokół, ale zostaliśmy napadnięci przez oddział SS. Ściągnięto armaty, psy. Rzucano granatami. Żołnierze SS z bagnetami na broni wtargnęli tu, do naukowej pracowni, przeznaczonej do prowadzenia badań. Zbito nas, wyprowadzono na podwórze, kazano położyć się na ziemi i w ciągu kilku sekund ze specjalisty przeprowadzającego sekcję zwłok sam stałem się skazanym na wykończenie.

To prawda, że on, doktor Mengele, wybrał mnie z grona skazanych na zagładę, ale trafiłem przecież do domu śmierci, uzyskałem jedynie czteromiesięczną prologatę. I poproszę go jeszcze, by zdał sobie sprawę z niemożliwości dalszego trwania obecnej sytuacji: wczoraj wieczorem udzieliłem pomocy lekarskiej dwóm podoficerom SS, którzy kilka godzin przedtem bili mnie i kopali. Skierowali swe karabiny w tył mojej głowy i tylko czekali na znak, by strzelić.

Takie skargi zamierzałem przedstawić swemu szefowi. A życzeniem moim było tylko to, aby przeniósł nas - czteroosobowe

komando, zajmujące się sekcją zwłok, oraz salę sekcyjną - do innego, bardziej nadającego się do tego celu miejsca w kaciecie. Ledwo ułożyłem sobie to, co miałem do powiedzenia, a już otworzyły się drzwi i wszedł dr Mengele. Według przepisu stanąłem na baczność i jako najstarszy rangą zameldowałem:

- Herr Hauptsturmführer! Melduję trzech lekarzy i jednego laboranta przy pracy!

Jego spojrzenie prześlizguje się po mnie i zatrzymuje na oklejonej plastrami głowie.

- Co się z panem dzieje? - pyta troskliwie. Z jego pytania mam się domyślić, że nie chce, bym wspominał o wczorajszych wydarzeniach. Nie odpowiadam też na jego pytanie.

Mówię niewiele, tyle, ile pozostało z zapomnianych nagle skarg:

- Herr Hauptsturmführer! To otoczenie nie nadaje się do prowadzenia naukowych badań. Czy nie można by przenieść gdzie indziej sali sekcyjnej?

Patrzy na mnie. Jego twarz tężeje.

- Czyżby miał pan jakieś sentymenty? - pyta z lodowatą zwięzłością.

Jakże mogłem się na tyle zapomnieć, aby zaproponować temu zdegenerowanemu umysłowi, opętanemu badawczą manią, zmianę otoczenia. Przecież tu czuje się on najlepiej! Stąd można dojrzeć ognie płonących stosów. Tu unoszą się dymy z kominów krematoriów. Krzyki mordowanych i strzały morderców wstrząsają ścianami gmachu. To tu powraca dr Mengele po każdej selekcji i po każdej krwawej rozprawie.

Tu spędza każdą wolną chwilę, tu, w okropnej atmosferze, powodowany „naukowym” szaleństwem każe mi otwierać zwłoki setek niewinnych ofiar. W elektrycznej lodowce przechowuje najrozmaitsze bakterie hodowane na pożywce sporządzonej ze świeżego ludzkiego mięsa. Godzinami siedzi przy mikroskopie

i szuka przyczyn takich zjawisk, jakich nigdy nie da się wyjaśnić: przyczyn powstawania bliźniaków.

Dziś natomiast wygląda na zmęczonego. Wraca z żydowskiej rampy, gdzie stał przez

kilka godzin w ulewnym deszczu i przeprowadzał selekcję wielkiego transportu Żydów przywiezionych tu z getta z Rygi. Nie była to żadna selekcja. Wszyscy trafili na lewą stronę. Wypełnili oba pracujące krematoria i ogromne doły stosów. Sonderkommando, stosownie do potrzeb, zostało uzupełnione do czterystu sześćdziesięciu ludzi.

Szef siada w mokrej pelerynie przy jednym z laboratoryjnych stołów. Nie zdejmuje nawet czapki, mimo że z daszka kapią mu krople wody. Nawet nie zauważa tego.

Proszę, aby oddał mi pelerynę i czapkę. Zaniosę do wysuszenia przy piecach.

- Nie potrzeba - odpowiada - woda może dotrzeć tylko do skóry.

Prosi o protokół sekcji zwłok zastrzelonego rosyjskiego oficera. Bierze go do ręki, odczytuje kilka wierszy i oddaje.

- Jestem bardzo zmęczony. Niech pan przeczyta. Zdumiony biorę protokół. Czytam zaledwie cztery czy pięć wierszy. Przerzywa mi.

- Dostyc, nie potrzeba więcej! - Nic nie widzącym spojrzeniem spogląda w okno.

Co się mogło z nim stać? Może przypomniały mu się wszystkie dokonane zbrodnie? Albo otrzymał złe wiadomości i doszedł do wniosku, że to, co robi, nie ma żadnego sensu?

Podczas wspólnego pobytu tu, w krematorium, nigdy nie dawał okazji do prowadzenia rozmów na tematy osobiste. Jego załamanie dodaje mi jednak odwagi i pytam go:

- Herr Hauptsturmführer, jak długo jeszcze będą trwały likwidacje?

Patrzy na mnie i odpowiada:

- Przyjacielu, to tak będzie szło dalej, wciąż dalej. W jego słowach brzmi cicha rezygnacja. Podnosi się z krzesła, aby opuścić laboratorium.

- W najbliższych dniach będziemy mieli ciekawą pracę - mówi jeszcze i wychodzi.

- Przyjmuję to z zimnym dreszczem, bo „ciekawa praca” oznacza z pewnością śmierć nowej, większej partii bliźniąt.

### XXX

Krematoria są w pogotowiu. Ludzie z Sonderkommanda przeprowadzają wymianę szamotowego wnętrza pieców. Malują ciężkie drzwiczki, oliwią zawiasy. Silniki i wentylatory pracują bez przerwy cały dzień. Fachowcy sprawdzają ich działanie. Zapowiedziany jest przyjazd getta z Łodzi.

Getto łódzkie<sup>50</sup> zostało założone zimą 1939 roku. Na początku ilość jego mieszkańców wynosiła pięćset tysięcy. Mieszkańcy getta pracowali w wielkich zakładach wojennych. W zamian za swoją pracę otrzymywali tak zwane gettowe marki, ale te pieniądze mogli wydać tylko na skąpe, przyznawane na kartki racje żywnościowe. Zrozumiałe, że bardzo ciężka praca przy niedostatecznym wyżywieniu powodowała wyniszczenie. Mieszkańców dziesiątkowały częste epidemie. W ten sposób z pięciuset tysięcy ludzi do jesieni 1944 roku zostało tylko siedemdziesiąt tysięcy. W końcu i na tych, którzy pozostali, przyszedł kres. Transportami zaczęli przyjeżdżać na żydowską rampę do Oświęcimia. Podczas selekcji dziewięćdziesiąt pięć procent trafiło na lewą stronę, a tylko pięć procent na prawą. Przygnębieni tragedią rozstania z rodziną, wymęczeni pięcioletnim pobytom w getcie - stracili całkowicie poczucie rzeczywistości. Spokojnie przekraczali



bramę krematorium, choć bynajmniej nie było dla nich tajemnicą, że dobili do ostatniej stacji swego życia.

Schodzę do szatni. Ubrania, buty leżą rozrzucone po całej podłodze. Numerki na ubrania nie interesowały nikogo. Zostawili

swoje rzeczy tam, gdzie stali. Ludzie, pracujący przy sortowaniu, otwierają kilka paczek i pokazują mi, co jest w środku. Placki wypieczone z mąki kukurydzianej, wody i oleju, kilogram lub dwa owsianej mąki - to wszystko, co ci Żydzi zabrali ze sobą na drogę.

Podczas selekcji jednego z transportów dr Mengele dostrzegł w tłumie mniej więcej pięćdziesięcioletniego, garbatego mężczyznę. Kaleka nie był sam. Koło niego stał przystojny, wysoki, liczący około piętnastu lat chłopiec o delikatnych rysach twarzy.

Ojciec i syn. Prawa noga chłopca była chroma i skorygowano ją specjalnym stalowym aparatem oraz wysokim ortopedycznym bucikiem.

Doktor Mengele dostrzegł w kalekach ojcu i synu klasyczny przykład degeneracji Żydów. Natychmiast wyłowił ich z szeregu. Wezwał do siebie podoficera SS. Wyrwał ze swego notesu dwie karteczki, napisał kilka słów, wręczył je esesmanowi i kazał odprowadzić obu nieszczęśników do I krematorium.

Jest około dwunastej w południe. W „jedyńce” dziś przerwa w pracy. Nie mam w tej chwili żadnego zajęcia. Przebywam w swoim pokoju. Tam znajduje mnie dyżurny esesman. Wzywa do bramy. Stoją już przy niej pod eskortą SS - ojciec i syn. Odbieram pisemne zlecenie adresowane do mnie. Na karteczce napisano: „Sala sekcyjna. Krema I. Nr 1 niech zbada klinicznie obu. Dokładne pomiary ojca i syna. Sporządzić szczegółowe kliniczne karty badań ze specjalnym uwzględnieniem powodów zaobserwowanych anomalii”.

Drugi list zaadresowany jest do Oberscharfuhrera Muhsfeldt-a. Bez czytania zdaję sobie sprawę, jakie zawiera dyspozycje. Przekazuję ten list w ręce jednego z dyżurnych, żeby doręczył Muhsfeldtowi.

Ojciec i syn - dwie tragiczne postacie z łódzkiego getta patrzą na mnie niemo, ze ściśniętymi z lęku sercami. Przechodzę

Z nimi nasłonecznione podwórze. Uspokajam ich kilkoma słowami i wprowadzam do sali sekcyjnej. Na szczęście na sekcyjnym stole nie leżą żadne zwłoki. Byłby to dla nich wstrząsający widok.

Chcąc oszczędzić im przykrych wrażeń, przeprowadzam badanie nie w ponurej, przesiąkniętej chemikaliami sali sekcyjnej, ale w ciepłym i jasnym gabinecie. Jak dowiaduję się z rozmowy, ojciec był w Łodzi hurtownikiem tekstylnym oraz właścicielem wielkiego sklepu i przed wojną niejednokrotnie jeździł do Wiednia, by u słynnych profesorów szukać nadziei na wyleczenie swego syna.

Najpierw szczegółowo badam ojca. Skrzywienie kręgosłupa i garb został spowodowany późnym rachitis, czyli angielską chorobą. Nawet przy dokładnych poszukiwaniach nie znajduję nic takiego, co wskazywałoby na objawy innej choroby. Uspokajam go, że stąd trafi na pewno do któregoś z obozów pracy.

Podczas badania rozmawiam z chłopcem. Ma mądre spojrzenie, ale jest całkowicie załamany. Trzęsącym się ze strachu głosem mówi o niezliczonych okropnościach, jakie przez pięć lat oglądał i przeżywał w łódzkim getcie. Miał zaledwie dziesięć lat, gdy wraz z rodzicami trafił za mury getta. Jego matka, kobieta wątła i delikatna, krótko znosiła walące się na nią nieszczęścia. Popadła w stan depresji i melancholii. Aby więcej

jedzenia było dla męża i dziecka, całymi tygodniami prawie nic nie jadła. Pełna poświęceń żona i bezgranicznie kochająca matka umarła w pierwszym roku zamknięcia ich w getcie. Osieroceni - żyli potem we dwóch.

Teraz są tu w krematorium. Cóż za potworna ironia losu! Mnie, żydowskiemu lekarzowi, przypadło w udziale dokładnie zbadać ich, nim pójdą na śmierć, a następnie będę musiał przeprowadzić sekcję ich jeszcze ciepłych zwłok. Tak silnie odczuwam tragedię naszego losu oraz swą bezradność, że jestem bliski szaleństwa. Nerwy znów mam napięte do ostateczności.

Z czyjej woli spadła na nasz nieszczęsny naród seria tych okropności? Jeśli z woli Boga, to chyba i on wstydzi się w tej chwili, bo przecież nie mógł chcieć czegoś tak straszego. Zbieram resztki energii. Badam chłopca. W prawej stopie stwierdzam wrodzoną wadę rozwojową, polegającą na braku wykształcenia niektórych stawów. Naukowa nazwa tej wady: hypomelia. Ręce wybitnych chirurgów niejedną już raz przeprowadzały operację tej nogi. W wyniku zabiegów chirurgicznych noga stała się krótsza, ale przy pomocy bandaży i ortopedycznego bucika chłopiec może się nią posługiwać. Innych wad rozwojowych nie spostrzegam.

Pytam, czy nie chcieliby czegoś zjeść. Odpowiadają, że są bardzo głodni. Daję znać, aby przyniesiono coś do zjedzenia. Za chwilę otrzymują duże porcje gulaszu z makaronem. Takie jedzenie można otrzymać tylko w Sonderkommandzie. Zaczynają jeść. Łapczywie jedzą smaczną, dawno już zapomnianą potrawę. Oni jeszcze nie wiedzą, ale ja w pełni zdaję sobie sprawę, że spożywają swoją ostatnią wieczerzę.

W niecałe pół godziny później zjawia się Oberscharfuhrer Muhsfeldt i czterech ludzi z Sonderkommanda. Sprowadzają obu do kotłowni. Tam każą im się rozebrać. Muhsfeldt oddaje dwa strzały. Ojciec i syn padają obok siebie na zakrwawiony beton.

Oberscharfuhrer Muhsfeldt wykonał rozkaz doktora Mengele.

Teraz znów kolej na mnie. Oba trupy wnoszą do sali sekcyjnej. Mam mdłości.

Powierzam przeprowadzenie sekcji moim kolegom, sam siadam do pisania protokołu. Sekcja nie daje żadnych innych rezultatów poza tymi, które stwierdziłem już podczas badań „na żywo”. Te zwyczajne przypadki można jednak, jak widać, wykorzystać jako materiał naukowy świadczący o degeneracji Żydów.

W godzinach wieczornych zjawia się dr Mengele - w tym dniu wysłał na śmierć co najmniej dziesięć tysięcy ludzi. Z wielkim

kim zainteresowaniem wysłuchuje mego raportu o badaniach przeprowadzonych na obu żywych ofiarach oraz wynikach sekcji ich zwłok.

Te zwłoki nie mogą zostać spalone - mówi - trzeba spreparować ich szkielety i wysłać do muzeum antropologicznego w Berlinie.

Pyta mnie następnie, jakie znam metody całkowitego oczyszczenia szkieletów.

- Znam dwie - odpowiadam. - Pierwsza to proces trawienny: zwłoki umieszczamy na dwa tygodnie w kąpeli z roztworu wapna chlorowanego, powodując spalenie wszystkich miękkich części, pokrywających kościec. Następnie kąpiemy szkielet w benzynie, przez co odtłuszczamy i wybielamy kości. Druga metoda jest krótsza. Polega na wygotowaniu. Gotujemy po prostu zwłoki w wodzie tak długo, aż części mięśniowe dadzą się łatwo oddzielić od kośćca. Potem stosujemy kąpiel w benzynie, aby odtłuścić i wybielić kości. Doktor Mengele rozkazuje zastosowanie krótszej metody -gotowanie!

W kacecie rozkaz brzmi zwięźle. Tu nie mówi się więźniowi, w jaki sposób ma wykonać rozkaz, jak zdobyć przedmioty konieczne do zrealizowania polecenia. Rozkaz trzeba wykonać i koniec!

I oto jestem teraz w takiej sytuacji. Rozkazano mi ugotować dwa trupy! W czym i gdzie? Zwracam się do Oberscharfuhrera Muhsfeldta, żeby mi pomógł. Komunikuję mu, że mam ugotować zwłoki, ale nie wiem, w czym to zrobić. Nawet on słucha tego z przerażeniem. Zastanawia się, przypomina sobie, że w magazynie znajdują się dwie bezużyteczne, wielkie żelazne beczki.

Oddaje mi do dyspozycji te dwie beczki i radzi, abym na podwórzu zbudował z cegieł palenisko i umieścił je nad nim. Tak też robię. Na podwórzu przygotowano palenisko i umieszczono na nim obie beczki z potworną zawartością. Rozpoczyna się

gotowanie. Dwóch ludzi z Sonderkommanda dokłada drzewa do ognia. Po pięciu godzinach i wielokrotnych próbach przekonuję się, że mięso zaczyna oddzielać się od kości. Przerывamy palenie, ale beczki pozostają jeszcze przez jakiś czas na dworze, aby ostygły.

Siadam w ocienionym miejscu w pobliżu beczek i czytam książkę. Dokoła cisza. Dziś krematoria nie pracują. Czterech murarzy z obozu Oświęcim I remontuje komin.

Już zmierzcha. Beczki chyba ostygły, zbieram się więc, aby wstać i zająć się procesem preparacji, kiedy nagle przybiega jeden z ludzi postawionych przy palenisku i całkowicie wyprowadzony z równowagi krzyczy:

- Doktorze! Polacy jedzą mięso z beczek!

Gwałtownie wstaję i pędzę do paleniska. Czterech więźniów w pasiakach stoi sparaliżowanych przerażeniem przy beczkach. To murarze, Polacy. Zakończyli swoją pracę i czekali na eskortę, która miała ich odprowadzić do baraków Oświęcimia. Zagłodzeni ludzie rozglądali się za czymś do zjedzenia i w ten sposób odkryli pozostawione na chwilę bez dozoru kadzie. Myśleli, że gotuje się w nich mięso dla Sonderkommanda. Powąchalili, wyjęli kilka większych kawałków mięsa, odkroili i żarłocznie zaczęli jeść. Niedługo jednak, bo niebawem wrócili obaj dyżurni i zauważyli, co się stało. Kiedy murarze dowiedzieli się, co jedli, skamieniali, jakby tknięci paraliżem.

Po wykapaniu kości w benzynie nasz laborant z dużą umiejętnością skonstruował szkielety. Oba szkielety położono na stole w sali, w której jeszcze dzień wcześniej badałem żywe ofiary.

Doktor Mengele był bardzo zadowolony. Przyprowadził kilku lekarzy, oficerów wysokiej rangi, aby obejrżeli szkielety.

Z poczuciem wyższości dotykali poszczególnych części. Licytowali się w znajomości fachowych terminów. Zachowywali się w ten sposób, jakby patologiczne anomalie szkieletów obu

ofiary były niezwykłym lekarskim odkryciem. Pseudowissenschaft, mistyfikacja naukowa! Nie ma tu żadnej szczególnej anomalii! Podobne rzeczy można stwierdzić u setek tysięcy ludzi na całym świecie, może je zaobserwować każdy lekarz mający praktykę nawet wśród wąskiego grona pacjentów. Faszystowska propaganda wykorzystuje dla swoich celów każdy drobny szczegół, nie stroni od kłamstw, którym zrećcznie nadaje pozory naukowości. A ci, którzy obejrzą te propagandowe eksponaty i przeczytają załączone do nich teksty, przyjmą to z pełnym zaufaniem, ponieważ nie dysponują odpowiednią

krytyczną wiedzą.

Oba szkielety zostają włożone do mocnych papierowych worków i wraz z załączonymi dokumentami wędrują do Berlina. I ta przesyłka otrzymuje specjalny stempel: „Pilne, ważne ze względów wojennych”.

Kiedy wreszcie spreparowane szczątki zniknęły przed moich oczu, ogarnęło mnie męczące znużenie. Śmierć ojca i syna, ich tragiczne losy przyczyniły mi wielu, bardzo wielu gorzkich godzin...

Minał tydzień, zakończyła się likwidacja łódzkiego getta. Październikowe słońce ustępuje miejsca zimnym jesiennym deszczom. Mgła i mrok opadają na baraki kacetu. Powoli coraz większa mgła okrywa też moją przeszłość, coraz ciemniejsza staje się moja przyszłość. Lejący od wielu dni deszcz, przenikająca do szpiku kości wilgoć i chłód, cisza -wszystko to potęguje we mnie uczucie rozpacz. Gdziekolwiek pójde, gdziekolwiek spojrzę, wszędzie widzę tylko druty wysokiego napięcia. Memento braku wszelkiej nadziei i bezcelowości życia.

Na trzeci dzień po zakończeniu likwidacji łódzkiego getta oberkapo Sonderkommanda przyprawdza na podwórzu krematorium przemoczoną do suchej nitki kobietę oraz dwoje dzieci. Mając złe przeczucia, oddalili się od idącego na śmierć ostatnie-

go transportu i ukryli za sągami drzewa na podwórzu krematorium. Widzieli, jak cały transport zszedł do podziemia i że nikt stamtąd nie wrócił. Trzęsąc się z przerażenia czekali na jakiś cud, który by ich wybawił, ale nic takiego nie nastąpiło. Przez trzy dni trwali na zimnym wietrze, w strugach deszczu, bez jedzenia, w przemoczonych ubraniach, na pół przytomni, póki oberkapo nie natknął się na nich, kończąc jeden ze swych obchodów. Nie wiedział, co robić, przyprowadził ich do Oberscharfuhrera Muhsfeldta. Trzydziestoparoletnia, lecz wyglądająca na pięćdziesiąt lat kobieta, skóra i kości, padła ostatkiem sił na kolana przed esesmanem, obejmowała jego buty i z rozpaczą rozrywającą serce błagała o życie dla siebie i swoich dzieci. Mówiła, że przez pięć lat pracowała w getcie, w fabryce w której robiono mundury dla niemieckiej armii. Chce dalej pracować, niech tylko darują im życie. Nie było jednak litości! Musieli umrzeć! I umarli. Ale oświęcimskie przeżycia nadszarpaneły widać nerwy Oberscharfuhrera. Wyznaczył w swoim zastępstwie kogoś innego do wykonania morderczej roboty.

## XXXI

Zapomnieliśmy o tym krwawym epizodzie, bo trzeba było o nim zapomnieć, żeby nie oszaleć pod wpływem przeżywanych okropności i poczucia beznadziejności naszego losu. Wiele pomógł nam w tym luminal.

Często wspominam przeszłość tak, jakbym przed kacetem swoje życie spędził we śnie. Zapomnieć o wszystkim, o niczym nie myśleć - oto mój jedyny cel.

Jest 2 listopada 1944 roku. Dzień Zaduszny. Padają wielkie płaty śniegu. Ledwie widać wieże strażnicze, wszystko rozplywa się w bieli. Tylko stada wygłodzonych wron podrywają się od czasu do czasu, kiedy wiatr wstrząsa drutami ogrodzeń.

Wyruszam na krótki spacer o wieczornym zmierzchu, mimo że pogoda nie nadaje się do tego. Ale zimne powietrze odświeży mnie, kojąco wpłynie na rozdygotane nerwy.

Kilkakrotnie przemierzam podwórze, po czym zbliżam się do komory gazowej. Przed komorą przystaję na kilka sekund. Przychodzi mi na myśl, że dziś właśnie jest Dzień Zaduszny...

Dokoła zalega głucha cisza. Zimne, betonowe schody, wiodące w dół, do rozbieralni, zacierają się w zmięczeniu. Miliony ludzi zegnało się w tym miejscu z życiem, by po wejściu do wspólnego grobu nie mieć później nawet własnej mogiły... Stoję samotnie na ostatnim stopniu ich życia. Czuję, że ciąży na mnie smutny obowiązek: wspomnieć ich cienie w imieniu ich rodzin rozsianych po całym świecie...

Opuszczam to miejsce i wracam do swego pokoju. Kiedy otwieram drzwi, ze zdumieniem stwierdzam, że zamiast elektrycznej lampy pokój oświetlają drgające płomienie świec. W pierwszej chwili myślę o krótkim śpięciu. Przy stole siedzi mój kolega, docent Uniwersytetu w Szombathelyi. Wsparty na łokciach patrzy nieruchomo w płomień. Nie zauważa nawet mego wejścia. Blask świec oświetla jego twarz - wydaje się znacznie starszy, niż jest w rzeczywistości. Kładę mu dłoń na ramieniu i łagodnie zapytuję:

- Denes, dlaczego zapaliłeś tutaj świece?

Otrzymuję mętłą odpowiedź. Mówi o swoim teściu i teściowej, którzy nie żyją już od piętnastu lat. Nie wspomina o żonie i dziecku, którzy - a są na to naoczni świadkowie z Sonderkom-manda - zginęli tu, w I krematorium. Natychmiast rozpoznaję objawy depresji melancholijnej i wstecznej amnezji, to znaczy braku zdolności odtworzenia przeżyć.

Obejmuję go, prowadzę do łóżka i kładę.

Biedny przyjacielu! Lekarzu o wielkiej wiedzy, wątlwym ciele, cichym głose i wrażliwej duszy, zamiast zajmować się leczeniem chorych, sam runąłeś w przepaść śmierci, stałeś się mieszkańcem otchłani i od długich miesięcy jesteś świadkiem takich tragedii i okropności, jakich nie może ogarnąć ludzki umysł i w jakie nie uwierzy żaden człowiek, żyjący poza tym piekłem.

Może nawet i dobrze, że nerwy odmówiły ci posłuszeństwa, a twój umysł spowięła mgła. Przynajmniej *nie* dotrze do ciebie to, co ma dopiero nastąpić.

## XXXII

Po kilkudniowej ciszy w krematorium znów panuje normalny szum. Pracują motory wielkich wentylatorów, podsycają ogień w piecach. Dowiadujemy się o mającym nadejść transporcie z getta w Terezynie.

Terezin<sup>51</sup> był w Czechosłowacji miastem koszar. Niemcy zmienili charakter miasta - usunęli zeń garnizon, wysiedlili cywilną ludność i urządzili w miasteczku pokazowe getto. Jego mieszkańcami stali się Żydzi przywiezieni tam z Czechosłowacji, Austrii i Holandii. Było ich około siedemdziesięciu tysięcy. Żyli tam w stosunkowo dobrych warunkach. Mogli swobodnie wykonywać swoje zawody. Otrzymywali korespondencję i paczki Czerwonego Krzyża.

Przedstawiciele tej organizacji z państw neutralnych wielokrotnie wizytowali miasteczko i za każdym razem po powrocie składali optymistyczne raporty o panującej tam sytuacji.

Niemcy osiągnęli swój cel zakładając to „pokazowe getto”, ponieważ mogli dementować w ten sposób wszelkie wieści, mówiące o okropnościach obozów koncentracyjnych i krematoriach, twierdząc, że są one fałszywe i oszczercze.

W przededniu swego upadku Trzecia Rzesza nie troszczyła się już jednak o światową opinię i zrzuciła z siebie maskę. Rozpoczęto nieubłaganą likwidację wszystkich pozostałych jeszcze przy życiu Żydów.

W ten sposób przyszła kolej na likwidację teresińskiego getta.

*Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy Wydział do Spraw Pracy Przymusowej  
Wezwanie Żyda..... znajdującego się pod protektoratem Rzeszy niniejszym zawiadamiamy, że zgodnie z zarządzeniem zwierzchnich władz powołuje się go do przymusowej pracy. Powołany obowiązany jest przedstawić zwierzchnim władzom, a następnie zabrać ze sobą przedmioty potrzebne do wykonywania swojego zawodu, ciepłe ubranie, pościel oraz żywność na tygodniową podróż. Termin wyjazdu zostanie publicznie ogłoszony.*

*Terezin.....  
podpis*

Z takimi wezwaniami przyjeżdżali do oświęcimskiego krematorium zdolni jeszcze do pracy mężczyźni z getta w Terezynie. Wezwanie do przymusowej pracy było podłym oszustwem, pretekstem do przeprowadzenia bez przeszkód akcji likwidacyjnej, do zdobycia narzędzi pracy oraz zimowych, ciepłych ubrań.

Dwadzieścia tysięcy zdrowych i zdolnych do pracy młodych mężczyzn zginęło w komorach gazowych i zamieniło się w popiół w ogniu pieców. Dwa dni trwała likwidacja. Potem w krematoriach zapanowała cisza.

W czternaście dni później na żydowską rampę znów zajęchały wagony długich transportów. Wysiadły z nich kobiety i dzieci. Nie było selekcji, wszyscy trafili na lewo.

Na podłodze szatni leżały setki wezwań o następującej treści :

*Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy Wydział do Spraw Pracy Przymusowej  
Wezwanie Zwierzchnie władze umożliwiają żonie i dzieciom Żyda  
.....znajdującego się pod protektoratem  
Rzeszy i powołanego do przymusowej pracy, wyjazd do miejsca jego pracy w celu  
wspólnego zamieszkania. Wyjeżdżającym zabezpieczono odpowiednie zakwaterowanie.  
Należy zabrać ze sobą ciepłe ubranie, pościel i żywność na okres jednego tygodnia.*

*Terezin .....  
podpis*

Tysiące żon pragnących ulżyć losowi swoich mężów oraz tysiące dzieci tęskniących za swoimi ojcami powędrowało na śmierć w ślad za przybyłymi poprzednio dwudziestoma tysiącami mężczyzn. Taki był efekt tego piekielnego wezwania.

## XXXIII

Siedemnastego<sup>52</sup> listopada 1944 roku, we wczesnych godzinach porannych, wszedł do mnie podoficer SS i w zaufaniu zakomunikował, że na polecenie wodza Rzeszy surowo

zakazano wszelkich form zabijania ludzi na terenie obozów koncentracyjnych. Byłem jednak świadkiem tylu oszustw, że nie mogłem uwierzyć w tę wiadomość. Nie ukrywałem swoich wątpliwości przed wysłannikiem dobrej wieści, ale ten upierał się, że taki właśnie rozkaz dotarł drogą radiową do krematorium i Politische Abteilung. Zobaczymy, czy to prawda! Może to tylko nowa mistyfikacja. Jeszcze w przedpołudniowych godzinach upewniłem się jednak, że informacja była prawdziwa. Na szynach między I i II krematorium zatrzymał się złożony z pięciu wagonów transport, który przywiózł pięciuset wycieńczonych, chorych więźniów ze skierowaniami do „obozu wypoczynkowego”. Byłem świadkiem, jak jedna z komisji SS przyjmowała transport i przeprowadziła rozmowę z dowódcą oddziału eskortującego. W efekcie tej rozmowy transport odjechał sprzed bram krematorium i więźniów umieszczono w barakach szpitalnych obozu BIIIf. To pierwszy wypadek, od kiedy jestem w krematorium, że transport, przysłany tu na „kurację”, w godzinę po przybyciu nie

leży z rozwalonymi czaszkami na zakrwawionej podłodze przed piecami, lecz rzeczywiście znajduje opiekę lekarską i szpitalne łóżka. W niecałą godzinę później przyjeżdża nowy transport. Przywozi pięciuset Żydów ze Słowacji: starców i młodych, mężczyzn i kobiety. Z napięciem śledzę wydarzenia. Zbiórka i selekcja to już przyjęty na żydowskiej rampie zwyczaj. Obserwuję coś zupełnie niezwykłego. Zmęczeni podróżni wysiadają z wagonów; nie pozostawiają w nich, jak zwykle, swoich większych bagaży, tylko biorą je ze sobą i przechodzą na prawą stronę. Ruszają do kacetu, do obozu BIIIf. Matki pchają przed sobą wózki z dziećmi, młodzi pomagają iść starszym oraz chorym. Z radością rejestruję już drugi fakt potwierdzający prawdziwość wieści. Nie ulega wątpliwości: tym razem bramy krematorium nie otworzyły się przed przysłanymi tu na zagładę transportami. Jest to szczęśliwe wydarzenie, budzące nadzieje w więźniach kacetu, ale jednocześnie oznaczające zbliżanie się kresu Sonderkommando. Nie mam wątpliwości. Skończą z nami jeszcze przed upływem czterech miesięcy. W obozie zaczyna się nowe życie. Nie będzie więcej zadawanej przemocą śmierci, ale jednocześnie trzeba zakryć mgłą tajemnicy krwawą przeszłość. Rozbierze się krematoria, zasypie doły stosów i zgładzi wszystkich świadków zbrodni. Z ponurym spokojem w obliczu bliskiej śmierci, ale jednocześnie z ogromną radością przyjmujemy ten wielki zwrot. Wprawdzie to bardzo późno, ale pozostało jednak jeszcze kilka tysięcy z sześciu milionów ludzi, które faszyci wysiedlili z Europy i posłali na śmierć do Majdanka, Treblinki, Oświęcimia i Brzezinki. Około dwunastej w południe, pełen niepokoju, odszukuję obsługującego radio podoficera SS, który przyniósł mi rano dobrą wieść.

Chciałem się dowiedzieć, jakie nowe rozporządzenia dotarły w ciągu przedpołudnia. Czy nie ma przypadkiem poleceń dotyczących losu Sonderkommando. Na szczęście zastaję radiowca samego w pokoju. Pytam go. - Sonderkommando - odpowiada - za kilka dni zostanie wysłane do ciężkiej pracy do jednego z podziemnych zakładów, gdzieś koło Wrocławia.

Nie wierzę ani jednemu jego słowu. Dziś już wiem, że nie chciał mnie oszukać, lecz tylko kłamał z litości. Być może dlatego, że kiedyś wyleczyłem go z ciężkiej choroby.

## XXXIV

Zegarek wskazuje godzinę drugą po południu. Jesteśmy na obiedzie. Przez okno swego pokoju bezmyślnie spoglądam na kłębiące się śniegowe chmury. Nagle gromki krzyk zakłóca panującą na korytarzu ciszę.

- Alle antreten! - brzmi rozkaz. - Zbiórka.

Dwa razy dziennie słyszymy to wycie, rano i wieczorem, w czasie normalnych apeli. W południe wezwanie takie ma jednak śmiertelne znaczenie.

- Antreten! Alle antreten! - powtarza się coraz ostrzej. Już słyhać ciężkie kroki przy naszych drzwiach. Esesman gwałtownie otwiera drzwi i wrzeszczy:

- Antreten !

A więc nadszedł kres. Wychodzimy na podwórko. Zastajemy straż esesmańską w pełnym pogotowiu. Stoją już nasi współtowarzysze. Na twarzach żadnego zdumienia. Cisza. Milcząca tyraliera esesmanów stoi z wycelowanymi w nas pistoletami maszynowymi. Cierpliwie czekają, aż zbierze się całe komando. Rozglądam się. Sosny z pobliskiej kępy drzew zasypane są do połowy śniegiem. Wszędzie cisza.

Po kilku minutach pada rozkaz: „W lewo zwrot!”. Ruszamy wzdłuż gęstego szeregu uzbrojonych strażników. Po wyjściu z podwórza krematorium kierują nas nie na drogę, lecz w stronę II krematorium. Przechodzimy przez podwórze. Wiemy - to nasza

ostatnia droga. Prowadzą nas do kotłowni. Ani jeden esesman nie zostaje w środku. Stoją dokoła budynku, przy drzwiach, przy oknach, z gotową do strzału bronią. Drzwi pozamykane, okna zakratowane. Stąd nie ma wyjścia.

Są już tu towarzysze niedoli z „dwójki”. Po kilku minutach przyprowadzają tych z „czwórki”. Razem jest nas czterystu sześćdziesięciu ludzi<sup>53</sup>. Czekamy na śmierć. Zgadujemy, w jaki sposób zostanie zadana. Wszyscy jesteśmy tu fachowcami: doskonale znamy stosowane przez SS metody zagłady. Komora gazowa? Tego nie da się z Sonderkommandem przeprowadzić. Rozstrzelanie? Wewnątrz budynku jest to trudne do przeprowadzenia.

Najbardziej prawdopodobne, że wysadzą nas w powietrze wraz z krematorium, osiągając jednocześnie podwójny cel. To byłby sposób godny SS. Albo może wrzucą przez okna kilka fosforowych granatów. Podobnie zrobiono z mieszkańcami getta w Milo, po załadowaniu ich do wagonów. Transport jeszcze nie ruszył, a wszyscy byli już martwi. Same trapy przyjechały do oświęcimskiego krematorium.

W niemej ciszy, bez słowa, tkwi komando na betonowej podłodze kotłowni. Jeśli ktoś mówi - to szeptem. Nagle ze swego miejsca podnosi się czarnowłosa, wysoki, szczupły, trzydziesto-paroletni mężczyzna. Donośnym głosem, tak, aby wszyscy słyszeli, zaczyna mówić. To dajan - pomocnik rabina w jednej z małych żydowskich gmin wyznaniowych w Polsce. Samouk po-siadający wielką wiedzę religijną i światły umysł. Asceta. Nawet tu, w Son-derkommandzie, przestrzegał swoich zasad. Nie korzystał z bogato zaopatrzonej kuchni, jadł tylko chleb, margarynę i cebulę. Zgodnie z przydziałem miał



pełnić funkcję palacza przy piecach, ale załatwiłem z Oberscharfuhrerem Muhsfeldtem, aby zwolnił go jako fanatycznie wierzącego od tej okropnej pracy. Prośbę umotywowałem następująco: tego rodzaju zajęcie wymaga siły fizycznej, której dajan nie posiada, ponieważ z rytualnych

względów prawie nic nie je i całkowicie osłabł. Poza tym nie nadaje się do pracy tego rodzaju. Przeszkadza tylko innym, odmawiając żałobne modły przy wszystkich wrzucanych do ognia zwłokach, a więc kilka tysięcy razy dziennie. Nie miałem innych argumentów, ale Oberscharfuhrer zgodził się i z tymi i na moją prośbę dajan został przydzielony do pracy przy śmietniku znajdującym się na podwórzu II krematorium. Trzeba wiedzieć, że na ten śmietnik przynoszono wszystkie zużyte przedmioty, zepsutą żywność, dokumenty, dyplomy, wojskowe zaświadczenia, paszporty, fotografie, modlitewniki, rzemyki modlitewne, tałesy, przedmioty żydowskiego kultu religijnego, przywiezione tu przez idące do komory gazowej transporty i wysortowane przez SS jako bezużyteczne i przeznaczone na spalenie. Ten wielki śmietnik ciągle płonie. Bez przerwy pali się tu setki tysięcy zdjęć małżeńskich, zdjęć rodziców, pięknych dziewcząt i uroczych dzieci oraz tysiące modlitewników. Wiele razy brałem do ręki fotografie i modlitewniki. Niemal w każdym modlitewniku znajdowałem adnotacje o datach śmierci rodziców i przechowywane z dużą pieczołowitością zasuszone kwiaty, zerwane zapewne z grobów najbliższych, spoczywających w różnych zakątkach Europy. Na śmietniku leżały kosztowne i zwykłe tałesy, rzemyki modlitewne. Wszystko zwalone na jedną kupę, czekające na spalenie. Tu pracował dajan, a właściwie nie pracował, tylko patrzył w ogień. Gdy pytałem go, jak się czuje, okazywał niezadowolenie. Praca przy paleniu modlitewników, rzemyków, tałesów i innych przedmiotów kultu religijnego również była dlań nad wyraz przykra. Było mi go serdecznie żal, ale nie mogłem załatwić mu żadnej innej pracy. Byliśmy przecież tylko pracującym w krematorium Sonderkommandem.

Taki jest dajan, który teraz właśnie zaczyna przemawiać.

W oczach rozpalają mu się błyski, szczupła twarz staje się natchniona. W sali panuje kompletna cisza. Słychać tylko niekiedy trzask zapalki, kiedy ktoś zapala papierosa, oraz głębokie, ciężkie westchnienia. Żywi żegnają się z umarłymi.

W pewnej chwili otwierają się potężne drzwi. Wchodzi Oberscharfuhrer Steinberg w eskorcie dwóch strażników z pistoletami maszynowymi.

- Arzte heraus! - krzyczy ponaglająco.

Opuszczam pomieszczenie wraz z dwoma kolegami lekarzami i laborantem. Steinberg i wartownicy przystają w połowie powrotnej drogi do krematorium. Oberscharfuhrer wręcza mi kartkę papieru, zapisaną cyframi, polecając mi wykreślić mój numer. To lista numerów Sonderkommanda. Po krótkim szukaniu znajduję swój numer A 8450, który mam wytatuowany na rękę, i wykreślam go wiecznym piórem. Steinberg każe przekreślić również numery moich towarzyszy. Odprowadza nas do bramy I krematorium i rozkazuje, abyśmy udali się do swego pokoju i nie ruszali się stamtąd.

Na drugi dzień na podwórzu krematorium zajeżdża kolumna złożona z pięciu ciężarowych samochodów. Wyrzucają z nich zwłoki więźniów z Sonderkommanda. Trzydziestu nowych, ściągniętych dopiero ludzi, wnosi trupy z podwórza do krematorium. Straszliwe oparzenia pokrywają zwłoki. Twarze spalone nie do poznania,

ubrania w strzępach. Ich identyfikacja jest niemożliwa. U większości nie można nawet odczytać numerów wytatuowanych na rękach.

Po śmierci zadawanej gazem, po stosach, po śmierci powodowanej zastrzykami fenolu do serca, po strzałach w potylicę, po granatach z fosforem poznają już szósty stosowany tu sposób mordowania.

Naszych nieszczęsnych współtowarzyszy wyprowadzono W nocy do lasu i tam wykończono ich miotaczami płomieni<sup>54</sup>.

Zostaliśmy tylko my czterej. I tym razem też nie chodziło bynajmniej o jakieś względy dla nas i oszczędzenie naszego życia, lecz po prostu o konieczność wykonywania przez nas dalszej pracy. Nie mamy się z czego cieszyć, nie można odczuwać żadnej ulgi.

Otrzymaliśmy od dra Mengele tylko kolejną prolongatę.

## XXXV

W krwawych dziejach krematoriów zlikwidowano już trzynaste z rzędu Sonderkommando.

Bez żadnego celu bląkamy się wśród zimnych ścian, nigdzie nie możemy znaleźć sobie miejsca. W panującej wszędzie ciszy dudnienie naszych kroków dosłownie rozrywa mi uszy. Nie mamy żadnego zajęcia. Bezczyinnie mijają dni, noce spędzamy na czuwaniu.

Pozostało nas w gmachu tylko czterech. Trzydziestu nowych ludzi nie stanowi bynajmniej Sonderkommando. Mieszkają w kacecie, przychodzą tu co drugi dzień, aby palić zwłoki zmarłych w obozowych szpitalach.

Osowiali, załamani czekamy końca naszych dni. Ober-scharfuhrer Muhsfeldt zmienił się, unika jakichkolwiek spotkań z nami. To zły znak. I on również przeczuwa, że odegrał swoją rolę do końca. Kończy się tragedia, nadchodzi kres tych wszystkich, którzy znają krwawe tajemnice. Całymi dniami siedzi w swoim pokoju i pije na umór, aby pod wpływem alkoholu zapomnieć o zbrodniczej przeszłości i nie myśleć o jutrze.

Pewnego dnia, zupełnie nieoczekiwanie, przyjeżdża dr Mengele. Odnajduje nas - spodziewał się, że nie zastanie nas w sali sekcyjnej, bo przecież wie doskonale, że od dłuższego już czasu nie mamy nic do roboty. Komunikuje nam, że na polecenie zwierzchnich władz obóz w Oświęcimiu ulegnie całkowitej likwidacji. Tym razem chodzi nie o likwidację mieszkańców

obożu, ale o sam obóz. Spośród istniejących krematoriów dwa zostaną rozebrane, trzecie jeszcze pozostanie w celu palenia zwłok więźniów zmarłych w obozie. My czterej, wraz z całym wyekwipowaniem sali sekcyjnej, eksponatami muzealnymi oraz archiwum, przeniesiemy się do IV krematorium. Ono jedynie pozostanie jeszcze w użytku.

Krematoria I i II zostaną natychmiast zburzone. Krematorium III, jak wiadomo, całkowicie spłonęło podczas powstania Sonderkommando w dniu 6 listopada<sup>55</sup>.

To była naprawdę historyczna chwila, kiedy następnego dnia na podwórzu I krematorium przybyła wielka, licząca tysiąc więźniów grupa i podzieliwszy się na małe oddziały zaczęła rozbierać gmach o krwawej i straszliwej przeszłości.

Przeżywamy szczęśliwe chwile, kiedy wybuchy ładunków dynamitu, jeden za drugim,

walą w proch i pył czerwone ściany, głosząc upadek Trzeciej Rzeszy. Żydzi budowali ten gmach, Żydzi go rozbierają. Patrząc na ich twarze widzę, że pracują z zaciętkością, z jaką nigdy nie pracował jeszcze żaden więzień kacetu. Pracują w nadziei, że nadchodzą lepsze dni...

Pakujemy wszystko, co można zabrać z sali sekcyjnej i laboratorium. Z sekcyjnego stołu zabieramy tylko marmurową płytę. Betonowy postument dorobi się w nowym miejscu. W ciągu kilku godzin kończymy przeprowadzkę. Noc spędzamy już w IV krematorium. Ustawiamy stół sekcyjny, stojaki, układamy na nowych miejscach muzealne eksponaty. Sala i laboratorium są gotowe do wykonywania nowych zadań.

I znów całymi dniami nic się nie dzieje. Z beczynności ogarnia nas apatia. Błądzimy bez celu. Nasi dozorczy z SS już ostatecznie pograżyli się w oparach alkoholu, w którym szukają ucieczki. Rzadko kiedy zdarza się, aby byli trzeźwi.

Pewnego dnia, gdy siedzimy przy kolacji, do naszego pokoju wchodzi, zataczając się, Oberscharfuhrer Muhsfeldt. Pochyla się nad naszym stołem i z pijackim bełkotem mówi: - Dobry wieczór, chłopcy! Wy wszyscy wkrótce zdechniecie, ale potem przyjdzie kolej na nas!

Słowa pijanego Muhsfeldta potwierdzają moje przypuszczenia: nasi prześladowcy i kaci zginą razem z nami.

Częstuję esesmana gorącą herbatą z rumem. Widać, że mu smakuje, raz za razem napelnia szklankę. Siedzi przy stole i mówi, mówi, jakby chciał nadrobić zaległości. Mówi o żonie, która zginęła podczas bombardowania, o synu, który padł na rosyjskim froncie.

- Koniec! - mówi. - Rosjanie są o czterdzieści kilometrów od Oświęcimia. Całe Niemcy wędrują drogami. Wszyscy uciekają z nadgranicznych okolic.

Słowa esesmana budzą we mnie iskrę nadziei. A może uda się nam przeżyć?...

## XXXVI

Pierwszy dzień stycznia 1945 roku powitaliśmy z nadzieją i obawą równocześnie. Poranek Nowego Roku. Gdzie tylko spojrzeć, wszędzie śnieg, cała okolica w bieli. Wychodzę na krótki spacer po podwórzu krematorium. Ciszę przerywa warkot motoru. Mija zaledwie kilka chwil i przez bramę wjeżdża pomalowany na brązowo, wielki, kryty samochód-więźniarka z oświęcimskiego kacetu. Więźniowie nazywają ten samochód „Braune Toni” - „Brązowy Toni”.

Z szoferki wysiada oficer SS wysokiej rangi. Poznając go i pozdrawiam zgodnie z regulaminem. To dr Klein, Sturmbannfuhrer<sup>56</sup>, lekarz SS, jeden z krwawych katów Oświęcimia. W bloku 11 znajduje się więzienie kacetu. To stamtąd przywieziono sto ofiar.

- Przywiozłem panu noworoczną robotę - mówi dr Klein do śpieszącego naprzeciw Oberscharfuhrera.

Muhsfeldt jest do tego stopnia pijany, że ledwo stoi na nogach. Porządnie hulał w sylwestrową noc. Może była to zresztą jego własna stypa. Na twarzy ma grymas. Nie jest zadowolony, że zakłócają mu Nowy Rok krwawą robotą.

Stu Polaków przyjechało na śmierć. Grupa składa się z samych mężczyzn. Esesmani prowadzą ich do pomieszczenia obok kotłowni. Tam pada rozkaz: natychmiast rozebrać się! Dr Klein spaceruje po podwórzu razem z Muhsfeldtem. Szybko wchodzi do szatni, by porozmawiać ze skazańcami.

Jeden z nich, z Krakowa, mówi, że na jedną noc udzielił w swoim mieszkaniu schronienia swemu krewnemu. Gestapo oskarżyło go o ukrywanie partyzantów i postawiło go przed sądem wojennym. Czekał na wyrok w bloku 11. Przypuszcza, że przywieźli ich tu do kąpielni, po czym wszyscy pojedą do pracy przymusowej. Nieszczęsny. Przecież już sam fakt, że przebywa tu, oznacza wyrok śmierci! Tyle tylko, że mu jeszcze tego nie zakomunikowano.

Inny dostał się do więzienia za podbijanie cen - kupił bez kartek pół kilo masła. To jego cały grzech. Trzeci trafił przypadkiem w zakazaną strefę: zrobiono z niego szpiega i partyzanta. I tak dalej z każdym po kolei. Drobne przewinienia, nie udowodnione podejrzenia.

Teraz już nie ma Sonderkommando. Esesmani prowadzą ofiary przed Muhsfeldta. Znow warkot motoru. Powraca „Braune Toni”. Przywiózł nowe ofiary. Tym razem wysiada z samochodu sto elegancko ubranych kobiet. Same Polki. I one wędrują do szatni, i im każą się rozebrać. Jedna po drugiej idą na rozstrzał. Zapłaciły życiem za zupełnie bagatelne wykroczenia.

Esesmani zajmują się też paleniem zwłok. Zwracają się do mnie z prośbą o gumowe rękawiczki, potrzebne do wykonywania pracy. Dr Klein po stwierdzeniu śmierci dwustu ofiar oddala się.

Zdaniem esesmanów, nie ma żadnej sprzeczności między zarządzeniem z 17 listopada, które nakazywało wstrzymanie masowej zagłady, a dzisiejszą egzekucją. Teraz wykonano jedynie wyrok trybunału wojennego<sup>57</sup>. Wprawdzie znow masowo mordowano, ale za to zgodnie z prawem!

## XXXVII

Od dłuższego czasu nic się nie dzieje, mijają monotennie dni. Dowiadujemy się tylko, że dr Mengele opuścił Oświęcim. KZ otrzymał nowego naczelnego lekarza. A właściwie już nie obóz koncentracyjny, lecz obóz pracy. Urzędowo KZ przestał istnieć z Nowym Rokiem, zmienił nazwę na Arbeitslager<sup>58</sup>. Wszystko się rozsypuje.

Dziesiątego stycznia dostaję do ręki egzemplarz gazety, dowiaduję się z niej o rozpoczęciu ofensywy radzieckiej. Okna mego pokoju drżą od dalekiego grzmotu dział. Linia frontu coraz bardziej się zbliża.

Siedemnastego stycznia, choć nie byłem zmęczony, dość wcześnie udałem się na spoczynek. Szybko zasnąłem przy ciepłym koksowym piecyku. Było gdzieś koło północy, kiedy nagle wyrwały mnie ze snu potężne wybuchy, strzelanina z broni maszynowej i oślepiające błyski.

Słyszę, jak trzaskają drzwi, a na korytarzu oddala się tupot ciężkich kroków. Wyskakuję

z łóżka, chcę wiedzieć, co się dzieje. Gwałtownie otwieram drzwi pokoju. W kotłowni palą się światła, pokoje esesmanów otwarte na oścież. Wszystko wskazuje, że straż uciekła.

Szeroko otwarte są również wielkie dębowe drzwi wiodące do krematorium. Nigdzie nie widzę ani jednego strażnika. Błyskawicznie

spoglądam na wieże wartownicze. Po raz pierwszy od ośmiu miesięcy widzę, że stoją puste!

Pędzę z powrotem do pokoju, budzę swych współtowarzyszy i z ogromnym pośpiechem zaczynam się ubierać. Szykujemy się do drogi! SS uciekło! Ani chwili nie wolno nam pozostać na miejscu, w którym przez osiem miesięcy, codziennie, co godzina, groziła nam śmierć. Nie możemy tu czekać na Rosjan, bo nie wiemy, czy do obozu nie wpadną tylne straże SS. Nie mam żadnych wątpliwości, że jeśli nas tu znajdą, to natychmiast zastrzelą!

Już jesteśmy ubrani. Włożyliśmy na siebie dobre, ciepłe ubrania, swetry, zimowe płaszcze i co najważniejsze przy osiem-nastostopniowym mrozie - świetne buty. Każdy z nas bierze kilogramową konserwę mięsną. Napychamy kieszenie lekarskimi oraz papierosami.

Szykujemy się do drogi z radosnym uczuciem odzyskania wolności. Kierunek - obóz w Brzezince! Jest odległy o dwa kilometry<sup>59</sup> od krematorium. Na horyzoncie widać lunę. To prawdopodobnie płonie kacet.

Przebiegamy przez kotłownię i mijamy otwarte drzwi do skarbcza. W rozbitych przez uciekających esesmanów skrzyniach leży złoto. SS mogło zabrać zaledwie nieznaczną część skarbów. My biegniemy po życie, ani nam w głowie zatrzymywać się i brać cokolwiek. Doskonale pojęliśmy względność doczesnych wartości. Tylko jedno jest dla nas ważne: wolność!

Przekraczamy bramę. Nikt nas nie zatrzymuje. Obrót rzeczy wydaje się nam wprost nieprawdopodobny. Przecinamy spowity w śniegu las Brzezinki. Kroczymy drogą, którą szły na śmierć miliony. Przechodzimy obok pokrytych śniegiem torów rampy żydowskiej. Tu wysiadały z wagonów miliony ofiar. Tu żegnali się wyselekcjonowani na lewą i prawą stronę. Kwestią czasu było, kiedy kto zginie - ostatecznie i tak wszyscy ginęli...

To rzeczywiście płonie obóz w Brzezince<sup>60</sup>! Palą się wartownie i kancelarie z nagromadzonymi w nich dokumentami<sup>61</sup>. , Przed bramą obozu stoi czarny tłum. Stoją w gotowych do marszu kolumnach. Czekają na rozkaz, aby ruszyć w drogę. Było ich około trzech tysięcy<sup>62</sup>. Nie zastanawiając się długo, stajemy obok nich. Uważam to za najlepsze rozwiązanie. Moi koledzy zgadzają się ze mną. Tu w tłumie nikt nas nie rozpozna.

Przestaliśmy być członkami Sonderkommando! Nie jesteśmy już powszechnie znanymi świadkami zbrodniczych tajemnic Trzeciej Rzeszy, przestała nam grozić pewna śmierć. Jestem zwykłym więźniem i podążam razem z całym transportem.

Wszyscy uciekają. Niedługo już będą nas pędzić! Za dwa, trzy dni dogonią nas Rosjanie. SS z pewnością zostawi nas gdzieś po drodze. W sytuacji, kiedy linia jest zmienna i raz przebiega tu, a raz tam, najlepiej będzie na razie podążać za nimi.

Jest około pierwszej godziny w nocy. Ostatni esesman opuszcza obóz. W wartowni koło bramy centralnym wyłącznikiem wygaszają wszystkie światła. Na zawsze tym razem

zamykają się bramy obozu, a nad Brzezinką, która stała się wielkim cmentarzem narodów Europy, zapada ciemność. Długim spojrzeniem raz jeszcze ogarniam baraki i kolczaste druty. Żegnam się z grobem milionów.

Otacza nas oddział SS. Ruszamy. Z nowymi nieznanymi współtowarzyszami niedoli omawiamy wydarzenia dzisiejszego dnia. Odgadujemy, co przyniesie nam jutro. Czy uda się eskortującym esesmanom uprowadzić nas, czy też porzucą nas gdzieś po drodze? Uszliśmy zaledwie pięć kilometrów, kiedy lewa strona naszej kolumny staje się celem morderczego ognia. Dogoniły nas przednie straże Rosjan. Wzięto nas za oddział maszerującego wojska i zaatakowano. Do akcji wkroczył mały czołg i kilka karabinów maszynowych. Esesmani rozkazali nam położyć się

na ziemi i podjęli walkę. Z obu stron rozwinęła się gwałtowna strzelanina<sup>63</sup>. Potem zapadła cisza. Poszliśmy dalej po pokrytej śniegiem, śląskiej ziemi. Dnieje. Przemaszerowaliśmy w ciągu nocy piętnaście kilometrów. Idziemy po wydeptanej, ośnieżonej szosie. Na drodze leżą rozsiane talerze, pogubione koce, drewniane buty. Przed nami kroczył tędy kobiecy transport z kacetu. Poznajemy to po porzuconych rzeczach.

" Po kilku następnych kilometrach wiemy już więcej o tych, którzy idą przed nami: w odstępach co czterdzieści-pięćdziesiąt metrów leżą w rowie zwłoki kobiet z zakrwawionymi twarzami. Tak jest też na dalszej trasie. Trupy. Trupy. Co jakieś pięćdziesiąt kroków - zwłoki! Nie miały już sił iść, a kto zostawał w tyle, dostawał kulę w łeb.

A więc SS otrzymało rozkaz, aby nie zostawiać za sobą żywych! Nie jest to pocieszające. Jesteśmy wstrząśnięci nie kończącym się szeregiem trupów. Staramy się iść szybciej. To marsz o życie!

W naszym transporcie również rozlegają się pierwsze strzały. Dwóch naszych towarzyszy zostaje na skraju szosy. Nie mieli sił iść dalej, usiedli. Zastrzelono ich. Teraz strzały rozlegają się już co kilka minut.

W południe dochodzimy do Pszczyny. Tam jest pierwszy odpoczynek. Spędzamy godzinę na boisku piłkarskim. Kto ma coś do jedzenia, ten zaspokaja głód. Wypalamy papierosa i z nowymi siłami ruszamy w drogę po ośnieżonej szosie.

Pięć dni trwał ten marsz, aż wreszcie dotarliśmy do stacji kolejowej w Wodzisławiu. O głodzie i bez wody, nocując pod gołym niebem, przewędrowaliśmy kilkadziesiąt kilometrów. Do stacji nasz transport stopniał do dwóch tysięcy. Około sześciuset mężczyzn zastrzelono po drodze.

Wszyscy oddychamy z ulgą, kiedy na peronach dostrzegamy przygotowany dla nas pociąg, złożony z odkrytych wagonów.

Szybko zostajemy załadowani na węglarki. Czekamy jedną noc i transport rusza. Nie liczyłem, ilu moich nieszczęsnych towarzyszy zamarzyło na śmierć podczas pięciodniowej jazdy. Ale, gdy dojechaliśmy wreszcie do obozu w Mauthausen, było nas już tylko tysiąc pięćset. Wśród tych pięćuset, którzy nie dotarli, byli jednak zapewne i tacy, którzy wykorzystali dogodną sytuację i uciekli.

Ponure, umieszczone na górze granitowe mury obozu koncentracyjnego w Mauthausen niby dawne zamczysko wznoszą się nad miasteczkiem o tej samej nazwie. Końcowa stacja naszej drogi. Ten obóz zagłady został zbudowany z setek tysięcy granitowych bloków. Wysokie baszty, wyzierające z otworów armatnie lufy, zdradzają już z daleka charakter twierdzy.

Byłby to zapewne malowniczy widok, gdyby kamienie tej fortecy przykryła patyna czasu. Oślepiająca biel razi jednak na tle ciemnych, okalających okolice lasów, nie harmonizuje z nimi.

Kamienie są białe, bo dopiero niedawno zbudowano ten zamek. Za czasów Trzeciej Rzeszy, z przeznaczeniem na obóz koncentracyjny. Po zajęciu Francji ściągnięto tu wiele tysięcy byłych bojowników o wolność Hiszpanii oraz dziesiątki tysięcy niemieckich Żydów. To oni właśnie pracowali w kamieniołomach Mauthausen. Wycinali bloki granitu i wnosili je po skalistej, górskiej drodze do obozu. To oni układali te kamienie, jeden na drugim, i wznosili mur okalający nędzne baraki. Skazani na śmierć wznosili tę katownię wśród cierpień, jakie trudno sobie wyobrazić. Wyginęli wszyscy. Oczywiście obóz ani przez chwilę nie był nie zamieszkanym. Zaludniły go tysiące bojowników jugosłowiańskich, uczestników ruchu oporu okupowanych narodów Europy, dziesiątki tysięcy skazanych na śmierć Żydów. Baraki pustoszały czasami, ale tylko

na kilka dni, a potem znów wypełniały się. Mieszkańcy obozu czekali, aż upłynie wyznaczony im termin życia.

Nasz umęczony marszem i zmarznięty na kość transport powoli pnie się do góry po długiej, zawalonej śniegiem drodze. Ostatkiem sił przekraczamy bramę kacetu. W wieczornym zmierzchu ustawiamy się na Appellplatzu.

Szukam swoich towarzyszy. Brakuje posługacza z sali sekcyjnej, laboranta Fischera. Ostatnio widziałem go w Pszczynie, leżał wyczerpany na śniegu. Zmienione rysy twarzy znamionowały zbliżającą się śmierć. Miał pięćdziesiąt lat, z tego pięć lat był więźniem kacetu. Jego organizm nie wytrzymał trudów marszu i ostrego mrozu.

Młody lekarz z Nicei, dr Korner, jest wprawdzie wyczerpany, ale jego ogólna kondycja jest znośna. Natomiast docent dr De-nes Goróg znajduje się w końcowym stadium swojej choroby. Zakłócenia świadomości są większe, niż to miało miejsce w krematorium.

Ukrywanie choroby już i tam było kłopotliwe. Robiłem wszystko, aby nie zetknął się z doktorem Mengele. Muhs-feldt był również dobrym obserwatorem. Musiałem więc izolować nieszczęśnika i od tego oprawcy. Nie żyłby ani minuty dłużej, gdyby wydało się, w jakim jest stanie. Zdawał on sobie z tego sprawę i jeszcze w krematorium przekazał mi swoje ostatnie życzenie.

- Miklós - powiedział do mnie pewnego razu - ty dzięki silnej woli na pewno trafisz do domu. Ale ja czuję, że nie doczekam wolności. Moja żona i córka zginęły tu, w komorze gazowej. Wiem o tym z całą pewnością. Sprawdziłem to osobiście. Udało mi się ukryć mego synka w klasztorze w Kószeg. Ma dwanaście lat. Na imię ma Sandor. Weź go do siebie, jeśli uda ci się przeżyć i wrócić do domu. Z całą pewnością wiem, że wkrótce zginę. To moja ostatnia prośba.

Obiecałem Denesowi, że spełnię jego prośbę.

Na szczęście nasz los zmienił się, jesteśmy daleko od miejsca, w którym czekała nas

pewna śmierć. Ale teraz na końcu długiej drogi, w przededniu wyzwolenia, kiedy pełni jesteśmy nadziei na przyszłość, teraz wypada nam zginąć! Co za tragedia!

Po przeliczeniu wpędzają nas w wąskie przejście, wiodące do kąpieli. Mieszmamy się z innymi więźniami, spędzonymi tu z różnych obozów. I oni również czekają na kąpiel. Stłoczono tu chyba z dziesięć tysięcy. Wieje lodowaty wiatr. Jesteśmy na wzgórzu, na przedgórzu Alp. Zima bywa tu bardzo ostra...

Do łaźni wpuszczają grupy złożone z czterdziestu osób. Tyle mieści się naraz.

Przeprowadzam błyskawiczny rachunek. Miną trzy dni, nim przyjdzie na wszystkich kolej!

Kryminaliści Reichsdeutsche pełnią tu obowiązki straży pożarnej. Są najwierniejszymi sługami SS. To oni ustawiają ludzi i wpuszczają do łaźni. Pierwsi w kolejności są Aryjczycy. Trzy dni upłynie, nim wszyscy przejdziemy przez łaźnię. A łaźnia po takiej drodze to sprawa życia. Tylko po kąpieli więzień trafia do baraku i zostaje umieszczony na liście wyżywienia. Nim więc trafi do łaźni, stoi tu o chłodzie i głodzie, zmordowany dziesięciodniową piekielną drogą, przemarznięty do szpiku kości i czeka, czeka tak długo, póki czuje jeszcze siły w nogach, potrafi ustać i póki nie zmruży oczu. Gdy straci siły, kładzie się na śniegu, aby już więcej nie wstać. Wokół mnie śpi już wiecznym snem na śniegu ponad trzystu więźniów. Nikt się nimi nie przejmuje. Tu każdy walczy już tylko o siebie. Walka o życie zbliża się do zenitu.

Biedny Denes zgubił gdzieś okulary i z gołą głową błąka się wśród ludzi. Patrząc na twarz widać, że stracił świadomość. Krąży automatycznie, wymawia niezrozumiałe, nie powiązane słowa. Biorę go pod rękę i ciągnę; może uda się nam dostać do gorącej kąpieli, która znamionuje życie. Po kilku krokach przy-

staję, tłum rozdziela nas, tracę Denesa z oczu. Moje krzyki nie dają żadnych rezultatów, w wyjąłym wietrze sam ledwo słyszę własny głos.

Czuję coraz większe niebezpieczeństwo. Napieram na tłum, ostatkiem sił pcham się w stronę wejścia do łaźni. Wreszcie. Docieram do pierwszych rzędów.

Kilku esesmanów oraz strażników z grubymi gumowymi pałkami stoi przed grupą więźniów. To nowa czterdziestka czeka na wejście do łaźni. Wszyscy są Aryjczykami. Mój instynkt samozachowawczy wypycha mnie do przodu, wyskakuję z tłumu. Staję przed jakimś Oberscharfuhrerem i zdecydowanym głosem oświadczam:

- Herr Oberscharfuhrer! Jestem lekarzem transportu z Oświęcimia, proszę mnie wpuścić do łaźni.

Patrzy na mnie. Moje porządne ubranie i zdecydowane wystąpienie, a może bezbłędna niemczyzna musiały na nim widocznie zrobić wrażenie. Nie wiem. Woła do czuwającego opodal na schodkach łaźni wartownika:

- Puść doktora, niech wejdzie! - Jestem uratowany! Gorąca kąpiel w ciągu kilku minut przywraca mi czucie

w zgrabiłych od zimna członkach. Po dziesięciu koszmarnych dniach po raz pierwszy znajduję się w ogrzewanym pomieszczeniu. Kąpiel ma kojący wpływ na całe ciało, nerwy. Przychodzę do siebie.

Nasze ubrania uznano za zakażone i pozostają w szatni. Żal mi ciepłego płaszcza, garnituru i swetra. Cieszę się jednak, że przynajmniej pozostawiono mi buty. Dobre buty to w kacecie pół życia! Wkładam buty i wraz z całą wykapaną grupą wychodzę nago przed łaźnię. Czekamy na następną grupę, aby uzupełnić nasz stan do wymaganej ilości,



która ma udać się do baraku. Pół godziny nago na osiemnastostopniowym mrozie i lodowatym wietrze po gorącej kąpieli to oczywiście kuszenie śmierci.

Wreszcie dołącza druga czterdziestoosobowa grupa i ruszamy. Eskortujący esesman rozkazuje nam biec. Po pięciuset metrach trafiamy wreszcie do bloku 23 w obozie kwarantanny.

Przy wejściu stoi bandyta z zielonym winkiem - blokowy. Każdemu wchodzącemu do środka wciska w rękę ćwiartkę chleba. Stojący obok sztubowy kładzie na chleb kopiastą stołową łyżkę mięsnej masy z konserwowej puszki i wlewa do naczynia jakieś ćwierć litra gorącej czarnej kawy.

Królewska uczta po dziesięciodniowym poście! Pożeram wszystko w ciągu kilku sekund i z błogim uczuciem szukam miejsca, aby się położyć. Znajduję je w kącie. Miejsca w kątach mają tę zaletę, że inni więźniowie nie chodzą tam i z powrotem przez śpiącego. Oczywiście leżymy na ziemi. Na kwarantannie nie ma łóżek. Mimo to śpię bez przerwy aż do pobudki. Gdy obudziłem się, na myśl przyszli mi moi przyjaciele, którzy ciągle jeszcze czekają przed łaźnią na kąpiel -jeżeli jeszcze żyją.

Przez trzy dni siedzieliśmy bądź beczynnienie błakaliśmy się po baraku. Otrzymywaliśmy znośne jedzenie i jako tako odpoczęliśmy po trudach podróży.

Na trzeci dzień do baraku przyszedł oficer SS w asyście kancelisty i wezwał do zgłoszenia się tych, którzy pracowali w oświęcimskich krematoriach.

Czyżby mieli listę? Przy ich piekielnie doskonałej organizacji jest to zupełnie możliwe! Potem jednak widzę, że to tylko próba. Chcą wyłowić z tłumu tych, którzy znają tajemnice oświęcimskich krematoriów. Gdyby mieli listę, wyczytywano by zapewne numery. Atak nikt mnie nie zna!

W niemej ciszy mijają chwile nerwowego napięcia. Oficer SS odchodzi. Wygrałem! Wygrałem życie, i to już nie pierwszy raz!

Jeszcze tego samego dnia wieczorem otrzymaliśmy płócienne pasiaki i wyruszyliśmy w dół na stację kolejową w Mauthausen.

Tam wsadzono nas do wagonów i w liczącym siedem tysięcy więźniów transporcie wyjechaliśmy do obozu koncentracyjnego w Melk nad Dunajem. Tym razem jechaliśmy w zamkniętych wagonach, siedząc wygodnie na ławkach. Po trzech godzinach jazdy przybyliśmy na miejsce.

Obóz w Melk położony był również na wzgórzu. W budynkach, do których trafiliśmy, mieściły się dawniej koszary saperów. W ogromnych barakach, otoczonych murem, znalazło się piętnaście tysięcy więźniów.

Naszą ciężką sytuację nieco łagodzi przepiękna okolica. Powyżej nas, na skałach, znajduje się piękny barokowy pałacyk opactwa, a u stóp naszego obozu zakręca w dolinie Dunaj. To nasza ojczysta rzeka. Poczuliśmy się jakby w domu...

## XXXIX

W 1945 roku wiosna zaczęła się wcześniej.

Jest początek kwietnia. Za drutami obozu koncentracyjnego w Melk już zielenią się drzewa. Na brzegach skracającego pod nami Dunaju spotykane jeszcze gdzieś płatki śniegu ustępują powoli miejsca zielonej trawie. Już osiem tygodni przeżywam dobre i złe dni w kolejnym kacecie. Jestem zmęczony i osłabiony. Tylko nadzieja bliskiego wyzwolenia nie pozwala mi poddać się melancholii.

I tu również wszystko znajduje się w rozsypce. Przed moimi oczami rozgrywa się ostatni akt Trzeciej Rzeszy.

W nie kończących się kolumnach ciągną pobite armie w głąb spalonych i zamienionych w jedno dymiące rumowisko Niemiec. Na wezbranych wiosennymi wodami falach Dunaju podążają w górę setki statków i barek wiozących ludność z ewakuowanych miast. Nic nie jest wieczne... Jak mgła pierchnął sen o tysiącletniej Trzeciej Rzeszy. Wiara w wyższość germańskiej rasy i w jej powołanie do rządzenia światem ustępuje miejsca gorzkiemu rozczarowaniu.

Witającym wolność narodom Europy nie grozi już więcej niebezpieczeństwo - nie grozi im grabież ich miast i „ścieranie” ich stolic z mapy Europy, nie grozi im już wypalanie numerów na rękach, deportowanie z domów, zamienianie w galerników pilnowanych przez trupie główki z SS i wytresowane psy.

Schodzi już ze światowej areny Trzecia Rzesza, która ogarnięta obłądną piromanią chciała spalić cały świat. W końcu sama spłonęła w tym ogniu.

Milknie ochrypli, kaprański głos, który na falach eteru głosił całemu światu:

„Deutschland iiber alles!”

Miłujące wolność narody złamały butę Trzeciej Rzeszy i wyznaczają życiu nowy kierunek.

Siódmego kwietnia 1945 roku wygasają światła łukowych lamp, umieszczonych nad słupami ogrodzenia obozu w Melk. Ciemność i niema cisza ogarnia i to miejsce.

Pustoszeje obóz, zamykają się jego bramy. Siedem tysięcy więźniów skierowano dalej w głąb Rzeszy. Najpierw wiozą ich statkami, potem pędzą zatłoczonymi od uciekinierów drogami. Przez siedem dni ośnieżonymi szczytami górskimi wędruje upadająca ze zmęczenia kolumna, nim dojdzie do nowego celu.

Obóz koncentracyjny w Ebensee jest już czwartym z rzędu, do którego wkraczamy.

I tu pierwszy punkt programu to trwający godzinami apel. Drugi - kąpiel. Trzeci - kwarantanna w obrzydliwych barakach pod nadzorem oprychów z gumowymi pałkami.

Odgrywam swoją rolę we wszystkich trzech punktach programu. Przeszywa mnie mroźny wiatr. Lodowaty deszcz moczy do suchej nitki mój cienki więźniarski pasiak podczas długich apeli.

Wypełnia mnie dzika gorycz. Nie ulega przecież wątpliwości, że sprawa oswobodzenia jest tylko kwestią dni. Niecierpliwie czekamy na rozwój wydarzeń. Mogą one być przecież dla nas niepomysłne. Naszą niewolę może zakończyć również krwawa tragedia. Nim przyjdą wybawcy, możemy zostać wszyscy zgładzeni.

Byłoby to zakończenie naszych losów w stylu godnym Trzeciej Rzeszy. Po dwunastu miesiącach kacetu i bezprawia.

Nie tak się jednak stało!

Piątego maja 1945 roku na wieży obozu w Ebensee zawisła biała flaga. Oślepiająco świeci wiosenne słońce. Koniec! Niemcy złożyły broń! Około godziny dziewiątej

przybywa mały amerykański czołg, a w nim trzech żołnierzy, którzy zajmują obóz. Jesteśmy wolni...

## POSŁOWIE

Świadomość odzyskania wolności stawia nas, wyjętych spod prawa, na nogi. Wychodzimy za druty, ciągnie nas przestrzeń. Zbieram resztki energii. Schorowany, złamany fizycznie i duchowo ruszam w drogę powrotną do domu. Mojej wędrówki bynajmniej nie ułatwia widok mijanych miast. Zamiast kwitnącego życia - wszędzie zgliszcza i ruiny, masowe groby. Ogarnia mnie groza na myśl o czekającej rzeczywistości; w zburzonym domu nie będą na mnie czekali rodzice i nigdy już nie spotkam swojej ukochanej żony, córki i siostry. Upokorzenia i smutki, okropności krematoriów oraz dołów spaleniskowych, osiem miesięcy spędzonych wśród pogrzebanych żywcem, w Sonderkommandzie - przytępiły we mnie poczucie dobra i zła. Powinienem odpocząć. Zebrać siły. Ale czy to ma jakikolwiek sens?... Trapi mnie choroba. Krwawa przeszłość ciąży na moim chorym sercu. Moje oczy odprowadziły do komór gazowych setki tysięcy ludzi. Byłem świadkiem palenia ludzi na stosie. Na rozkaz fanatycznego, uważającego siebie za geniusza szaleńca, otwierałem zwłoki setek ofiar. Chciał on wyciągnąć korzyści ze śmierci milionów ofiar dla pseudonaukowych, fałszywych teorii.

Wycinałem mięso z ciał zdrowych dziewcząt dla hodowanych przez dra Mengele bakterii. Kapałem zwłoki kalek i karłów w roztworze chlorowanego wapna albo też gotowałem w kadziach, aby ich odpowiednio spreparowane szkielety trafiły do muzeów Trzeciej Rzeszy i tam służyły przyszłym pokoleniom jako dowód świadczący o słuszności wytępienia narodów „niższej rasy”. Dwukrotnie spoglądałem śmierci w oczy, stojąc oko w oko przed plutonem egzekucyjnym. Pożegnałem zakrwawione zwłoki tysiąca trzystu współtowarzyszy niedoli i pozostałem jedynym świadkiem. Wędrowałem przez setki kilometrów, brnąłem w śniegu, zmagalem się z mrozem, aby trafić do coraz to nowych obozów koncentracyjnych. Jakżeż długa była ta droga. Nie znajduję miejsca w swoim mieszkaniu. Bez celu krążę wśród niemych ścian. Krwawe wspomnienia i głęboki smutek ciąży nad moją przeszłością; smutna jest terazniejszość. Niby cień błąkam się po dawnych, znanych ulicach. Ożywiam się czasem, kiedy wydaje mi się, że wśród przechodniów spostrzegam swoich bliskich. Bez słowa znoszę cierpienia. Załamany liczę mijające dni, miesiące. Już październik. Minęło sześć miesięcy od wyzwolenia. W jesienne popołudnie siedzę zmarznięty w swoim mieszkaniu. Może ciepło piecyka ukoi cierpienia.

Nagle odzywa się dzwonek. Otwierają się drzwi. Wchodzi żona i córka. Zostały oswobodzone ze słynnego obozu zagłady w Bergen-Belsen. Wracają stamtąd. Są zdrowe. Mówią niewiele, ale ileż treści zawierają ich pojedyncze zdania. Resztę wypłakują przez długie godziny. Ale i tak wszystko zrozumiałem. Kto mógłby lepiej zrozumieć niż ja? Teraz życie ma już sens. Jest dla kogo żyć! Znowu chcę pracować. Dobrze będzie znowu czuć się pożytecznym, pomagać ludziom. Ale nigdy nie będę już krajał umarłych. Nigdy więcej..

## PRZYPISY

Dr Nyzsli napisał swą książkę zaraz po zakończeniu wojny, polegając jedynie na własnej pamięci i relacjach kolegów, przekazywanych w czasie pobytu w obozie - nie miał możliwości skonfrontowania wspomnień z dokumentami, jakie znamy dzisiaj. Konieczne więc stało się zaopatrzenie książki w przypisy.

<sup>1</sup> Więzień Miklós Nyzsli na polecenie doktora SS Josefa Mengele wykonywał sekcje zwłok bliźniąt i karłów poddawanych przez niego eksperymentom medycznym oraz pełnił funkcję lekarza esesmanów i więźniów zatrudnionych przy obsłudze komór gazowych i krematoriów. Ci ostatni nie mogli korzystać z ambulatoriów i tak zwanych szpitali, rozmieszczonych w różnych częściach obozu. Obowiązywał ich bowiem surowy zakaz kontaktów z innymi więźniami spoza Sonder-kommando. W ten sposób starano się utrzymać w tajemnicy szczegóły dotyczące funkcjonowania urzędzeń masowej zagłady.

<sup>2</sup> Niektórzy więźniowie, a także esesmani będący świadkami popełnianych w obozie zbrodni byli przekonani, że liczba pomordowanych w obozie sięga kilku milionów. Tak też, m.in. na podstawie zeznań świadków, orzekły komisje najpierw radziecka, a później polska, powołane w 1945 r. w celu zbadania zbrodni popełnionych w obozie. Określiły one liczbę ofiar na około 4 milionów. Jednakże od lat pięćdziesiątych badacze w różnych krajach, na podstawie odnajdywanych dokumentów dotyczących deportacji do obozu, zaczęli weryfikować poszczególne składniki globalnej liczby ofiar, która okazała się niższa od tych początkowych szacunków. Większość badaczy przy-

muje, że w obozie tym zginęło od 1 do 1,5 miliona ludzi, z których większość (90 procent) stanowili Żydzi (Franciszek Piper: „Ilu ludzi zginęło w KL Auschwitz. Liczba ofiar w świetle źródeł i badań 1945-1990”. Oświęcim 1992).

<sup>3</sup> Josef Mengele, ur. 16 marca 1911 r. w Gunzburgu, doktor filozofii i medycyny. Do SS wstąpił w 1938 r. Pełnił w tej organizacji różne funkcje medyczne. Bezpośrednio przed przybyciem do KL Auschwitz służył jako lekarz w zapasowym batalionie piechoty „Ost” wchodzącym w skład 5. Dywizji Pancerniej SS „Wiking”, z którą brał udział w walkach na froncie wschodnim. Ranny, złożył prośbę o przydział do służby w obozach koncentracyjnych. Z dniem 30 maja 1943 r. objął służbę w KL Auschwitz jako lekarz w obozie rodzinnym dla Cyganów w Brzezince. Po likwidacji tego obozu w sierpniu 1944 r. został naczelnym lekarzem obozu w Brzezince (KL Auschwitz II), a w listopadzie 1944 r. objął funkcję lekarza w szpitalu dla SS w tym samym obozie, którą pełnił do jego likwidacji w styczniu 1945 r. Podczas pobytu w KL Auschwitz przeprowadzał selekcje na rampie wyladowniczej oraz wśród zarejestrowanych więźniów. Najbardziej znany jest z powodu dokonywanych eksperymentów medycznych nad ciężą mnogą, rakiem wodnym oraz nad dziedzicznością cech u bliźniąt i karłów. Po wojnie ukrywał się w Ameryce Południowej. W czasie kąpieli w morzu 7 lutego 1979 r. doznał udaru mózgu i utopił się niedaleko Sao Paulo w Brazylii (Aleksander Lasik: „Obsada osobowa służby zdrowia SS w

obozie koncentracyjnym Oświęcim-Brzezinka w latach 1940-1945"; Helena Kubica: „Dr Mengele i jego zbrodnie w obozie koncentracyjnym Oświęcim-Brzezinka". Zeszyty Oświęcimskie 1993 nr 20).

<sup>4</sup> Instytut Badań Antropologicznych i Biologiczno-Rasowych wchodził w skład Instytutu im. Cesarza Wilhelma do spraw Antropologii, Nauki o Dziedziczeniu i Eugeniki (Kaiser Wilhelm Institut für Anthropologie, Menschliche Erblehre und Eugenik), którego dyrektorem był prof. Otmar von Verschuer - protektor i opiekun Mengelego.

<sup>5</sup> Masowe transporty węgierskich Żydów zaczęto przywozić do KL Auschwitz od maja 1944 r. Jak stwierdza się w telegramie niemieckiego posła w Budapeszcie Edmunda Veesenmayera, do 9 lipca 1944 r., kiedy to w zasadzie akcja deportacji węgierskich Żydów do Auschwitz zo-

stała na polecenie regenta Miklósa Horthy'ego przerwana, deportowano 437 402 osoby. Pierwsze dwa transporty węgierskich Żydów przywieziono do obozu 2 maja 1944 r., regularny napływ transportów rozpoczął się od 16 maja. Transport, którym przywieziono Miklósa Nyiszli'ego, był jednym z kolejnych transportów (Randolph L. Braham: „The Destruction of Hungarian Jewry". New York 1963, s. 443).

<sup>6</sup> Autor ma na myśli obozy koncentracyjne Auschwitz w Oświęcimiu i Lublin w Lublinie, znany również w literaturze jako obóz na Majdanku.

<sup>7</sup> Na czele służby medycznej w KL Auschwitz (wydział V) stał lekarz garnizonowy, kierujący działalnością trzech pionów: ogólnomedycznego, stomatologicznego i farmaceutycznego. Każdy z tych pionów podzielony był na wydziały więźniarskie i esesmańskie. W pionie ogólnomedycznym podlegali mu lekarze oddziałów SS, opiekujący się esesmanami (SS-Truppenärzte), oraz lekarze obozowi SS, odpowiedzialni za zdrowotność więźniów - w praktyce za udział w akcjach eksterminacyjnych i sporządzanie fikcyjnej dokumentacji zgonów. Lekarzom oddziałów SS i lekarzom obozowym podlegali sanitariusze SS. Faktycznie mimo niezwykle trudnych warunków więźniowie mogli liczyć tylko na pomoc zatrudnionych w ambulatoriach i tak zwanych szpitalach obozowych lekarzy - więźniów.

<sup>8</sup> Według postanowień zakończonej w dniu 6 maja 1944 r. konferencji w Wiedniu codziennie miały opuszczać Węgry 4 pociągi, z których każdy miał wieźć 3000 ludzi. Skład pociągu powinien liczyć 45 wagonów.

<sup>9</sup> Krematoria były budynkami parterowymi. Poddasza krematoriów II i III (I i II) zajmowali od połowy 1944 r. więźniowie z Sonderkommando.

<sup>10</sup> W Brzezince istniały 4 krematoria. Krematoria II i III (I i II) miały po jednym kominie, a krematoria IV i V (III i IV) po 2 kominy.

<sup>11</sup> Obóz w Brzezince dzielił się na odcinki budowlane (Baubauabschnitte) - B. Na lewo od rampy wyładowniczej znajdował się odcinek BI składający się z dwóch części: BIa i BIb, na prawo od rampy znajdował się odcinek Bil dzielący się na 7 części: BIla, BIlb, BIlc, BIld, BIle, BIlf, BIlg. Na prawo od tegoż odcinka znajdował się odcinek BIII, jeszcze nie wykończony. Część z tych odcinków obejmowała odrębne jednostki organizacyjne zwane obozami, np. obóz BIlf (Lager BIlf), czyli obóz szpitalny.

<sup>12</sup> Więźniowie KL Auschwitz byli oznaczani numerami. Ogółem wydano 400 000 numerów w kilku seriach. Największą liczbę numerów wydano w serii zwykłej - męskiej i żeńskiej - blisko 300 000, ponadto były serie numerów dla Cyganów, również męska i żeńska, opatrzone literą Z, seria dla więźniów wychowawczych - EH, jeńców radzieckich - RKG. Dla Żydów, rejestrowanych do 1944 r. razem z innymi więźniami w serii zwykłej, w maju 1944 r. wprowadzono odrębną serię A męską i żeńską, a po wydaniu 20 000 numerów w serii A męskiej wprowadzono dla mężczyzn następną serię B. Litera A i B tatuowano obok numerów.

<sup>13</sup> Zgodnie z ustawodawstwem Trzeciej Rzeszy homoseksualizm uznawany był za przestępstwo. Już w okresie przedwojennym homoseksualistów osadzano w obozach koncentracyjnych.

<sup>14</sup> Lagerführer (w obozach macierzystych - Schutzhaftlagerführer) - kierownik obozu odpowiedzialny za całokształt spraw związanych z podporządkowanymi mu więźniami

przebywającymi w danym obozie, jego części lub podobozie. W Brzezince niektóre części obozu miały swoich Lagerfuhrerów lub Schutzhaftlager fuhrerów (np. obóz kobiecy, męski, cygański). Funkcję tę pełnili oficerowie lub (np. w mniejszych podobozach) podoficerowie SS. Lagerfuhrer podlegał komendantowi obozu lub (np. w KL Au schwitz III) Schutzhaftla-gerfuhrerowi.

<sup>15</sup> Leitenderarzt - lekarz blokowy (więźniów) nadzorował w bloku szpitalnym więźniarski personel medyczny (lekarzy i pielęgniarzy) oraz personel administracyjny (starszy bloku i pisarz).

<sup>16</sup> Na mocy rozporządzenia wykonawczego Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Trzeciej Rzeszy z dnia 29 stycznia 1943 r. aresztowano i wysłano do KL Auschwitz około 23 000 Cyganów z Rzeszy, Protektoratu Czech i Moraw oraz ziem wcielonych administracyjnie do Rzeszy. Umieszczono ich w specjalnym obozie rodzinnym (BII e). Obóz założony w lutym 1943 r. został zlikwidowany w sierpniu 1944r

Ogółem zginęło w obozie około 20 000 Cyganów - mężczyzn, kobiet i dzieci.

<sup>17</sup> Boisko piłki nożnej znajdowało się na terenie obozu szpitalnego BII i sąsiadowało bezpośrednio z rampą wyładowniczą i krematorium II (III). W dokumentacji obozowej używano dwóch numeracji krematoriów: krematorium I (w obozie macierzystym w Oświęcimiu), krematoria II i III usytuowane w Brzezince na końcu rampy wyładowniczej oraz IV i V usytuowane na końcu drogi oddzielającej odcinki BII i BUL Druga numeracja, której używa autor, pomijała krematorium w obozie macierzystym i oznaczała krematoria w Brzezince od I do IV.

<sup>18</sup> Informacja nieścisła. Nie było określonych terminów ani regularności w likwidacji więźniów Sonderkommando. Tylko w 1942 r. miały miejsce przypadki likwidacji całych Sonderkommando. W późniejszym czasie zabijano stale pewną część więźniów z Sonderkommando zastrzykami fenolu, podstępnie w różnych pomieszczeniach gazem lub w inny sposób. Część pozostawiano jednak przy życiu w celu zapewnienia ciągłości pracy. Niektórzy więźniowie przeżyli w Sonderkommando ponad dwa lata i po wojnie złożyli zeznania na temat funkcjonowania komór gazowych i krematoriów (Szlama Dragon, Alter Feinsilber i inni).

<sup>19</sup> Liczebność członków Sonderkommando była dostosowywana do nasilenia zagłady. Na przykład 20 kwietnia 1944 r. w czterech krematoriach w Brzezince zatrudniano 207 więźniów, a 28 lipca 1944 r. przy obsłudze krematoriów, bunkra gazowego i dołów spalenskowych pracowało 873 więźniów, nie licząc 30 zatrudnionych przy rozładunku drewna potrzebnego do spalania zwłok w dołach.

<sup>20</sup> Erich Muhsfeldt, ur. 18 lutego 1913 r. w Neubnick Spree. Skazany 22 grudnia 1947 r. w Krakowie na karę śmierci. Wyrok wykonano.

<sup>21</sup> Pracę kilkusetosobowych komand nadzorowali oberkapo, którzy mieli do pomocy kapo, unterkapo i vorarbeiterów (przodowników).

<sup>22</sup> Według ustaleń władz niemieckich dobową przepustowość czterech krematoriów w Brzezince wynosiła 4416 zwłok (krematoria II i III po 1440 zwłok, IV i V po 768 zwłok). Na podstawie zeznań więźniów z Sonderkommando komisja do zbadania zbrodni popełnionych w obozie, kierowana przez sędziego Jana Sehna, określiła przepustowość

czterech krematoriów w Brzezince na 8000 ciał (po 2500 w krematoriach II i III oraz po 1500 w krematoriach IV i V).

<sup>23</sup> Powinno być: funkcjonariuszy z Politische Abteilung. Kierownik Politische Abteilung (Wydziału Politycznego) był w obozie równocześnie przedstawicielem Policji Państwowej, w tym przypadku Sta-atspolizeileitstelle w Katowicach.

<sup>24</sup> Porównaj przypis 18.

<sup>25</sup> Chodzi o Żydów z Polski, Grecji, Węgier i Francji. W Sonderkommando w zasadzie zatrudniano Żydów. W tym czasie, kiedy Ny-iszli przebywał w Sonderkommando, oprócz Żydów zatrudniony był tam 1 Niemiec, 5 Polaków i 19 rosyjskich jeńców wojennych.

<sup>26</sup> Kleine Postenkette (mały łańcuch straży) składał się z posterunków rozmieszczonych na wieżach wartowniczych wokół ogrodzenia obozowego. Grosse Postenkette (duży łańcuch straży)

otaczał obóz w odległości od kilkuset metrów do kilku kilometrów. Składał się z posterunków rozmieszczonych na prowizorycznych wieżach wartowniczych. Duży łańcuch straży zaciągano przed wymarszem komand do pracy poza ogrodzenie obozowe i likwidowano wieczorem po powrocie więźniów do obozu. W przypadku stwierdzenia ucieczki więźnia, utrzymywano posterunki na wieżach dużego łańcucha straży przez trzy doby.

<sup>27</sup> Chodzi o prowizoryczną komorę gazową uruchomioną w połowie 1942 r. w wyniku adaptacji domu będącego własnością jednego z chłopów w Brzezince. Po uruchomieniu czterech krematoriów i komór gazowych komora ta nie była użytkowana. Uruchomiono ją ponownie w maju 1944 r. w okresie masowego napływu transportów węgierskich Żydów. Początkowo określano ją jako „biały domek” lub „bunkier 2”, w 1944 r. używano również nazwy „bunkier 5”.

<sup>28</sup> Tego rodzaju egzekucje przez rozstrzelanie należały do rzadkości. W dołach spalano w zasadzie zwłoki ludzi uśmierconych gazem w komorze gazowej.

<sup>29</sup> Otto Moll, ur. 4 marca 1915 r. w Hochenschónenberg. W KL Auschwitz od maja 1941 do stycznia 1945 r. Pełnił różne funkcje. W okresie, kiedy był szefem krematoriów, posiadał już stopień Haupt-scharfuhrera. Był sądzony w procesie członków załogi Dachau. 13 grudnia 1945 r. skazany na karę śmierci. Wyrok wykonano.

<sup>30</sup> FKL (Frauenkonzentrationslager) - kobiecy obóz koncentracyjny. Nie używana od 30 marca 1943 r. nazwa obozu kobiecego w Brzezince. W tym bowiem dniu dowódca garnizonu SS zmienił tę nazwę na Frauenlager.

<sup>31</sup> Powinno być 10 000 osób. Spośród nich około 3000 wyselekcjonowano do pracy, a 7000 uśmiercono w komorach gazowych w dniach 11 i 12 lipca 1944 r.

- <sup>32</sup> Prof. dr Berthold Epstein, Żyd czeski, kierował pracownią dra Mengele.

<sup>33</sup> Na temat obozu rodzinnego dla Żydów z getta w Terezynie i jego likwidacji szerzej w: Mirosław Karny: „Obóz rodzinny w Brzezince (Bllb) dla Żydów z getta Theresienstadt”. Zeszyty Oświęcimskie, 1993 nr 20.

<sup>34</sup> Heinz Thilo, ur. 8 października 1911 r. w Ebersfeld. Ober-sturmfuhrer SS. Doktor medycyny. W KL Auschwitz od lipca 1942 do października 1944 r. Lekarz oddziałów SS oraz lekarz obozowy w obozach BIIa, BIIe i BIIlf. Przeprowadzał selekcje do komór gazowych na rampie wyładowniczej wśród nowo przybyłych Żydów oraz w obozie. Zmarł 13 maja 1945 r. w Hohenebel.

<sup>35</sup> Więźniowie otrzymywali w pożywieniu mniej kalorii niż przewidywały to oficjalne normy: 1300 lub 1700 kalorii (z dodatkiem dla ciężko pracujących). Norma dla mężczyzny przy pracy siedzącej wynosi 2600 kalorii, a dla ciężko pracującego 4000 kalorii (Wielka Encyklopedia Powszechna, Warszawa 1969, t. XII, s. 88; Tadeusz Iwasz-ko: „Zakwaterowanie, odzież i wyżywienie więźniów” w: „Auschwitz 1940-1945. Węzłowe zagadnienia z dziejów obozu”. Oświęcim 1995, t. II, s. 45).

<sup>36</sup> Nazwa zniekształcona. Chodzi o miejscowość Rajska koło Oświęcimia.

<sup>37</sup> Prof. dr Geza Mansfeld, więzień KL Auschwitz, na polecenie SS prowadził badania nad malarią tyfusem plamistym i syfilisem. Wyzwolony 27 stycznia 1945 r. w Oświęcimiu. Brał udział w akcji pomocy wyzwolonym więźniom. Złożył zeznania na temat swego pobytu w obozie i popełnionych w nim zbrodni (Danuta Czech: „Rola mę-

skiego obozu szpitalnego w KL Auschwitz”. Zeszyty Oświęcimskie 1974 nr 15, s. 47).

<sup>38</sup> 30 czerwca 1944 r. przywieziono z Aten i wyspy Korfu 2044 Żydów. Spośród nich do pracy wyselekcjonowano 446 mężczyzn, których oznaczono numerami A 15229 - A 15674 oraz 175 kobiet, które oznaczono numerami A 8282 - A 8456. Pozostałe 1423 osoby uśmiercono w komorach gazowych. Transporty Żydów greckich przywożono do KL Auschwitz od marca 1943 do sierpnia 1944. Ogółem przywieziono od 55 do 65 tysięcy osób (Danuta Czech: „Deportacja i zagłada Żydów greckich w KL Auschwitz”. Zeszyty Oświęcimskie 1969 nr 11; Danuta Czech: „Kalendarz wydarzeń w KL Auschwitz”, Oświęcim 1992, s. 698).

<sup>39</sup> Dokumentu tego dotąd nie odnaleziono. Odszukano bądź odnaleziono przypadkiem sześć innych rękopisów: trzy w 1945 r., jeden w 1952 r., jeden w 1962 r. i jeden w 1980 r. Cztery z nich były zakopane w pobliżu krematorium II (III), o którym pisze Nyszli. Pięć spośród sześciu wspomnianych wyżej rękopisów opublikowano w zbiorze: „Wśród koszmarnej zbrodni. Notatki więźniów Sonderkommando”. Oświęcim 1975, oraz w Zeszytach Oświęcimskich 1972 nr 14.

<sup>40</sup> Esesmani ci występują również w zeznaniach i wspomnieniach innych członków Sonderkommando. Według dokumentów: SS-Unter-scharfuhrer Robert Seitz i SS-Unterscharfuhrer Karl Fritz Steinberg. Zachowały się też zdjęcia tych dwóch ostatnich (Aleksander Lasik: „Załoga SS w KL Auschwitz w latach 1940—1945”, Bydgoszcz 1994).

<sup>41</sup> Właściwie FL (Frauenlager) - obóz dla kobiet. W tej części obozu w Brzezince (Bla, B1b) przebywały kobiety zarejestrowane. W okresie deportacji węgierskich Żydów, maj - lipiec 1944, nie nadążano z rejestracją nowo przybyłych. Wyselekcjonowane do pracy, nie zarejestrowane kobiety przetrzymywano w obozie B1le, natomiast te, których nie zdążono poddać selekcji - w obozie BIII, zwanym w żargonie więziarskim „Meksykiem”. Był to obóz jeszcze nie wykończony, więźniarki często leżały na gołej ziemi, nie dostarczano im też odpowiedniej odzieży. W obu częściach obozu przeprowadzono selekcje, w wyniku których część kobiet kierowano do pracy w obozach lub

podobozach oświęcimskich, część wywożono do innych obozów, część kierowano na śmierć w komorach gazowych.

<sup>42</sup> Powinno być: siódmego.

<sup>43</sup> Według wykazu zatrudnienia więźniów w dniu 7 października 1944 r. Sonderkommando liczyło 663 osoby.

<sup>44</sup> Były to Ala Gertner, Regina Szafirsztajn i Estera Wajcblum. Pośredniczyła w przekazywaniu materiałów wybuchowych zatrudniona .w pobliżu krematorium III (IV) w Effektenlager - Róża Robota. Wszystkie zostały poddane śledztwu i powieszono w dniu 6 stycznia 1945 r. na terenie nowej części obozu macierzystego w Oświęcimiu, tzw. Schutzhaftlagererweiterung.

<sup>45</sup> Inne źródła nie potwierdzają posiadania przez więźniów z Sonderkommando broni palnej poza prymitywnymi granatami własnej produkcji.

<sup>46</sup> Bunt nastąpił w momencie, kiedy esesmani próbowali zabrać kolejną grupę 300 więźniów z Sonderkommando. W czasie buntu więźniowie podpaliłi prycze w rozbieralni krematorium III (IV), gdzie była zakwaterowana większa część więźniów z Sonderkommando, zatrudnionych przy obsłudze krematorium IV (V) i bunkra gazowego.

<sup>47</sup> Sonderkommando miało wziąć udział w planowanym powstaniu całego obozu, zsynchronizowanym z atakiem oddziałów partyzanckich. Powstanie miało wybuchnąć w momencie zbliżania się wojsk radzieckich. Próba likwidacji Sonderkommando podjęta przez SS skłoniła więźniów Sonderkommando do wcześniejszego stawienia oporu. Bunt w krematorium III (IV) podjęła tylko załoga krematorium I (II).

<sup>48</sup> Żadne inne źródło nie potwierdza podanych przez Nyszli'ego strat wśród esesmanów. Według rozkazu garnizonowego nr 26/44 w dniu 7 października 1944 r. „zginęli w walce z wrogiem wierni przysiędze złożonej Fuhrerowi” trzej esesmani: Rudolf Erler, Willi Freese i Jozef Purke. Według byłego więźnia z Sonderkommando rannych zostało dwunastu esesmanów. Straty więźniów wyniosły 451 zabitych więźniów. Bunt przeżyło 212 więźniów przeważnie z krematoriów IV (V) i II (III), którzy nie podjęli oporu.

<sup>49</sup> Powinno być: 7 października.

<sup>30</sup> Getto w Łodzi zostało utworzone 8 lutego 1940 r. Oprócz Żydów łódzkich osadzono w nim Żydów z tzw. Kraju Warty, Żydów z Niemiec i innych krajów. Ogółem przeszło przez getto ponad 260 000 Żydów. Zdolnych do pracy eksploatowano w miejscowych zakładach



przemysłowych, niezdolnych do pracy wywożono do obozów zagłady. Getto zlikwidowano w sierpniu 1944 r., wywożąc pozostałych przy życiu około 60-70 000 Żydów do KL Auschwitz, gdzie większość zamordowano w komorach gazowych bezpośrednio po przybyciu do obozu.

<sup>51</sup> Terezin - fort i miasteczko garnizonowe zbudowane w osiemnastym wieku, kilkadziesiąt kilometrów od Pragi. W listopadzie 1941 r. Niemcy założyli tam centralne getto dla czeskich Żydów. Tam osadzano również Żydów z Niemiec, Austrii i innych krajów. Spośród około 140 000 osadzonych w getcie Żydów zmarło 34 000, dalszych 83 000 wywieziono do różnych obozów zagłady, z tego około 46 000 do KL Auschwitz.

<sup>52</sup> Rozkaz wstrzymania masowej zagłady w komorach gazowych musiał być wydany wcześniej, gdyż przywieziony 3 listopada 1944 r. transport Żydów z Seredu (Słowacja) nie został już poddany selekcji, lecz w całości skierowany do obozu i zarejestrowany. 25 listopada rozpoczęto rozbiórką krematoriów I (II) i II (III).

<sup>53</sup> Sonderkommando liczyło wówczas około 200 więźniów.

<sup>54</sup> Prawdopodobnie 100 kolejnych więźniów z Sonderkommando przeznaczonych do likwidacji rozstrzelano i próbowano spalić na stosie. Nie dopalone zwłoki przywieziono do spalania w ostatnim czynnym jeszcze wówczas krematorium IV (V).

<sup>55</sup> Powinno być: 7 października.

<sup>56</sup> Fritz Klein, ur. 24 listopada 1888 r. w Zeiden. Lekarz medycyny. W KL Auschwitz od grudnia 1943 do stycznia 1945. Miał stopień SS-Obersturmführera. Skazany na karę śmierci w procesie członków załogi Bergen-Belsen i stracony 13 grudnia 1945 r.

<sup>57</sup> Obydwie grupy zostały stracone na mocy wyroku sądu doraźnego składającego się z funkcjonariuszy Gestapo w Katowicach.

<sup>58</sup> Informacja błędna. Do końca istnienia obóz w Oświęcimiu nosił nazwę „obóz koncentracyjny” - Konzentrationslager. Nazwą „obóz pra-

cy” natomiast określano podobozы KL Auschwitz, chociaż stanowiły one integralną część obozu koncentracyjnego.

<sup>59</sup> Krematoria sąsiadowały bezpośrednio z obozem. Nyzisli miał zapewne na myśli główną bramę obozową.

<sup>60</sup> W czasie ucieczki z obozu esesmani podpalili kompleks 30 baraków, w których gromadzono i sortowano mienie osobiste zrabowane ofiarom. Magazyny znajdowały się na odcinku BIIg między krematoriumami II (III) i III (IV).

<sup>61</sup> Poza wspomnianym kompleksem magazynów esesmani wysadzili w powietrze budynki krematoriów i komór gazowych. Inne obiekty nie uległy zniszczeniu. W całym obozie palono natomiast akta kancelarii obozowych, zacierając w ten sposób ślady zbrodni. Mimo to część akt ocalała.

<sup>62</sup> W dniu 17 stycznia 1945 r. w całym kompleksie obozów i podobozów oświęcimskich było jeszcze 67 012 więźniów - mężczyzn, kobiet i dzieci. W tym 4473 mężczyzn w obozie męskim w Brzezince. W dniu 18 stycznia, podobnie jak inni więźniowie, wyruszyli oni w kilku kolumnach marszowych pieszo do oddalonego 63 km od Oświęcimia Wodzisławia Śląskiego. Obóz został wyzwolony 27 stycznia 1945 r. przez wojska radzieckie.

<sup>63</sup> Fakt ten potwierdzają relacje innych więźniów. Zdarzenie to miało miejsce przed mostem na Wiśle w miejscowości Góra. W relacjach tych jest tylko wzmianka o strzałach karabinowych ponad kolumną więźniów. Prawdopodobnie chodziło o partyzantów. W dniu 18 stycznia 1945 r. Rosjanie znajdowali się jeszcze w Krakowie.

## **ŻYCIORYS DR. MIKLÓSA NYISZLIEGO**

Doktor Miklós Nyiszli urodził się 17 lipca 1901 r. w miejscowości Somlyo (obecnie Simleul Silvaniei) w Rumunii. Tam też ukończył czteroletnią szkołę podstawową i ośmioletnie gimnazjum. W 1920 r. rozpoczął studia medyczne na uniwersytecie w Cluj (Kolozsvar). Po pierwszym roku studiów przeniósł się do Niemiec i podjął studia medyczne na uniwersytecie w Kiel, które kontynuował i ukończył we Wrocławiu w 1930 r. W tym samym roku uzyskał stopień doktora medycyny i powrócił do Rumunii. Zamieszkał w mieście Oradea wraz z żoną Małgorzatą, którą poślubił w 1927 r. i córką Zuzanną urodzoną w 1929 r. Po kilku latach praktyki lekarskiej, w 1937 r. dr Nyiszli przeniósł się wraz z rodziną do miasteczka Viseu de Sus, które w 1940 r. w wyniku zawarcia traktatu rumuńsko-węgierskiego znalazło się w granicach Węgier. Po wkroczeniu wojsk niemieckich na Węgry 19 marca 1944 r. pod naciskiem Niemców nowo utworzony proniemiecki rząd Sztójaja rozpoczął przygotowania do deportacji około 800 000 Żydów zamieszkałych w ówczesnych granicach tego państwa. Zgodnie z przyjętym harmonogramem od połowy maja 1944 r. codziennie Węgry opuszczało kilkanaście tysięcy Żydów (planowano wysyłać 4 pociągi po 3000 osób każdy). Transporty kierowano do KL Auschwitz kilkoma trasami, większość przez Koszyce, Muszynę, Tarnów i Kraków. Na granicy słowackiej żandarmeria węgierska przekazywała je konwojentom niemieckim. Wśród objętych deportacją znalazł się również dr Nyiszli wraz z rodziną. Po przesiedleniu najpierw do miejscowości Sa-pinta a następnie do Gyula dr Nyiszli wraz z rodziną został wywieziony w drugiej połowie maja 1944 r. do KL Auschwitz. W czasie selekcji na rampie w Brzezince on, jego żona i córka zostali skierowani do obozu, gdzie dr. Nyiszli został oznaczony numerem A-8450. Dzięki swej specjalizacji w zakresie medycyny sądowej został zatrudniony przez doktora Mengele jako specjalista do przeprowadzania sekcji zwłok bliźniąt i karłów, którzy byli przedmiotem jego eksperymentów. Ponadto do obowiązków dr. Nyiszliego należała opieka lekarska nad więziarską i es-esmańską obsługą komór gazowych i krematoriów. Będąc zakwaterowany w jednym z pomieszczeń na terenie krematorium I (II) w Brzezince, dr Nyiszli miał praktycznie wgląd w najbardziej strzeżone tajemnice obozu - masowego mordowania tysięcy ludzi w komorach gazowych. Był świadkiem uśmiercenia kilku tysięcy Żydów z obozu rodzinnego dla Żydów z Terezina, a następnie Cyganów z obozu cygańskiego. Obserwował przebieg buntu Sonderkommando, w czasie którego sam nieomal nie został zabity. W styczniu 1945 r. ewakuowany z KL Auschwitz, został wyzwolony przez Amerykanów 5 maja 1945 r. w obozie Ebensee. Po powrocie do Rumunii podjął ponownie pracę lekarza. Po kilku miesiącach doczekał powrotu żony i córki, które zostały wyzwolone w Bergen-Belsen. W październiku 1947 r. dr Nyiszli zeznawał w Norymberdze w sprawie IG Farbenindustrie. W ostatnich latach życia chorował. Zmarł na zawał serca w dniu 5 maja 1956 r.; jego córka Zuzanna zmarła 8 stycznia 1983 r., a żona Małgorzata - 5 września 1985 r. dożywszy 84 lat.

Wkrótce po wojnie Nyiszli spisał swoje obozowe wspomnienia, które zostały opublikowane po raz pierwszy w języku węgierskim w 1946 r. i doczekały się przekładów na wiele języków. W Polsce po raz pierwszy ukazały się w 1966 r. w tłumaczeniu Tadeusza Olszańskiego nakładem wydawnictwa *Czytelnik*, pod tytułem

„Pracownia doktora Mengele”. Następne wydanie ukazało się w 1996 nakładem wydawnictwa *TRIO* pod tytułem „*Byłem, asystentem doktora Mengele*”. Obecne wydanie jest trzecim z kolei wydaniem polskim, uzupełnionym o materiały ilustracyjne i życiorys Autora.

## **INDEKS**

Bendel 21  
Braham L. Randolph 184  
Czech Danuta 188, 189  
Dina [Gotliebowa-FP] 22, 43 Dragon Szlama 186  
Eidenmuller (SS) 104 Epstein Bertolt (Berthold) 21,  
70, 188 Erler Rudolf (SS) 190  
Feinsilber Alter 186 Fischer Adolf 83, 171 Freese Willi (SS) 190  
Gertner Ala 190 Gorog Denes 83, 148, 171, 172,  
173 Gorog Sandor 171 Grosz 19  
Heller 71

## **OSOBOWY**

Himmler Heinrich (SS) 78 Hollander (SS) 104 Horthy Miklós 184  
Iwaszko Tadeusz 188  
„Kapitan” (z Aten) 85, 86 Karny Miroslav 188 Klein Fritz (SS) 163, 164, 191 Korner Józef 83,  
171 Kubica Helena 183  
Lasik Aleksander 183, 189 Levy 18  
Mansfeld Geza 82, 188 Mengele Josef (SS) passim Michel 105  
Moll Otto (SS) 67, 68, 187 Muhsfeldt Erich (SS) 29, 66, 67, 83,92-97,99, 140, 142, 143, 146,  
156,160-164, 171, 186  
Nyiszli Małgorzata 193, 194  
  
Nyiszli Miklós 5, 14, 171, 182, 183, 184, 189, 190, 192-195 Nyiszli Zuzanna 193, 194  
Olszański Tadeusz 195  
Piper Franciszek 183 Purke Josef (SS) 190  
Robota Róża 190  
Sehn Jan 186  
Seitz Robert (SS) 104, 189  
Steinberg Karl Fritz (SS) 104,  
105, 158, 189  
Strassman 24  
Szafirsztajn Regina 190  
Sztójay 193  
Thilo Heinz (SS) 78, 114, 188  
Veesenmayer Edmund 183 Verschuer von, Otmar 183  
Wajcblum Estera 190 Wolff (SS) 78,79,81, 86  
Zenkeller Roman 13, 27

## **INDEKS GEORGRAFICZNY**

Alpy 172  
Ameryka Południowa 183 Ateny 85, 189 Auschwitz passim Austria 149, 191

Bergen-Belsen 180, 191, 194 Berlin 104, 143, 145 Berlin-Dahlem 5, 46, 48, 49 Beskidy 118  
Brazylia 183 Brzezinka passim Budapeszt 183 Bydgoszcz 189  
Cluj (Kolozsvar) 193 Czechosłowacja 83, 149 Czechy 40, 185  
Dachau 187 Dunaj 175, 176  
Ebensee 177,178,194  
Ebersfeld 188  
Europa 7, 19, 54, 85, 87, 88, 153, 157, 167, 170, 176  
Francja 33, 88, 170, 187  
Góra 192  
Generalna Gubernia 7 Gliwice 62, 98 Grecja 33, 187 Giinzburg 183 Gyula 194  
Hiszpania 170 Hochenschónenberg 187 Hohenelbe 188 Holandia 40, 149  
Kanada 21 Katowice 187, 191 Kiel 193 Korfu 85, 189 Koszyce 193  
Kószeg 171  
Kraj Warty (Warthegau) 191  
Kraków 7, 164, 186, 191, 193  
Lublin 7, 184  
Łódź 139, 141, 191  
Majdanek 153, 184 Mannheim 95, 97 Mauthausen 169, 170, 174, 175 Melk 175, 176, 177 Milo  
156 Morawy 185 Morze Śródziemne 85 Muszyna 193  
Nagyvarad 5, 12  
Nicea 83, 171  
Niemcy (Trzecia Rzesza) 12, 6, 21,33,36,37,39,40,45-47, 57, 59, 67, 77, 87, 88, 96, 104,  
105,114,115, 117,119, 149-152, 161, 162, 167, 170, 176, 177, 180, 185, 191  
Neubnick Spree 186  
Norymberga 194  
Nowy Jork (New York) 184  
Oradea 193  
Oświęcim (zob. Auschwitz)  
Paryż 21  
Pecs 82  
Polska 33, 40, 156, 187, 195 Praga 21, 22, 43, 191 Pszczyna 168, 171  
Rajsko (Reisgau) 82, 188  
Reisgau zob. Rajsko  
Rosja 33, 88  
Rumunia 193, 194  
Ryga 137  
Sao Paulo 183  
Sapinta 194  
Sered 191  
Słowacja 7, 112, 153, 191  
Somlyo (Simleul Silvaniei) 193  
Strasburg 18  
Szombathely 83, 148  
Szwajcaria 89  
Śląsk 8, 104  
Tarnów 193  
Tatry 7  
Terezin (Theresienstadt) 69, 149,  
150, 151, 188, 194 Treblinka 153 Trzecia Rzesza zob. Niemcy  
Viseu de Sus 193  
Warszawa 188 Waldsee 89

Węgry 23, 32, 40, 69, 109, 184, 187, 193